



Muzyka dla Ilse

Ewa Formella

Wzruszająca opowieść
z czasów wojny
inspirowana
prawdziwymi
wydarzeniami



Replika

Ten ebook jest chroniony znakiem wodnym

ebookpoint.pl Kopia dla:

Mena Es mena2015@interia.pl G06212336546

mena2015@interia.pl

23f4c8072286b9ea19cef7f439d79e08



Muzyka dla Ilse

Ewa Formella

*Muzyka
dla Ilse*


Replika

Copyright © Ewa Formella
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Magdalena Kawka

Projekt okładki
Iza Szewczyk

Skład i łamanie
Maciej Martin

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN 978-83-66217-46-1

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60-175 Poznań
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

*Dla moich cudownych podopiecznych, fantastycznych
kobiet: Wandzi, Krysi, Steni i Danusi, które swoje
najlepsze lata spędziły w najgorszym
dla młodej kobiety okresie.*

*To one otworzyły przede mną swoje szkatułki
wspomnień, dzieląc się swoją przeszłością podczas
długich godzin naszych rozmów.*

KILKA SŁÓW OD AUTORKI

Ta historia powstała na podstawie wspomnień, chociaż przyznam szczerze, że sama nie wiem, ile w niej jest prawdy, a ile fantazji. Musiałam połączyć fakty z fikcją literacką, aby powstała ta fabuła. W swojej pracy często słucham wspomnień dotyczących wojny, moi podopieczni opowiadają mi swoje historie, często ze łzami w oczach, ale zauważyłam, że częściej pamiętają te dobre chwile, tak jakby złe wyparli z pamięci.

Moje bohaterki, Ilse i Sabine, żyły naprawdę, chociaż nazywały się inaczej. Historia ich przyjaźni jest prawdziwa, reszta... w większości to fikcja literacka.

Opowiedziana przez jedną z moich podopiecznych historia bardzo mnie wzruszyła, dlatego postanowiłam ją opisać, głównie dlatego, aby pokazać, że nie wszyscy Niemcy byli złymi ludźmi, nie wszyscy uważali, że Żydów należy zlikwidować. Pamiętajmy o tym i nie karmmy się nienawiścią.



Prolog

Jesień, rok 1942

Jesień tego roku była ciepła i słoneczna. Dawno nie było tak pięknego września i października. Listopad jednak powoli dawał znaki, że o lecie powinno się już dawno zapomnieć, a zima zbliża się wielkimi krokami. Coraz częściej zdarzały się nocne przygruntowe przymrozki i trzeba było poważnie zacząć myśleć o przygotowaniu się do kolejnej zimy. Ludzie ze wsi całymi rodzinami zbierali w lesie chrust i większe gałęzie, unikając strażników czy żołnierzy, zarówno niemieckich, jak i polskich.

Julek i Antoś, dwaj bracia mieszkający z matką i dwiema siostrami kilka kilometrów od skupiska domów stanowiących ich wieś, każdego ranka przychodzili w okolice torów kolejowych, aby próbować szczęścia. Zdarzało się, że pociąg wiozący węgiel do Wolnego Miasta Gdańska pozostawiał jakieś drobiny tego czarnego kamienia w okolicy i gdy szczęście im dopisywało, wracali z workami pięknego węgla, które następnie dumnie przekazywali matce. Wiadomo przecież, że zimą węgiel ogrzeje lepiej niż suche gałęzie. Julek, dziesięcioletni chłopiec, czuł się

odpowiedzialny za swojego młodszego o dwa lata brata i tym samym dużo ważniejszy od niego.

Tego dnia chłopcy po zjedzeniu skromnego jak zwykle śniadania również udali się w okolice torowiska. Już mieli ruszyć na poszukiwanie węgla, który mieli nadzieję znaleźć, ponieważ poprzedniej nocy podobno aż dwa pociągi jechały w stronę Gdańska, ale nagły gwizd lokomotywy zatrzymał ich w kryjówce, jaką sobie przygotowali kilka dni wcześniej w rowie graniczącym z polem. Pociąg towarowy wolniej niż zazwyczaj jechał od strony miasta; chłopcy nie pamiętali nazwy, ponieważ Niemcy, panosząc się wszędzie, postanowili nazwać je po swojemu, a to było dla polskich dzieci trudne do wypowiedzenia. Dlatego wszystkie dzieciaki ze wsi mówiły po prostu „miasto”.

Pociąg zaczął zwalniać. Kilkanaście wagonów bydłych było szczelnie pozamykanych, tak że chłopcy nie mogli zobaczyć, co tym razem się w nich znajduje. Kiedy lokomotywa zatrzymała skład, z pierwszego wagonu wyskoczyło kilku mężczyzn w niemieckich mundurach, którym towarzyszyły piękne, duże psy. We wsi nikt nie bał się psów, zresztą niewiele ich zostało, bo ludzie łapali je i zjadali. Te, które od czasu do czasu wałęsały się wygłodniałe w okolicach domostw, nie bywały groźne. Niemieckie wyglądały na dobrze odżywione, emanowały jakąś grozą. Rwały się na krótkich smyczach i ujadały jak szalone, ale na rozkaz swojego pana każdy z nich natychmiast stawał się potulny jak baranek. Niemieccy żołnierze zaczęli przechadzać się ze swoimi psami wzdłuż wagonów, co jakiś czas krzyząc coś do zamkniętych drzwi i waląc w nie kolbami karabinów, a to wyraźnie denerwowało czworonogi.

– Pewnie wiozą zwierzęta do uboju – szepnął młodszemu z chłopców, kuląc się z zimna i lęku przed tym, aby nie zostali zauważeni.

– Może... Pewnie dla niemieckiego wojska, żeby miało siłę uciekać. – Starszy odpowiedział równie konspiracyjnym szeptem i cicho zachichotał. – Ale po co ten pociąg się zatrzymał, i to właśnie przy nas?

– Pewnie chcą psy wyprowadzić na siku. Ty, patrz! Tam muszą być jakieś krowy albo świny, bo te psy tak do tych wagonów ujadają jak nasze, kiedy lisy pod chatę podchodziły.

– No... O, wracają do pierwszego wagonu.

– I teraz psiaki grzecznie idą przy nogach.

– No...

– Rusza. Nareszcie. Julek, słyszałeś? – W chwili, w której pociąg zaczął nabierać szybkości, z jednego z wagonów wydobył się przerażający krzyk. – Julek, co to było?

Starszy z chłopców wystraszonym wzrokiem zaczął obserwować znikający w oddali pociąg. Był blady jak śnieg, który od kilkunastu minut leniwie opadał z nieba i pokrywał pole białym puchem. Ten odgłos, jaki usłyszeli, był... ni to ludzki, ni to zwierzęcy. Z całą pewnością nie był to pisk ani ryk żadnego zwierzęcia domowego.

– Chodź! Idziemy na tory. – Julek klepnął brata w ramię i powoli zaczął wydostawać się z rowu. Miał wrażenie, jakby nogi się buntowały, w głowie natomiast cały czas brzmiał mu ten dziwny krzyk, jaki przed chwilą dotarł do ich uszu.

Chłopcy powoli zbliżyli się do torów. Antoś pierwszy zauważył leżący niedaleko kawałek węgla, podniósł go i z uśmiechem na twarzy pokazał bratu. Postanowili pójść w przeciwnych kierunkach, ale Julek cały czas odwracał się i spoglądał na brata. Czuł się za niego odpowiedzialny. W pewnym momencie zauważył, że Antek nachyla się nad czymś, co leży między szynami, i delikatnie dotyka tego nogą.

– Co tam znalazłeś?! – zawołał i zaczął iść w kierunku brata.

– Julek! Chodź szybko! – Młodszy z braci stał podekscytowany jakimś znaleziskiem, ale widać było, że nie ma odwagi go podnieść.

Kiedy Julek podszedł do brata, zauważył kłęb szmat, które... jakby się poruszyły. W pewnym momencie wydobyły się z nich piski przypominające miauknięcia kota.

– Julek, co to może być? – Antoś, wyraźnie zaniepokojony i jednocześnie bardzo ciekawy, przesunął nogą pakunek w stronę brata. Szmaty ponownie wydały dźwięk.

Julek przyklęknął i zaczął bardzo ostrożnie odwijać pierwszą warstwę materiału, pod którą najwyraźniej znajdowało się jakieś małe zwierzę.

– Nie ruszaj! – Antoś zaniepokojony spojrzał na brata, podziwiając jednocześnie jego odwagę. – A jak cię ugryzie? – Jego głos stał się bardziej płacziwy i o kilka tonów cichszy.

Julek spokojnie, bardzo powoli odkrywał kolejne warstwy szmacianego znaleziska. Wstrzymując oddech, wiedział, że nie może pokazać bratu, że się boi. Nie chciał zostawić miauczącego znaleziska na torach, ciekawość była większa od grozy, która paraliżowała jego serce. W pewnym momencie gwałtownie odsunął się i zakrył warstwą materiału to, co zobaczył.

– Julek, co tam jest? – Antoś nawet nie starał się ukrywać strachu, a łzy jedna po drugiej spływały po zarumienionych od zimna policzkach.

– Dzie-cko – wyjąkał starszy brat i spojrzał na Antka dużymi wystraszonymi oczami.

– Dziecko? Takie normalne? Ludzkie?

– Tak. Normalne małe dziecko, chyba niedawno urodzone. Takie, co kilka dni temu umarło cioci Zosi.

– A może to jest dziecko cioci? Może ono wcale nie umarło? Może poszło do nieba, ale Pan Bóg stwierdził, że ciocia za bardzo płacze i oddał je...

– Antoś, przestań gadać głupstwa.

– I co z nim zrobimy? Oddamy cioci Zosi?

– Antek! To nie jest dziecko cioci Zosi! – Julek wyraźnie zirytował się płaczliwymi dociekaniem brata. To cudze dziecko, nie nasze.

– To co z nim zrobimy? – Młodszy z chłopców czuł lęk, ale i urazę do tego dziecka, że pokrzyżowało im plany. –

A węgiel? Już nie będziemy szukać węgla? – Tak bardzo chciał, żeby mama go dzisiaj pochwaliła za to, że przyniósł kilka bryłek. Przecież podobno idzie sroga zima, stary Więclawski mówił, że czuje już ją w kościach. Antek rozplakał się na dobre i zajrzał do swojego worka, w którym na dnie leżały zaledwie trzy niewielkie grudki czarnych kamieni.

– Masz, trzymaj mój worek, a ja wezmę to dziecko i wracamy do domu.

– A węgiel? – Antoś nie dawał za wygraną.

– Bracie, co jest dla ciebie ważniejsze, człowiek czy węgiel? Przecież to dziecko zamarznie tu, jak je zostawimy. A wiesz, co zrobią z nim lisy albo dzikie psy, jak go znajdą? No już, przestań się mazać i pokaż, że jesteś już duży. – Julek owinął znalezisko szmatkami, starał się zrobić to tak, jak było omotane wcześniej. Uśmiechnął się do dużych czarnych oczek spoglądających na niego z gałganów i ruszył w stronę domu.

Antek wytarł brudną dłońią łzy, które zaczynały szczypać jego policzki. Przesypał węgiel brata do swojego worka i ruszył za Julkiem. Starszy z braci domyślił się, że w wagonach nie było zwierząt, tylko ludzie. Słyszał nieraz, jak dorośli półgłosem mówili o Żydach, Cyganach czy innych ludziach wywożonych gdzieś daleko. W ich wsi

wszystkich Żydów albo gdzieś wywieźli, albo wymordowali, nawet małego Romka, który miał dopiero dwa latka. Mama bała się ich wypuszczać z domu po tym, co się stało. A smród dymu ze spalonych żydowskich chat długo unosił się w powietrzu, czuć go było nawet u nich, na końcu wsi. Halinka, najstarsza siostra, tak długo płakała, że mama któregoś dnia musiała jej dać po twarzy. Dlaczego to zrobiła? Tego Julek nie wiedział, bo mama rzadko ich biła, nie to, co ojciec. Ten paska nie żałował na nikogo, nawet na dziewczyny. Ale ojca już dawno nie widzieli, zabrali go gdzieś na roboty, jakby to u nich tej roboty brakowało.

Julek przytulił zawiniątko i chociaż czuł, że ręce mu słabną i bolą coraz mocniej, nie poddał się. Ciekawe tylko, co mama powie na to, że zamiast węgla przyniósł jeszcze jedną gębusię do wyżywienia, i to taką małą.

ROZDZIAŁ 1

Zima, rok 2015

Ilona skończyła układać na stole ostatnie półmiski. Dwie czerwone świece pozostawiła niezapalone, to już od zawsze należało do Krzysztofa. W tym roku Wigilia zapowiadała się inaczej, od dłuższego czasu w powietrzu wisiało coś złego, coś... czego nie potrafiła określić. Krzyś, chociaż starał się być taki jak zawsze, coraz częściej zdradzał się dziwnym, nerwowym zachowaniem, czasem zamyśleniem, a czasami wręcz kipiał agresywnością, bez konkretnego powodu. Oczywiście wszystko składał na nawał pracy, na swoje sukcesy i porażki. Ale Ilona wiedziała, instynktownie czuła wręcz, że za tym coraz dziwniejszym zachowaniem męża, starającego się na wszelkie możliwe sposoby zachować normalność, kryła się inna kobieta. Przecież nie bez przyczyny mówi się o wyjątkowej intuicji. Ona sama czuła, że z każdym rokiem coraz bardziej oddala się od mężczyzny, którego pokochała ponad dwadzieścia lat wcześniej. Czuła, że ją okłamuje, chociaż nigdy nie starała się mu tego udowodnić. Coś jednak było z nimi nie tak, jak dawniej. Nie

tak wyobrażała sobie ich wspólne życie, kiedy stojąc przed ołtarzem w Bazylice Mariackiej, z dumą i szczęściem mówiła sakramentalne „tak”.

Nie usłyszała trzaśnięcia drzwi wejściowych i dopiero chłodny dotyk ust, który ledwo musnął jej rozpalony policzek, wyrwał ją z zamyślenia.

– Cudownie, że już jesteś – powiedziała, spoglądając czujnie na oddalającego się w stronę łazienki męża.

– Wybacz, kochanie, ale musiałem zostać trochę dłużej. Wiesz, koniec roku i takie tam inne sprawy.

Takie tam inne sprawy – pomyślała, zerkając na wiszący na ścianie stary drewniany zegar, który odziedziczyła po babci i dziadku. Wskazówki zegara wskazywały godzinę osiemnastą, jak na Wigilię to była dość późna pora powrotu Krzysztofa z pracy.

Ilona poprawiła starannie ułożone włosy, popatrzyła na stół, na którym brakowało już tylko ciepłych dań, podgrzewających się w piekarniku, i z nostalgią podeszła do okna. Prawie opustoszałe ulice i chodniki pokrywała gruba warstwa białego puchu, który wielkimi płatami od kilku godzin sypał się z nieba. Piękna sceneria jednak nie zachwycała jej już tak, jak dawniej. Drzewa, oblepione śniegiem, nie były już tak romantycznym widokiem jak kiedyś.

Z radia zaczęła płynąć melodia, która od zawsze i niezmiennie wzruszała Ilonę. Ciepły głos Seweryna Krajewskiego powodował, że w sercu robiło się przyjemniej, a oczy zachodziły mgłą.

Jest taki dzień, bardzo ciepły, choć grudniowy.

Dzień, zwykły dzień, w którym gasną wszystkie spory.

No właśnie: „w którym gasną wszystkie spory” – pomyślała i zaczęła cichutko śpiewać razem z wokalistą.

Nagle z przedpokoju dotarł do niej dźwięk dzwonka telefonu komórkowego męża. Nie podeszła, aby odebrać, bo Krzysztof nie życzył sobie, aby odbierała połączenia z jego telefonu. Uważał, że każdy człowiek ma prawo do odrobiny prywatności, i ona to szanowała. Żadne z nich nigdy nie otwierało listów przychodzących do drugiego, nawet jeżeli były to listy typowo urzędowe, ani nie odbierało połączeń w telefonie drugiej osoby.

Krzysztof wyskoczył z łazienki owinięty dużym zielonym ręcznikiem kąpielowym i złapał za telefon. Zdążył w ostatniej chwili.

– Tak? Ale teraz? Oczywiście. No cóż, są sprawy ważne i ważniejsze... – Uśmiechnął się, czy tylko jej się tak wydawało? Tylko tyle usłyszała, zanim zamknął się w łazience z telefonem przy uchu. Nie była ciekawa ani kto dzwoni, ani po co, ale czuła, że ten niewinny telefon pokrzyżuje cały misternie przygotowany plan wigilijnego wieczoru.

Po kilku minutach mąż opuścił łazienkę. Piękny, pachnący i uśmiechnięty udał się do sypialni, gdzie nucąc jakąś pastorałkę, przebrał się w czystą koszulę, nie zapominając o swoim eleganckim, odświeżonym garniturze, który zakładał tylko na specjalne okazje. Kiedy wyszedł, serce Ilony zabiło mocniej. Wciąż był przystojny jak niegdyś, a lekka siwizna na włosach tylko dodawała mu uroku. Podeszedł do niej, objął ją ramionami i wtulił twarz we włosy.

– Pięknie pachniesz...

– Ale... – Ilona nie dała mu dokończyć tego, co chciał jej powiedzieć. Znała jego słowa na pamięć. Zawsze, kiedy „coś mu wypadło”, mówił, że tak mu przykro, że musi zostawić swoją najukochańszą i najpiękniejszą żonę, ale sprawy zawodowe... i tak dalej.

– Kochanie, właśnie dzwoniли z firmy, muszę wyskoczyć na godzinkę. – Patrzył w jej oczy z takim przekonaniem, że

prawie uwierzyła w jego słowa. – Przepraszam cię, Iluś, obiecuję, że jak wrócę, wynagrodzę ci to z nawiązką. – Pocałował ją w czoło i czule pogładził jej policzek.

Ilona zadrzała. Całą siłą woli starała się zatrzymać łzy napływające do oczu, aby nie popsuły jej delikatnego makijażu zrobionego specjalnie na ten wieczór. Specjalnie dla niego. Kiwnęła głową na znak zrozumienia i odwróciła się w stronę okna. Jak przez mgłę zobaczyła Krzysztofa wychodzącego z domu, pospiesznie wsiadającego do taksówki i znikającego za śnieżną ścianą. Kiedy samochód z jej mężem odjechał, podeszła do stołu, naląła do kieliszka czerwonego wina, czekającego na odpowiedni moment, i jednym haustem wypła całą jego zawartość. Uzpełniła kieliszek i spokojnie usiadła w fotelu, próbując uspokoić myśli wśród dźwięków świątecznych piosenek, towarzyszących jej w tym pustym mieszkaniu. Wydawało jej się, że nie minęło wiele czasu, kiedy z łazienki doleciała do niej melodyjka dzwonka. Dzwonił telefon jej męża. Zignorowała go, ale po chwili zdała sobie sprawę z tego, że Krzysztof zostawił swój telefon w domu. Zdziwiło ją to, bo on nigdy nie rozstawał się ze swoim samsungiem. Widać musiał się bardzo spieszyć, skoro zapomniał. Ponownie zatopiła się we własnych myślach, ale po chwili usłyszała krótki sygnał, tym razem powiadamiający o przychodzącej wiadomości. Nie namyślając się dłużej, wstała i poszła po aparat męża, aby położyć go w widocznym miejscu tak, aby Krzysztof zauważył go zaraz jak wróci do domu za... pół godzinki... za godzinkę. Spojrzała na zegar, wskazówki bezlitośnie przysunęły się do godziny dwudziestej trzydzięści. W pewnym momencie zwykła ludzka ciekawość, a może jakaś niewyjaśniona siła, kazała jej wziąć telefon Krzysztofa i sprawdzić, kto do niego dzwonił, sprawiając, że musiał tak nagle wyjść, i to w dzień wigilii. Ostatnie dwa połączenia: jedno odebrane, a drugie nie, były od Marcela. Marcel... Marcel... Ilona próbowała dopasować imię do osoby pracującej z Krzysztofem, ale chociaż znała prawie

wszystkich jego współpracowników, nie mogła sobie przypomnieć żadnego mężczyzny o tym imieniu. Zapewne to ktoś nowy – pomyślała i odłożyła telefon na stolik. Po chwili jednak wzięła go ponownie, chora ciekawość zmusiła ją do tego, aby odczytać wiadomość. Też od Marcela. Nie, tego zrobić nie może. Bez względu na wszystko. Już odkładała telefon na stolik, kiedy ten zaczął wibrować w jej dłoni, a następnie miłą dla ucha melodyjką począł domagać się odebrania połączenia. Na wyświetlaczu pokazało się imię Marcel, więc nie zastanawiając się dłużej, odebrała.

– Kochanie, zapomniałeś twojego nowego szalika, który dostałeś od Mikołaja. – Po drugiej stronie linii odezwał się damski głos. – Ale nie martw się, będę go pilnowała i jutro go sobie odbierzesz. Przynajmniej będę cię czuła w nocy obok siebie, położę go na poduszce i...

– Bardzo przepraszam, ale „kochanie” jeszcze nie wróciło do domu z pilnego wezwania do pracy. – Ilona przerwała kobiecie drżącym głosem. Czowała, jak całe jej ciało wstrząsa dreszcz, ale postanowiła dokończyć swoją wypowiedź. – Jak tylko „kochanie” wróci, to przekażę, żeby nie martwiło się o tę część swojej garderoby, którą u pani pozostawiło.

Po drugiej stronie linii panowała cisza, w tle słychać było tylko cichutko brzmiące kolędy. Ilona odczekała jeszcze kilka sekund i nacisnęła czerwoną słuchawkę. Odłożyła telefon, czując, jak policzki zaczynają ją palić żywym ogniem. Niby podejrzewała, niby spodziewała się tego, niby intuicja już dawno jej to podpowiadała, ale... co innego myśleć, a co innego mieć dowód. Ledwie udało jej się odłożyć telefon męża, a drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Krzysztof, z miną cierpiénika.

– Przepraszam cię moja droga, że to tak długo trwało, ale...

– Nic nie mów. – Ilona spokojnym i opanowanym głosem przerwała jego kłamliwe próby tłumaczenia się. – Zapomniałeś telefonu. Dzwonił MARCEL... – wzięła głęboki

wdech – więc odebrałam. Prosiła, abym ci przekazała, że zostawiłeś „w pracy” swój nowy szalik, ale masz się nie martwić, bo ona ci go przypilnuje, wdychając całą noc twój zapach, pozostawiony na nim.

Krzysztof, gdyby mógł, rozpułynałby się w powietrzu jak mgła.

– Odebrałaś MÓJ telefon, który dzwonił do MNIE?

– Tak. A do kogo innego miałby dzwonić twój telefon?

– Jak mogłaś?! – Głos Krzysztofa brzmiał jak głos zupełnie obcego człowieka. – Chyba coś sobie kiedyś powiedzieliśmy na ten temat! Odrobina prywatności. Pamiętasz!? – Nagle jego dłoń wylądowała na policzku Ilony.

Zabolało. Zapiekło, jakby ktoś uderzył nie dłonią, a zapaloną pochodnią. W oczach Krzysztofa również zaczął palić się dziwny ogień. Ogień furii.

– Pamiętam. – Ilona patrzyła na męża wzrokiem zimnym, smutnym i opanowanym. – I przyrzekaliśmy sobie, że będziemy o wszystkim rozmawiać. To chyba ty zapomniałeś o tym, aby mnie powiadomić o swojej kochance. Dziękuję ci za ten piękny prezent świąteczny. – Jej głos przybierał coraz bardziej ironiczny ton. – Skoro już jest po wigilii, to chyba nic tu po mnie. Wracaj do swojego Marcela! – Złapała róg obrusu i pociągnęła z takim impetem, że stojąca na stole zastawa, świece i potrawy z hukiem poleciały na podłogę.

Kobieta czuła w sobie narastającą rozpacz, żal, bunt, upokorzenie i nienawiść tak silną, że trudno było jej opanować drżenie nie tylko rąk, ale całego ciała. Wstrząsający szloch wzbierał się głęboko w środku, w brzuchu, w klatce piersiowej, w sercu, a ona nie potrafiła go opanować. Wybiegła do przedpokoju, błyskawicznie wciągnęła na nogi kozaczki, złapała swoje białe sztuczne futerko i opuściła mieszkanie, głośno zatrzaskując drzwi. Gęsto padający śnieg znacznie utrudniał widoczność, dlatego nie zauważyła nadjeżdżającego samochodu.

Wyskoczyła na jezdnię wprost pod koła białego audi. Na szczęście gruba warstwa śniegu zamortyzowała upadek, odrzuciło ją w kierunku śnieżnej zasy. Szybka reakcja kierowcy, który gwałtownie zahamował, wpłynęła na to, że Ilona, odrzucona kilka metrów, nie odniosła poważniejszych obrażeń. Silna męska dłoń pomogła jej podnieść się z jezdni, ale ona przez łzy nie widziała twarzy człowieka. Czuła tylko unoszący się wśród spadających płatków śniegu przyjemny zapach męskiej wody kolońskiej, zupełnie innej od tej, jakiej używał Krzysztof.

– O Jezu, bardzo panią przepraszam. Nic się pani nie stało? Może zawiozę panią do szpitala? – Mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany, miał miły, chociaż drżący głos i nie zamierzał zostawiać jej na tej felernej ulicy.

– Nic mi nie jest. Zresztą mieszkam w tym bloku. – Wskazała ręką w stronę okna swojego mieszkania, gdzie za firanką, bardzo dobrze widoczny z ulicy, stał Krzysztof.

– To może chociaż odprowadzę panią do domu? – Mężczyzna uparcie trwał przy pragnieniu niesienia pomocy.

– Dziękuję, zresztą mąż widział wszystko przez okno i już z pewnością zbiega po mnie. – W jednej sekundzie nawet uwierzyła w to, co powiedziała. – Proszę już jechać! No, niech pan już jedzie, bo spóźni się pan na wigilię! – krzyknęła. Wyrwała się z podtrzymujących ją rąk i pokuśtykała w stronę klatki schodowej. Mężczyzna podszedł do niej, wcisnął coś w jej dłoń, jeszcze raz przeprosił, chociaż to przecież ona powinna go przeprosić za bezmyślne wtargnięcie na jezdnię.

– Gdyby coś się działo, proszę zadzwonić. Na wizytówce ma pani wszystkie kontakty do mnie, i służbowe, i prywatne. – Ukłonił się i odjechał, wolno przedzierając się przez zasłone padającego śniegu. Gdy samochód zniknął z pola widzenia, Ilona możliwie szybkim krokiem odeszła od budynku, w którym mieszkała. Ulice były prawie puste, czasami tylko jakiś zabłąkany człowiek, mocno opatulony,

spiesznym krokiem udawał się w tylko sobie znane miejsce. Na przystanku autobusowym nie było nikogo, Ilona usiadła na ławce i dopiero wówczas poczuła ból pulsujący w prawym udzie. Roztarła dłonią bolące miejsce, ale ból nie ustępował. Siniak będzie jak ta lala – pomyślała. Po kilku minutach podjechał autobus. Kierowca, starszy, szpakowaty pan, z ciekawością spojrzął na siedzącą na ławce kobietę i uśmiechnął się.

– Odjazd za dwie minuty. Wsiada pani?

Ilona pokręciła głową. Mężczyzna zamknął drzwi i zaczął pogwizdywać w rytm melodii płynącej z odbiornika radiowego. Nagle z oddali dobiegł ją głos Krzysztofa.

– Ilona! Ilona! Wracaj, porozmawiajmy! – Głos zbliżał się niepokojąco szybko, Ilona, nie zastanawiając się dłużej, zapukała do drzwi pojazdu.

– Jednak się pani zdecydowała? – Kierowca ponownie się uśmiechnął i szybko zasunął za nią drzwi, aby uchronić wnętrze pojazdu przed wpadającym śniegiem. W momencie kiedy autobus ruszał, Ilona zobaczyła wyłaniającego się zza zasłony śnieżnej męża. Biegł w stronę przystanku, energicznie machając rękami.

– Ten człowiek też jedzie? – Starszy pan siedzący za kierownicą odwrócił się w stronę pasażerki.

– Nie! Ten pan zostaje, proszę jechać i nie przejmować się nim.

Kierowca autobusu tylko wzruszył ramionami i włączył kolejny bieg. Krzysztof próbował jeszcze go zatrzymać, ale usłyszeli tylko uderzenie w karoserię i mąż Ilony pozostał na przystanku.

Jechali wolno, padający śnieg bardzo ograniczał widoczność; z radia płynęły ciche melodie świąteczne, a kierowca pogwizdywał. W czasie całej podróży w autobusie zmieniali się pasażerowie, ale było ich niewielu, zaledwie kilka osób. Ilona poczuła ogarniające ją zmęczenie.

Wypite przed przyjściem Krzysztofa wino spowodowało senność, którą spotęgowały przesuwający się za oknem autobusu monotony krajobraz zasypanego śniegiem Gdańska, przyjemne ciepło wewnątrz i delikatne kołysanie. Zasnęła, nie zważając, dokąd zawiezie ją ten autobus.

– Proszę pani, proszę pani. – Ilona poczuła delikatne szarpnięcia. – Proszę pani, jesteśmy na końcowym przystanku, czy to jest cel pani podróży?

Otworzyła oczy i nieprzytomnym wzrokiem objęła zaniepokojoną twarz starszego mężczyzny. Rozejrzała się dookoła, ale za oknami autobusu królowała jedynie rozświetlona śniegiem i blaskiem księżyca noc. Powoli wstała i wyszła na zewnątrz. W oddali czernił się zarys jakiegoś lasu, a z boków drogi tu i ówdzie widoczne były nieliczne światełka.

– Mam dziesięć minut postoju i wracam do Gdańska. Jeżeli pani chce się ze mną zabrać z powrotem to...

– Nie, nie. Dziękuję, ale jestem na miejscu. Mój brat powinien zaraz po mnie wyjść – skłamała bez zastanowienia, aby nie martwić miłego kierowcy.

– Chętnie bym z panią zaczekał, ale to mój ostatni kurs i chciałbym zdążyć jeszcze do córki ucałować wnuki. – Mężczyzna spojrzał na swoją jedyną pasażerkę z wyraźną troską. – Na wigilii nie mogłem być, ale może chociaż zdążę, zanim te małe szkraby zasną. – Zrobił taką minę, jakby tłumaczył się przed kobietą z jakiegoś występku, którego dokonał wbrew prawu i sobie.

– Proszę się nie tłumaczyć. – Ilona położyła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się. – Znam te okolice jak własną kieszeń i nawet jeśli brat nie przyjdzie, to sobie poradzę. O, widzi pan tamto światełko, które tak migocze? – Wskazała dłonią dom leżący w dość dużej odległości od drogi. – Tam mieszkają rodzice. Dziękuję za towarzystwo i życzę panu wesołych świąt. – Cmoknęła zaskoczonego mężczyznę

w policzek i szybkim krokiem oddaliła się od pętli autobusowej. Śnieg przestał padać, ale mroźne powietrze coraz bardziej szczypało w policzki. Narzuciła kaptur na głowę i wcisnęła dłonie w kieszenie futerka. W pewnej chwili poczuła na policzkach ciepło spływających łez. Z oddali dobiegł ją odgłos uruchamianego silnika autobusu. Odwróciła się i pomachała kierowcy, chociaż nie była pewna, czy sympatyczny pan zauważył ten gest. Kiedy autobus zniknął w czerni niewidocznego krajobrazu, rozplakała się. Nie musiała już tłumić emocji. Była sama na tym pustkowiu. Nie musiała tłumić szlochu, bo nikt jej nie słyszał. Szła drogą, głośno płacząc, nie widząc wokół siebie nic oprócz zbliżających się ścian lasu i biegnącej środkiem szosy. Śnieg ponownie zaczął padać, najpierw spokojnie, dużymi płatkami, leniwie opadającymi na wszystko dookoła. Z czasem jednak śnieżycy zaczęła przybierać na sile, wzmógł się wiatr. Ilona była coraz bardziej zmęczona. Szła wolno w niewiadomym kierunku. Nie czuła strachu, może dlatego, że przed oczami cały czas majaczyła jej zaskoczona, a zarazem wściekła twarz Krzysztofa i ręka uderzająca jej policzek. Tyle lat pozwalała sobie na to, aby mu wierzyć, a on... Musiała przyznać, że bardzo dobrze odgrywał swoją rolę kochającego męża. Z każdą kolejną chwilą przypominała sobie sytuacje, które najprawdopodobniej były zasłonami dla jego zdrad. Wyjazdy służbowe, podczas których nie odbierał telefonów, a beznamienny głos w słuchawce informował ją, że „abonent chwilowo niedostępny”. Sympozja, narady, bankiety, były wytłumaczeniem milczącego telefonu. Ciekawe, jak długo trwała ta jej ślepotą?

Ból w udzie zaczął się nasilać. Wstrząsane płaczem ciało coraz bardziej traciło siły. Nawet żołądek zaczął się niebezpiecznie buntować, może z powodu płaczu, a może z powodu głodu. Od rana miała w ustach zaledwie dwie kromki chleba i kawałek ciasta, nie licząc tych kilku łyżek barszczu, które przełknęła podczas gotowania, dwóch

filizanek kawy i tych kilku łyków wina. Nagle nogi zrobiły się miękkie jak z waty, osłabione długim marszem w śnieżnej zamieci. Ciało osunęło się na ziemię. Ilona czuła, że nie ma siły podnieść się i iść dalej. Jak na złość żaden samochód nie pokazał się na drodze. Wiadomo, wigilijną noc ludzie raczej spędzają w domach z rodzinami, a nie w podróży. Przesuwając się na kolanach, dobrnęła do wielkiego konaru drzewa leżącego wzdłuż drogi i usiadła, wtulając zmarzniętą twarz w futerko. Niech się dzieje, co chce – pomyślała i zamknęła oczy. Na chwilę.

Andrzej, wściekły na siebie i na pogodę, wyruszył z domu dużo później, niż planował. Wiedział, że tym razem ciotki mu nie darują tego, że nie przyjechał na kolację wigilijną. Ale nie mógł pozwolić na to, aby jego nowy kolega, chłopak krótko po stażu, nie spędził tego wieczoru u boku młodej żonki i kilka miesięcy wcześniej urodzonych bliźniaków. Kiedy w planie dyżurów zobaczył, że Ryśkowi przypada wigilia, pierwszy poszedł z propozycją zamiany. Ordynator z pewnością się wściekł, ale jemu to było obojętne. Młody kolega najpierw bardzo się ucieszył z propozycji, ale widocznie sumienie nie pozwoliło mu na zostawienie Andrzeja w ten dzień samego na oddziale i około godziny dwudziestej trzeciej przyjechał go zmienić.

– Chłopie, jedź do domu. Naciesz się, chociaż wieczorem. Moje dziewczynki położyłem spać, wszystkie trzy, i nie mogłem przestać myśleć o tobie. – Andrzej uśmiechnął się na wspomnienie stojącego w drzwiach dyżurki kolegi. Na oddziale było cicho i spokojnie. Większość pacjentów wypisano na przepustki, pozostały tylko cztery osoby. Niewiele się namyślając, poklepał Ryśka z wdzięcznością po ramieniu i poszedł do samochodu. Jak na złość jego stara corsa nie chciała zapalić. Tyle razy obiecywał sobie, że w końcu ją sprzeda i kupi sobie inny, nowszy samochód. Ale zawsze kończyło się na obietnicach. Kiedy auto wreszcie odpaliło, skierował się od razu w stronę obwodnicy,

którą zawsze jeździł do domu rodziców, teraz zamieszkałego tylko przez dwie siostry ojca. Prezenty dla rodziny od dawna trzymał w samochodzie i jadąc, starał się przypomnieć sobie, czy o nikim nie zapomniał, bo na święta do domu zjeżdżało się jego rodzeństwo z rodzinami. Wszystkich ciągnęło do starego domu, który na każdego działał nostalgicznie. Dwie stare ciotki zastępowały im wszystkim rodziców, a że obie były niezamężne i bezdzietne, traktowały ich jak własne pociechy. Zresztą nie było chyba w rodzinie nikogo, kto nie kochałby tych dwóch starszych pań.

Sypiący gęsty śnieg o mało nie spowodował, że Andrzej przeoczyłby zjazd z obwodnicy. Na szczęście w ostatniej chwili zauważył charakterystyczny budynek małego kościółka przy drodze, który teraz stał pięknie oświetlony. Wjechał na drogę prowadzącą do wsi i chociaż zmęczone oczy za szybko poruszającymi się wycieraczkami ledwo widziały mijane domy i drzewa, czuł, że jest już prawie na miejscu. Radość z tego, że za chwilę zobaczy rodzeństwo, ojca, ciocie i resztę rodziny, dodawała mu sił. Był pewien, że nie położyli się jeszcze spać, bo święta od zawsze były okazją do długich rodzinnych rozmów. Podkreślił głośność w radiu i zaczął śpiewać razem z Georgem Michael'em i zespołem Wham! od lat emitowaną w radiu piosenkę *Last Christmas*. Ta piosenka jest jak Elvis, będzie żyła wiecznie – pomyślał i wrócił do śpiewu. W pewnym momencie mignął mu na drodze jakiś dziwny kształt. Zatrzymał samochód, a następnie wolno zaczął cofać do miejsca, w którym zobaczył to coś, co go zaniepokoiło. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak skulony bałwan. Zasypane śniegiem, przypominało kształtem jedną z rzeźb, jakie widział w paryskim Muzeum d'Orsay. Wysiadł z auta i szybkimi ruchami zaczął otrzepywać śnieg, którym pokryty był człowiek siedzący na grubym konarze drzewa. Kiedy tylko się zbliżył, rozpoznał skuloną postać. Mokry materiał białego jak śnieg futerka był bardzo nieprzyjemny w dotyku, ale wreszcie udało mu się dotrzeć do twarzy. Domyślił się,

że to kobieta. Skostniała, nieruchoma, siedziała, nie reagując na jego szarpanie i wołanie. Nasilający się wiatr bardzo mu przeszkadzał. Sprawdził na szyi puls, a następnie wziął kobietę na ręce i delikatnie ułożył na tylnym siedzeniu corsy. Ruszył z piskiem opon, nie zważając na ograniczoną widoczność. Miał nadzieję, że jak dojedzie do domu, to uda mu się wezwać pogotowie, chociaż przy tej pogodzie i w tych okolicach jego telefon z trudem łączył się z siecią. Przez kilka minut próbował dodzwonić się do brata i uprzedzić go o swoim znalezisku, ale jego starania pozostały nadaremne.

Kiedy zajechał pod dom, oświetlony setkami lampek, na które ciocie nigdy nie żałowały pieniędzy i każdego roku dokupowały kolejne, zobaczył biegnące w jego stronę psy. Ulubieńcy ciotek znali każdy samochód przyjeżdżający do tego domu, dlatego wcale nie zdziwiła Andrzeja okazywana przez zwierzęta radość. Zdawkowo przywitał się z psiakami i szybko złapał leżącą na tylnym siedzeniu kobietę. Kiedy nogą zatrzaskiwał drzwi samochodu, przed dom wyszedł młodszy brat.

– A ty, Jędrus, bałwana nam przywiozłeś w prezencie? – zażartował, ale widząc zdenerwowaną twarz brata, szybko otworzył na oścież drzwi domu.

Andrzej wszedł do środka i skierował się w stronę swojej sypialni. Ociekające wodą futerko coraz bardziej mu ciążyło. Bardziej nawet niż sama kobieta. Ciocia Halina, widząc zamieszanie w przedpokoju, małymi kroczkami podbiegła do Andrzeja i zerknęła mu przez ramię.

– Kto to? – zapytała swoim ochryłym głosem, a widząc zasapanego bratanka, zaproponowała, aby najpierw zdjął tę ociekającą szmatę, to będzie mu lżej i wygodniej. Zanim Andrzej zdążył odpowiedzieć, już odpinała guziki futerka i zsuwała z kobiety mokre okrycie. Mężczyzna z wdzięcznością cmoknął staruszkę w policzek. Wspólnie z bratem ułożyli kobietę na łóżku i ciocia pobiegła po którąś

z bratanic. Ciotka Halina, jak na osobę w jej wieku, była bardzo dynamiczna i szybko podejmowała decyzje. Kiedy wróciła do pokoju z Irką, starszą siostrą Andrzeja, zobaczyła, że bratanek energicznie rozciera kobiecie dłonie, a jego młodszy brat robi to samo z jej stopami.

– Wyjdźcie z pokoju! – zawołała, jednocześnie odsuwając mężczyzn od nieprzytomnej kobiety.

– Ale ciociu, jestem lekarzem... – Andrzej próbował protestować.

– Na chwilę tylko wyjdźcie! – krzyknęła staruszka i obaj mężczyźni, zdając sobie sprawę z tego, że ich protesty nie zdadzą się na nic, zaczęli powoli wycofywać się do przedpokoju.

– Irka, daj ten szlafrok i pomóż mi ściągnąć z niej te mokre łachy. Fiu, fiu... Francja elegancja – gwizdnęła Halina, zdejmując z kobiety czarną atłasową sukienkę. We dwie szybko przebrały gościa w ciepłą flanelową koszulę, na którą nałożyły gruby frotowy szlafrok i uzupełniły odzienie ciepłymi, wełnianymi skarpetami.

– Możesz wejść, Andrzejku! – zawołała Halina i ustąpiła miejsca przy łóżku kobiety bratankowi.

Prężne ruchy staruszki i jej pomocnicy spowodowały, że kobieta poruszyła się. Powoli otworzyła oczy i zaczęła rozglądać się dookoła. Widząc wpatrzony w siebie kilka par oczu, natychmiast zamknęła swoje. Poruszyła ręką i czując pod palcami miły w dotyku materiał szlafroka, ponownie je otworzyła.

– Przepraszam, gdzie ja jestem? – zapytała, spoglądając na stojące wokół niej osoby.

– Spokojnie, proszę się nie wysilać mówieniem. Jest pani w bezpiecznym miejscu. – Andrzej podszedł bliżej i delikatnie ujął dłoń kobiety. Uśmiechnął się i popatrzył na swoje rodzeństwo i ukochaną cioteczkę. – Będzie dobrze. Chyba pani zasłała na drodze. Znalazłem panią

i przywiozłem tutaj. Jestem lekarzem, więc proszę się nie obawiać...

– Na drodze? – Ilona powoli zaczęła sobie przypominać ostatnie godziny. – Chyba zasnęłam... w lesie...?

– Ciiii. – Andrzej przyłożył palec wskazujący do swoich ust i mrugnął porozumiewawczo. – Teraz pani trochę odpocznie, a potem porozmawiamy.

– Gdzie ta zmarzłaczka? – W drzwiach pokoju ukazała się siwiuteńka głowa starszej pani, przed którą prezentowała się taca z jakimś parującym napojem, a następnie cała sylwetka drobnej, chudziutkiej osoby.

– Isiu! – Głos drugiej starszej kobiety zabrzmiał tak donośnie, że Ilona aż się skuliła. – Co ty przyniosłaś tej biedaczce?

– Jak to co? Grzańca. – Isia z dumą wysunęła przed siebie tacę, na której stał duży porcelanowy kubek pachnący goździkami i pomarańczą.

– Czyś ty zwariowała? W Wigilię proponujesz grzańca?

– Wigilia była wczoraj, dzisiaj już jest pierwszy dzień świąt. – Staruszka wymownie spojrzała na wiszący na ścianie zegar i szelmowsko się uśmiechnęła.

Z odległości kilku metrów, jakie dzieliły ją od Ilony, wyglądała jak mała dziewczynka, której brakowało warkoczyków z kolorowymi kokardami. Fikuśna czarna sukienka w białe grochy, z dużym kołnierzykiem zrobionym na szydełku, pasowała do drobnej sylwetki wyprostowanej jak struna.

– Ciociu, trzeba chyba najpierw nakarmić gościa, a potem dopiero upijać. – Irena z czułością objęła staruszkę i odebrała z jej rąk tacę z gorącym napojem.

– A, to ja zaraz podgrzeję barszczyku. – Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, starsza pani była już w drodze do kuchni.

Ilona, zakłopotana, przysłuchiwała się wymianie zdań osób stojących w pokoju i wystraszoną wzrokiem spoglądała na bardzo podobne do siebie twarze.

– Przepraszam za kłopot, ale ja... – Próbowwała coś powiedzieć, ale stojący najbliżej mężczyzna pokręcił tylko głową i ponownie położył palec na ustach, tyle że tym razem na jej.

– Dobrze, pani teraz wypoczywa, a reszta idzie do salonu – zdecydowała pierwsza staruszka, okrywając Ilonę ciepłym, miękkim kocem. – Zostawię pani zapaloną małą lampkę, a jak Isia podgrzeje barszcz, to przyniosę. No, na co czekacie? Sio! – Energicznymi ruchami zaczęła wypychać wszystkich z pokoju.

– Ale ciociu... – próbował protestować Andrzej.

– Później, później, chłopcze. – Wypchnęła mężczyznę za drzwi i odwróciła się jeszcze do Ilony, mrugając porozumiewawczo.

Gorący kubek wyjątkowo smacznego barszczu, jakim uraczono Ilonę w tym przypadkowym domu, sprawił, że w mgnieniu oka znalazła się w objęciach Morfeusza. Mocny sen nie był jednak pozbawiony koszmarów, które męczyły ją prawie do samego rana. Kiedy otworzyła oczy, czuła się nieco zdezorientowana. W domu panowała cisza i tylko gdzieś na dworze słychać było poszczekiwanie psów. Wstała, starając się zachowywać jak najciszej, i wyjrzała na korytarz w poszukiwaniu łazienki. Kiedy tylko wystawiła nogę za próg pokoju, na jej drodze ukazała się drobna postać w nieco za dużym, grubym szlafroku.

– O, już się paniusia obudziła? Kawy przygotować? – zaszcebiotała postać, wnikliwie przyglądając się gościowi.

– Dzień dobry pani, ja tylko...

– Siusiu? – Starsza pani uśmiechnęła się i wskazała drzwi na końcu korytarza. – Jedna łazienka jest tam, w szafce znajdziesz, kochanieńka, czyste ręczniki, a w szufladzie pod

umywalką nowe szczoteczki do zębów, bo ty chyba ich jeszcze używasz?

– Ja... tak, oczywiście. Dziękuję. – Ilona wykrzywiła usta, imitując uśmiech, i szybkim krokiem udała się do wskazanego pomieszczenia. Kiedy wyszła, poczuła rozplywający się w powietrzu zapach świeżo zaparzonej kawy. Kierując się w jego stronę, trafiła do kuchni, gdzie przy dużym drewnianym stole siedziały dwie starsze panie w grubych podomkach. Ilona spojrzała na siebie i zdając sobie sprawę z tego, że również ma na sobie taki szlafrok, roześmiała się.

– Dzień dobry, czy załapię się na filiżankę kawy? – zapytała, ciekawie rozglądając się po skromnie, a zarazem bardzo gustownie urządzonej pomieszczeniu.

– Oczywiście, siadaj, dziecko.

Dziecko – Ilona pomyślała, że dawno nikt nie nazwał jej dzieckiem. Kobieta dobiegająca do czterdziestki nazwana dzieckiem, brzmi... chyba dość komicznie. Usiadła jednak za stołem i z przyjemnością upiła łyk gorącego, aromatycznego napoju.

– Mmm, smaczna – powiedziała, kiwając głową z aprobatą. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że się nie przedstawiła. – Ilona Grądziel jestem. – Podała dłoń najpierw jednej, a następnie drugiej starszej pani.

– Ja jestem Halina, a to Isia. – Jedna z pań dokonała prezentacji. – Jak to się stało, że znalazłaś się w wigilijną noc na takim pustkowiu?

Ilona przymknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie zdarzenia ubiegłej nocy, ale kiedy otworzyła usta, aby opowiedzieć tym miłym staruszkom o niefortunnym zajściu w domu, do kuchni weszła kobieta, odrobinę starsza od niej. Uśmiechnęła się, szeroko ziewając, i natychmiast podeszła do dzbanka z kawą. Usiadła przy stole i zaczęła siorbać gorący napój.

– Irka, no co ty? – Halina fuknęła z udawanym oburzeniem.

– Ciociu, w tym domu zawsze czuję się dzieckiem, pozwól mi na te chwile beztroskiej radości. Irena jestem, starsza siostra Andrzeja, to znaczy tego faceta, który cię przywiózł.

– Wyciągnęła dłoń w stronę gościa i mrugnęła porozumiewawczo.

– Ilona. Przepraszam za to całe zajście, wypiję kawę i już mnie tu nie ma.

– No chyba żartujesz. Chłopaki chyba by nas pozabijały, gdybyśmy pozwoliły ci odejść. – Irena roześmiała się.

– I to bez śniadania – dodała Isia. – Gość w dom, Bóg w dom.

– To miłe z waszej strony, ale nie wiem, czy... Są przecież święta, a to raczej rodzinne, a ja...

– Nie marudź, bo za karę będziesz musiała iść wydoić krowy. – Isia zrobiła srogą minę, ale jej oczy śmiały się zawadiacko.

– Macie tu krowy?

– A jakże. I świnię, i kury, i gęsi, i...

– Ciociu, przestań żartować, bo się dziewczyna złęknie polskiej wsi. – Irena śmiała się w głos, przytulając do siebie drobne ciało jednej ze staruszek.

– Co tu tak wesoło? Czyżby mnie jakaś zabawa ominęła? – Do kuchni wszedł mężczyzna trzymający na rękach około trzyletnie dziecko.

– Jacuś, właśnie ciocia Isia zagroziła Ilonie, że jak będzie niegrzeczna, to za karę pójdzie doić krowy. – Irena zanosila się śmiechem, nie mogąc się opanować.

– Czyje krowy? – Mężczyzna, zaskoczony, spojrzał najpierw na jedną starszą panią, a następnie przeniósł wzrok na drugą.

W tym momencie wszystkie cztery, włącznie z Iloną, wybuchnęły śmiechem. Ilonę ta reakcja zaskoczyła, nie mogła pojąć, że w ciągu jednej, tak feralnej dla niej nocy trafiła do domu przepełnionego tak pozytywną energią, do ludzi obcych, a jednocześnie wydawało jej się, że tak bliskich, jakby była częścią tej rodziny. Pomyślała o swoim cichym, smutnym mieszkaniu przepełnionym drogimi rzeczami a tak pustym zarazem, pozbawionym spontanicznych uczuć.

ROZDZIAŁ 2

Zima, rok 2015

Podczas świątecznego śniadania okazało się, że w domu znajduje się dziewięć dorosłych osób i pięcioro dzieci. Ilona po wypiciu kawy chciała przebrać się i opuścić ten niesamowity dom, ale wszyscy dorośli zgodnie zaprotestowali. Dwie starsze panie zaproponowały, że chętnie ugoszczą ją nawet przez kilka dni, bo pojutrze, kiedy wszyscy porozjeżdżają się do siebie, ten dom będzie stał pusty. Tak właściwie Ilona nie miałaby nic przeciwko, ale brak jakiegokolwiek odzieży trochę ją krępował. Nie będzie przecież chodziła cały czas w tej samej sukience czy w szlafroku. Z pomocą przyszła jej Irka, proponując swoją szafę, w której zawsze trzymała rzeczy na wypadek nagłego przyjazdu do rodzinnego domu. Nie lubiła wozic ze sobą ciężkich walizek, więc miała tu sporo ubrań. W nowym mieszkaniu szafy były mniejsze, a kiedy na świat zaczęły kolejno przychodzić dzieci, to wraz ze wzrostem rodziny zaczęło brakować miejsca na jej ubrania. Niczego nie chciała oddawać czy wyrzucać, bo do każdej sukienki i do

każdego sweterka czuła głupi sentyment. I tak, tym sposobem, w domu ciotek posiadała pokaźnych rozmiarów szafę z dość niebagatelną zawartością.

Tak jak mówiły starsze panie, dwa dni po świętach w domu zrobiło się znacznie puściej. Pozostała tylko Halina, Isia, oraz Juliusz, Filip i Antoni z żoną Jadwigą, którzy postanowili jeszcze kilka dni pozostać z siostrami. Ilona za towarzystwo miała trzy starsze panie i trzech starszych panów. Nie nudziła się z nimi absolutnie, ponieważ energia, jaka tryskała z tych ludzi, była wręcz zaskakująca.

Juliusz mieszkał w Gdańsku razem z synem. Po śmierci mamy i po rozwodzie z żoną Andrzej postanowił zabrać ojca do siebie, aby było im raźniej. Ale starszy pan i tak częściej przebywał na wsi u sióstr niż w mieszkaniu syna. Tu czuł się u siebie, a tam, w mieście, nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Antoni z Jadwigą tydzień po świętach wracali do Francji, gdzie mieszkali z dwójką swoich dzieci i gromadką wnucząt, więc również postanowili jeszcze kilka dni spędzić na rodzinnej ziemi.

Natomiast Filip po śmierci żony wprowadził się do domu rodzinnego i zamieszkał z siostrami. Był bezdzietny, więc nie chciał pozostać w objęciach samotności, a siostry przyjęły go z otwartymi ramionami, tak jak zrobiły to dawno, dawno temu.

Ilona zaproponowała, że wynajmie jeden z pokoi i będzie za niego płaciła, aby nie czuć się intruzem. Ta niesamowita rodzina przygarnęła ją jak swoją, czuło się bijącą od nich pozytywną energię i moc przyjaźni. Ktoś, kto nie miał możliwości poznać tych ludzi, nigdy nie przypuszczałby, że taka więź w ogóle istnieje.

Na sylwestra przyjechał tylko Andrzej, co Ilonę bardzo ucieszyło. Ten mężczyzna od pierwszego dnia miał w sobie coś, co ją do niego przyciągało. Miły, sympatyczny i... taki

inny od Krzysztofa. Nie było w nim tej zakłamanej czułości i fałszu.

Siedzieli przy dużym prostokątnym stole i próbowali oglądać jakiś program muzyczny, ale seniorzy bez przerwy przekomarzali się na różne tematy dotyczące gwiazd estrady. Panie oczywiście komentowały ubiory, panowie zaś dyskutowali na temat współczesnych piosenek. Ilona siedziała, wsłuchując się w te dyskusje, i chociaż nie czuła się skrępowana, to coś ją w środku blokowało. Może była to obecność Andrzeja, który zerkał na nią od czasu do czasu jak podlotek. Mieszkańcy domu byli tak do siebie podobni, że nietrudno było odgadnąć, że są rodziną. Andrzej był taką kopią ojca, że ten nigdy nie wyparłby się syna. Halina, Juliusz i Antoni mieli takie same oczy. Tylko Isia z Filipem trochę się od nich różnili, ale za to ich podobieństwo do siebie było uderzające.

– Jacy wy wszyscy jesteście do siebie podobni. – Ilona nie zwróciła uwagi na to, że wypowiedziała na głos własne myśli.

– W końcu jesteśmy rodzeństwem – roześmiała się Halina.
– Wprawdzie płynie w nas różna krew, ale kto na to zwraca dziś uwagę.

– Co to znaczy, że płynie w was różna krew? – Ilonę zaskoczyły trochę słowa gospodyni.

– Oj, długo można by o tym mówić, ale tak w skrócie to...

– Ciociu, pozwól, że ja to Ilonie wytłumaczę. – Andrzej poklepał ciotkę po dłoni i przymilnie uśmiechnął się do niej.

– Jak chcesz, to proszę. A ja w tym czasie przygotuję nam kawę. – Halina wstała i małymi kroczkami udała się w stronę kuchni.

Ilona spoglądała to na Andrzeja, to na Halinę, i nie mogła zrozumieć, co takiego zawilego może być w przedstawieniu osób. Ale ponieważ uwielbiała głos Andrzeja, przysunęła się bliżej niego i szepnęła:

– Cała zamieniam się w słuch.

Andrzej powiódł wzrokiem po wszystkich osobach pozostałych przy stole i chrząknął, jakby miał zamiar przystąpić do przemówienia.

– Ciocia Halinka jest siostrą mojego ojca, czyli Juliusza, i siostrą mojego wujka Antoniego. Była jeszcze jedna siostra, ciocia Wanda, ale zmarła dwa lata temu. Natomiast ciocia Isia jest siostrą wujka Filipa, który jest przyrodnim kuzynem pozostałych. Zrozumiałaś?

Ilona pokręciła głową.

– Czekaj, muszę to sobie trochę poukładać. – Ilona zaczęła intensywnie myśleć. – Dlaczego mówisz, że wuj Filip jest przyrodnim kuzynem?

– Oj, dziecko, tak trudno to zrozumieć? – Do rozmowy dołączyła się Isia. – Filip jest dzieckiem adoptowanym. Ciocia Zosia, siostra mamy Haliny, Antka i Julka, w czasie wojny straciła dziecko, zmarło na paratyfus. Kilka dni po śmierci małego Filipka Antek i Julek znaleźli na torach zawiniątko. Dziecko zostało wyrzucone z transportu Żydów, który jechał do obozu. Przynieśli dziecko do domu, a tu... Zosia od razu się w nim zakochała i uznała, że to jej synek.

Ilona pokręciła głową z niedowierzaniem.

– A ty? Z tego, co zrozumiałam, jesteś rodzoną siostrą Filipa, jak się zatem znalazłaś w tej rodzinie?

– Kochana, coś czuję, że czekają nas długie godziny rozmów. Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie, a teraz szykujcie kieliszki, bo zaraz północ. – Isia energicznie wstała i podreptała do kredensu, na którym stała taca z kieliszkami. – Może ktoś z młodzieży mi pomoże?! – zawołała w stronę Andrzeja i Ilony. Oboje jak na komendę podnieśli się ze swoich miejsc i podbiegli do staruszki. Andrzej powoli zaczął otwierać butelkę z szampanem, a Ilona zasłoniła dłońmi uszy.

– Trzy! Dwa! Jeden! Wszystkiego najlepszego!

Nowy rok zaczął się piękną słoneczną pogodą. Mróz nie szczędził swojego talentu nikomu i przez noc pomalował szyby w różnorakie wzory. Śnieg przestał padać, ale za to na polach i drodze widać było iskrzące się drobinki, jakby ktoś wszystko oprószył srebrnym brokatem. Ilona obudziła się jako jedna z pierwszych, zeszła do kuchni i nastawiła ekspres z kawą. Z kubkiem gorącego napoju weszła do salonu i usiadła w dużym, wygodnym fotelu naprzeciwko okna. Po chwili usłyszała ciche skrzypienie podłogi, które zasygnalizowało jej czyjąś obecność. Odwróciła się i uśmiechnęła do pięknej, choć powleczonej siateczką zmarszczek twarzy. Isia usiadła obok niej w drugim fotelu i upiła mały łyk aromatycznej kawy.

– Każdego pierwszego dnia roku dziękuję za to, że żyję. – Isia zamyśliła się i zerknęła na stojącą na kredensie fotografię dwóch jedenasto-dwunastoletnich dziewczynek. Jedna z nich smutna, chudziutka i ciemnooka, a druga poważna, jasnooka, siedząca na wózku inwalidzkim. W oku starszej pani błysnęła łza, która bardzo Ilonę zaskoczyła. Ta cudowna, pogodna staruszka, która uśmiechała się od świtu do nocy, jednak potrafiła się wzruszyć. – Przeżyłam wojnę, a to już jest wielki mój sukces, który zawdzięczam głównie pewnej niemieckiej rodzinie. Potem, kiedy wróciłam do mojej Polski, to wiele razy zastanawiałam się, gdzie tak właściwie jest moje miejsce, bo nie czułam się tutaj dobrze. Nikt nie kocha Żydów, nie kochali nas Niemcy, nie kochali Polacy, a co my im wszystkim złego zrobiliśmy? Co zrobiły tym wszystkim dorosłym dzieci żydowskie, które nawet nie miały pojęcia, że urodziły się nie w tej rodzinie, co powinny? – Isia otarła wierzchem dłoni spływającą po policzku łzę i uśmiechnęła się do Ilony. – Wczoraj chciałaś poznać losy naszej rodziny, jeżeli masz ochotę, to zacznę od siebie i od mojego rozstania z Filipem, a właściwie Aronem, bo w naszej rodzinie takie właśnie imię dostał.

– Jeżeli to nie będą dla ciebie bolesne wspomnienia, to chętnie posłucham. – Ilona popatrzyła na swoją rozmówczynię z ciekawością.

– Wiesz, po iluś latach rany się goją i już nie bolą tak jak kiedyś. Chociaż... bywa taki ból, który pozostaje do końca naszych dni. – Isia zamyśliła się, a następnie delikatnie uśmiechnęła do swojej towarzyszki.

ROZDZIAŁ 3

Jesień, rok 1942

Pociąg zatrzymał się kolejny raz. Z zewnątrz zaczęły dochodzić jakieś krzyki, jęki i głośne szczekanie psów. I chociaż podróż była długa i męcząca, Ilse nie mogła zapomnieć tylko jednej chwili. Zbyt tragicznej. Chwili, w której mama zrobiła coś dla niej niezrozumiałego. Drzwi wagonu, w którym spędziły kilkunastogodzinną podróż, otworzyły się z hukiem i młody Niemiec zaczął krzyczeć: *Raus! Schneller, schneller!* Wszyscy byli zmęczeni, obolali i wystraszeni, ale nikt się nie ościagał, w miarę swoich możliwości podchodził do rampy, aby opuścić wagon. Jedna z kobiet, wyskakując, upadła na kolana, ale ktoś szybko pomógł jej się podnieść i stanąć w szeregu, który formowany był przez innych żołnierzy. Ilse rozpaczliwie szukała wzrokiem matki, a kiedy już ją zobaczyła, strach się nasilił. Matka zbyt wolno schodziła z rampy wagonu, co nie uszło uwadze młodego Niemca. Uderzył ją kolbą w plecy, a kiedy upadła, kopnął w nogę. Jakiś mężczyzna szybko podbiegł do leżącej, podniósł ją i prawie zaniósł do szeregu,

w którym stali już niemal wszyscy „pasażerowie” ich wagonu. Ilse spojrzała w stronę innych „podróżnych”. Zauważyła, że Niemcy oddzielają ich, kobiety popychając w jedną stronę, mężczyzn w inną, a dzieci jeszcze gdzieś dalej. Towarzyszył temu płacz, krzyk i głuchoe dźwięki uderzeń, jakich niemieccy żołnierze nie szczędzili nikomu. Psy szczekały jak wściekłe, a ich ujadania jeszcze bardziej potęgowały strach.

Dziewczynka odruchowo przysunęła się do matki i kurczowo złapała ją za rękę. Mama wydała jej się jakaś dziwna, jakby nieobecna. Tępy wzrokiem patrzyła na tory, które ciągnęły się za stojącym w polu pociągiem. Kątem oka Ilse zauważyła zbliżające się w stronę pociągu ciężarówki. Było ich kilkanaście, a może więcej. Pierwsza z nich zatrzymała się w pobliżu lokomotywy i wyskoczyło z niej kilku żołnierzy w niemieckich mundurach. Po chwili część kobiet ustawionych przed pierwszym wagonem popychaniem i krzykami została skierowana do tej ciężarówki. Kobiety wyciągały ręce w stronę dzieci, dzieci płakały, niektóre krzyczały i wrywały się w stronę matek, ale obnażone kły niemieckich owczarków działały wyjątkowo hamująco. Ilse czuła, jak strach paraliżuje jej ciało, a matka... jakby nie zauważała tego wszystkiego, co się wokół nich dzieje. W pewnej chwili przed ich grupą stanął wysoki Niemiec w eleganckim mundurze. Dziewczynka w pierwszej chwili zauważyła jedynie jego pięknie błyszczące buty. Był mniej więcej w wieku jej ojca. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Odruchowo schowała się za matkę, która i tak nie byłaby w stanie jej obronić, gdyby ten mężczyzna chciał jej w tej chwili coś zrobić. Oficer kiwnął głową i poszedł dalej, przyglądając się innym. Zauważyła, że zatrzymuje się prawie przed każdą dziewczynką. Uśmiecha się i przechodzi dalej. Kilku żołnierzy zaczęło ich rozdzielać. Mężczyznom kazali stanąć kilka metrów przed wagonem, a kobiety skierowali w stronę podjeżdżających ciężarówek. Jeden z mężczyzn, licząc zapewne na to, że w tym

zamieszaniu zostanie niezauważony, rzucił się do ucieczki w stronę pola. Nie odbiegł jednak nawet dwudziestu metrów, kiedy powaliła go na ziemię kula młodego Niemca, pilnującego ich grupy. Ilse mocniej chwyciła matkę za rękę, ale jeden z żołnierzy silnym ruchem oderwał ją i popchnął w stronę wagonu, przy ścianie którego stało już kilkoro innych dzieci. Ilse poczuła ciepło na policzkach, jej oczy nagle zaszły mgłą, ciało zaczęło trząść się jak w gorączce. Kątem oka zauważyła jeszcze, jak jakaś kobieta pomaga jej matce wejść na pakę ciężarówki i mama zniknęła w tłumie innych kobiet. Nagle Ilse poczuła na sobie dotknięcie czyjejs ręki.

– *Sie. Du wirst mit mir kommen* – usłyszała nad sobą męski głos. Znała trochę język niemiecki, bo w ich kamienicy mieszkały dwie rodziny niemieckie, a z ich dziećmi bawiła się często na podwórku. Zresztą większość Żydów znała język polski i chociaż między sobą używali języka jidysz, to ze względu na podobieństwo niemieckiego i jidysz większość z tego, co mówił, rozumiała. Zrozumiała, że pan oficer każe jej iść ze sobą. Strach nasilił się, ale postanowiła być harda, nie pokazać mu, że jest tylko biedną, wystraszoną Żydówką, z którą on może zrobić, co chce, bo ma pistolet czy niemiecki mundur. Wystąpiła przed grupę innych dzieci i chociaż czuła, że jej nogi trzęsą się jak galareta, starała się nie pokazywać przed innymi dziećmi swojego strachu. Instynktownie czuła, że ten mężczyzna jej nie skrzywdzi. Może tak właśnie działa dziecięca naiwność? Przeszli obok ciężarówek i stanęli przed dużym czarnym samochodem, w środku którego siedział inny oficer. Niemiec gestem nakazał jej wejść do środka, a kiedy wsiadała, ten drugi gwałtownie otworzył drzwi i wysiadł. Podszedł do „jej” oficera i chociaż mówili ściszymi głosami, to wyraźnie słyszała, że się kłóca. Ten drugi pokazywał na pociąg i na ciężarówkę, a „jej” oficer ukradkiem spoglądał w stronę samochodu. W końcu wyjął z kieszeni munduru jakieś zdjęcie i pokazał temu drugiemu. Tamten kilkakrotnie

pokiwał głową, ale widocznie to zdjęcie spowodowało, że uznał kłótnię za zakończoną. Po chwili obaj wsiedli do samochodu. Ten drugi, marszcząc nos, jakby przeszkadzał mu zapach dziewczynki, zajął miejsce obok kierowcy, a „jej” oficer usiadł na tylnym siedzeniu, obok niej. Jechali w milczeniu. Za oknem samochodu migały domy, pola, las, ludzie. Zaczęło się ściemniać, kiedy dotarli do jakiegoś miasta. Ilse w czasie całej podróży próbowała nie zasnąć, ale zmęczenie jazdą pociągiem zbyt silnie działało na jej organizm, czuła, jak co jakiś czas głowa sama opada jej na klatkę piersiową. Samochód zatrzymał się przed dużą kamienicą. Najpierw wysiadł z niego ten drugi Niemiec, a następnie „jej” oficer kazał opuścić samochód młodemu kierowcy. Obaj panowie ruszyli w stronę dużego budynku, z okna którego zwisały niemieckie flagi. „Jej” oficer okrył ją ciepłym płaszczem i sam zasiadł za kierownicą. Nie wiedziała, jak długo jechali. Zmęczenie zwyciężyło. I chociaż od czasu do czasu w żołądku czuła ogromne ssanie, to wierzyła, że wkrótce ta podróż dobiegnie końca.

Obudziła się w miękkim łóżku, przykryta ciepłym, szarym pledem. Na stoliku obok stała filiżanka z parującym napojem, a na talerzyku leżały dwie kromki chleba grubo posmarowane konfiturą. Ilse zerwała się na nogi i zachłannie zaczęła jeść. Bała się, że to tylko sen. Tak dawno nie miała nic w ustach, że zapomniała już, jaki smak może mieć zwykły chleb czy konfitura. Upiła łyk ciepłego mleka i pomyślała, żeby ten sen trwał wiecznie. Stanowczo nie chciała się z niego obudzić.

Kiedy kończyła ostatnią kromkę, drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wszedł „jej” oficer. Początkowo go nie poznała. Widać było na jego twarzy ogromne zmęczenie i jakiś dziwny niepokój.

– Wyspałaś się? Odpoczęłaś? – zapytał po polsku, spoglądając na dziewczynkę z dziwną czułością.

Ilse kiwnęła głową, patrząc na niego swoimi dużymi, ciemnymi oczami. Nie widział w nich strachu, tylko zdziwienie i... może zaufanie.

– Nie boisz się mnie. – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

Dziewczynka pokręciła głową, ale jej czujny wzrok podpowiadał mu, że w głębi duszy to dziecko jednak czuje zaniepokojenie.

– Dlaczego? Nie znasz mnie. – Uśmiechnął się jak dobry wujek i zbliżył się do niej.

Odruchowo cofnęła się pod ścianę, nie przestając wpatrywać się w jego twarz.

– Umiesz mówić? A może jesteś niemową? Jak się nazywasz?

Dziewczynka odpowiedziała, ale jej głos był tak cichy, że ledwo dało się cokolwiek zrozumieć.

– Jak? Powtórz! – Niemiec podniósł głos, chociaż wcale nie chciał, aby to zabrzmiało jak rozkaz.

– Ilse Salman.

– Ilse... Ładnie. – Mężczyzna pokiwał głową. – Chodź tu do mnie. – Wyciągnął rękę w jej stronę i uśmiechnął się zachęcająco.

– *Nein*. – Dziewczynka odruchowo odpowiedziała w języku niemieckim i cofnęła się w głąb pokoju.

– Nie musisz do mnie mówić po niemiecku, znam język polski tak dobrze jak ty. – Niemiec pokiwał głową i skierował się w stronę dużego, brązowego fotela. Rozsiadł się w nim wygodnie i zaczął oglądać swoje paznokcie. –

Chcę, abyś wiedziała, że uratowałem cię od czegoś bardzo złego, ale ty w zamian za to musisz mi się odwdzięczyć. Takie są zasady. Coś za coś. – Spojrzał na Ilse tak, jakby chciał ją uderzyć, ale już chwilę po tym jego twarz znów przybrała wyraz dobrego wujka. – Wojna to nie jest czas dla

dzieci. Wojna to nie jest czas dla tych, którzy chcą spokojnie żyć ze swoimi rodzinami. Niestety ani ja, ani tym bardziej ty, nie możemy z tym nic zrobić. Możemy tylko sobie jakoś pomóc nawzajem. Ja pomogłem tobie, a ty pomożesz mnie.

– Ja? – Ilse zbliżyła się do „swojego” oficera i usiadła na dywanie obok jego nóg. – Przecież pan oficer jest personą, a ja tylko biednym dzieckiem, które ktoś zabrał z domu. Zabrał od mamy, tate... zabrał od braci. Tacy panowie oficerowie mają władzę, a my... my tylko mamy strach. Dlaczego nas zabijacie? Dlaczego znęcaliście się nad nami? Zabieracie naszych ojców, wujków, dziadków na wojnę? Przecież to wy chcieliście tej wojny! – Ilse krzyknęła i rozplakała się. – Gdzie jest moja mama! Gdzie są moi bracia? Gdzie jest mój tata, którego nie widziałam od dawna? Zabiliście go! Nienawidzę was! Nienawidzę pana! – Złapała za nogawkę spodni mężczyzny i zaczęła nią tarmosić jak rozszłoszczony szczeniak.

Niemiec położył dłoń na głowie dziewczynki i delikatnie pogłaskał ją po włosach.

– Masz rację. Masz prawo się na mnie złościć. Masz prawo mnie nienawidzić. Ale ja tej wojny nie chciałem tak samo jak twój tata, twoja mama czy ty.

Ilse podniosła głowę i spojrzała w oczy oficera. Zobaczyła, że płacze. Po policzku tego dużego, obcego mężczyzny, ubranego w złowrogi niemiecki mundur, spłynęła łza. Niemiec szybko otarł ją z twarzy i wykrzywił usta, chcąc ułożyć je w uśmiech.

– Ponieważ jest wojna, a ty jesteś moim... – szukał w myślach odpowiedniego słowa. – Nieważne. Potrzebuję cię. Tu są dla ciebie dokumenty, których musisz pilnować jak oka w głowie. Umiesz czytać? – Ilse kiwnęła głową. – Naucz się na pamięć tego, co jest w tych papierach i w tym. To bardzo ważne. – Mężczyzna postukał palcem w małą książeczkę. – I zapomnij, że jesteś polską Żydówką. Od dzisiaj jesteś tylko Polką. Polskim dzieckiem. Zrozumiałaś?

– Dziewczynka odruchowo kiwnęła głową i zerknęła na trzymane w ręku mężczyzny dokumenty i małą książeczkę, na okładce której widniał krzyż. – Dzisiaj wieczorem wsiądziesz do ciężarówki i pojedziesz do Niemiec. Do pracy. W pewnej niemieckiej miejscowości będzie na ciebie czekał samochód, który zawiezie cię do pewnego domu. W tym domu będziesz pracowała. Postaraj się mnie nie zawieść. A... i jeszcze jedno. To musisz wyrzucić albo bardzo głęboko schować. – Dotknął wystającego spod sukienki medalionu. – Najlepiej wyrzucić, bo...

– A pan? – Ilse spojrzała na oficera z wyraźnym strachem.

– Niestety, ja muszę zostać tutaj. W Gdańsku. – Mężczyzna wyraźnie posmutniał. – Muszę pracować, robić rzeczy, których nie chcę robić, ale niestety... muszę je robić.

– Czy spotkamy się jeszcze kiedyś? Jak skończy się wojna? – Ilse wstała i złapała oficera za rękę. – Czy pan wie, kiedy się skończy?

– Już niedługo, słoneczko. – Niemiec pogłaskał dziewczynkę po policzku i kciukiem starł spływającą po jej policzku łzę. – Mam nadzieję. Mam nadzieję, że się spotkamy, i mam nadzieję, że wkrótce wojna się skończy.

– A co z moją mamą? Gdzie oni ją zabrali?

Mężczyzna wzdrygnął się, jakby nagle poczuł przejmujący chłód.

– Twoja mama... Obawiam się, że ona tej wojny nie przeżyje. Musisz być silna i wierzyć, że kiedyś spotkasz się z nią tam... gdzie wszyscy się kiedyś spotkamy. Chociaż... ja chyba trafię w inne miejsce niż ty. – Nagle mężczyzna wstał, gwałtownym ruchem odsunął dziewczynkę od siebie i bez pożegnania wyszedł z pokoju.

Ilse usiadła w fotelu, na miejscu, które wcześniej zajmował Niemiec, i ponownie się rozpłakała. Popatrzyła w stronę okna i odruchowo dotknęła klatki piersiowej, gdzie pod brudną, poplamioną sukienką z szyi zwisał jej medalik.

Zdjęła go i wsadziła do kieszonki wszytej od wewnętrznej strony sukienki, w której czasami przenosiła małe karteczki przekazywane przez mamę pewnym ludziom. Otworzyła książeczkę z krzyżem, którą dostała od Niemca, i zaczęła czytać:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie

Święć się imię Twoje...

Późnym wieczorem do pokoju weszła starsza kobieta. Przyniosła ciepły wełniany płaszczyk i worek, w którym znajdowało się kilka kromek chleba i dwa jabłka. Wsadziła do worka dokumenty, które zostawił pan oficer, i powiedziała, że zawiezie Ilse do miejsca, z którego pojedzie do niemieckiej rodziny, do pracy. Wychodząc z pokoju, ostrożnie rozejrzała się po korytarzu, a następnie sprowadziła dziewczynkę na dół, po wąskich schodach przeznaczonych tylko dla pracowników hoteliku, do którego przywiózł ją niemiecki oficer. Przed budynkiem stał ten sam czarny samochód, którym Ilse przyjechała, ale w środku nie było nikogo oprócz kierowcy. Starsza pani wsiadła z nią do auta i ruszyli. Na ulicach było spokojnie, niewielu ludzi, i tylko nieliczne wysokie latarnie przyciemnionym światłem iluminowały piękne budynki. Ilse zauważyła, że kierowca od czasu do czasu spogląda na jej odbicie w lusterku. W pewnym momencie, gdy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się i mrugnął do niej porozumiewawczo. Wyjechali z miasta. Po kilkudziesięciu minutach jazdy samochód zatrzymał się przed ciężarówką zapełnioną innymi ludźmi, przed którą stało dwóch niemieckich żołnierzy z karabinami. Przy ich nogach grzecznie siedziały piękne, duże psy. Kobieta wysiadła z auta, nakazując dziewczynce pozostanie w środku, do momentu, aż po nią wróci. Podeszła do mężczyzny w mundurze oficerskim i pokazała mu jakieś dokumenty. Ten dokładnie je przeczytał, spojrzał w stronę samochodu, skinął głową

i oddał jej kopertę. Starsza pani kiwnęła na kierowcę. Młody człowiek wysiadł z samochodu, otworzył drzwi przed małą pasażerką i dość mocny uściskiem wyciągnął ją na zewnątrz. Następnie pchnął ją w stronę kobiety i spokojnie wrócił za kierownicę. Ilse poczuła strach. Kolejny raz czekała ją podróż w nieznaną. W oddali słychać było strzały, jakieś hałasy i... szum morza.

Kobieta złapała Ilse za rękę i podprowadziła do ciężarówki. Zawiesiła jej na szyi szmaciany woreczek i włożyła do niego dokumenty. – *Mit Gott, Mädchen* – szepnęła, nieznacznie nachyliwszy się nad głową dziewczynki. Następnie pomogła jej wejść na pakę ciężarówki i szybkim krokiem oddaliła się w stronę samochodu. Zanim ciężarówka ruszyła, czarny samochód już zniknął za zakrętem.

Ilse rozejrzała się po twarzach siedzących w środku ludzi i uśmiechnęła się, chcąc dodać sobie i im otuchy. Nikt jednak nie odwzajemnił jej uśmiechu. Otuliła się za dużym płaszczem, który zostawiła jej kobieta, schowała w nim twarz i wówczas poczuła jak strach, ból po utracie najbliższych, żal do całego świata i cała gorycz jej młodego życia potęgują się. Szloch, jaki wstrząsnął jej ciałem, był jak wybuch. W pewnej chwili poczuła, że ktoś otacza ją ramieniem i delikatnie głaszcząc po głowie. Uniosła twarz i spojrzała w smutne, niebieskie oczy. Młoda dziewczyna, która siedziała obok, delikatnie próbowała się uśmiechnąć, ale wyszło jej to bardziej jak grymas bólu.

– Jestem Frania, cieszę się, że będziemy razem podróżowały. – Głos dziewczyny drżał, ale ciepło bijące z jej oczu pozwoliło Ilse na odrobinę wiary w to, że jednak nie wszystko i nie wszyscy są tacy źli. W tym samym momencie drzwi ciężarówki zamknęły się z łoskotem i wszyscy usłyszeli ciężko opadającą zasuwę. Ciężarówka ruszyła, a za nią w bliskiej odległości słychać było inny samochód. W tamtym pewnie jadą żołnierze z psami – pomyślała Ilse i przytuliła się do siedzącej obok dziewczyny. Długo myślała o mamie, o małym braciszku, którego źli Niemcy zastrzelili,

i o braciszku... który został gdzieś na polskich torach. Czy przeżył? Bardzo chciałaby, aby tak się stało, i jak zawsze mawiała ich polska sąsiadka, pani Hela, że: „Nadzieja umiera ostatnia”, postanowiła nie pozwolić umrzeć swojej nadziei.

Jechali długo, co jakiś czas zatrzymując się na posiłek składający się z kawałka czarnego chleba i pół garnuszka czegoś, co miało nieokreślony smak, oraz na potrzeby fizjologiczne. Chleb i kawę podawali im żołnierze do środka, a na siusiu wypuszczali po dwie osoby. Zero intymności, szczególnie dla kobiet, ponieważ każdą z nich pilnował Niemiec z psem. Mężczyźni śmiali się, gdy kobiety nieudolnie próbowały zakryć to, co robią, żartowali z nich, a na koniec szczuli psami. Czynności te odbywały się więc w atmosferze wstydu i strachu.

Wreszcie dojechali do jakiegoś miasteczka. Część ludzi z ciężarówki przesiadła się do innego pojazdu i odjechała w nieznanym kierunku. Ilse opuściła swoje miejsce podróży na kolejnym postoju, gdzie również na nią i na towarzyszącą jej dziewczynę czekał niemiecki jeep. Dziewczynę wysadzono po około dwóch godzinach jazdy przed dużym gospodarstwem, a Ilse w towarzystwie dwóch Niemców pojechała dalej. Wieczorem dotarli do dużego domu, stojącego w otoczeniu starych drzew. Na progu czekała na nich kobieta w średnim wieku, która z doniosłą miną podpisała podane jej przez jednego z żołnierzy dokumenty. Wzięła od niego również inną kopertę, którą przycisnęła do piersi, i wskazując Ilse drogę do wnętrza domu, pożegnała się z żołnierzami. Dłuższą chwilę dziewczynka stała w dużym, oświetlonym licznymi lampami holu i przyglądała się, jak kobieta ze łzami w oczach czyta list, który przyjechał razem z nią. Domyśliła się, że jest to list od kogoś bliskiego, bo w oczach kobiety widać było zarówno cierpienie, jak i miłość. Z któregoś z pomieszczeń dochodziły do Ilse smutne dźwięki melodii, granej na jakimś instrumencie klawiszowym. Pianino czy fortepian,

zastanawiała się, wsłuchując się w nostalgicznie brzmiące akordy.

– *Sprichst du Deutsch?* – Ostry głos kobiety nagle wyrwał ją z zamyślenia.

Ilse kiwnęła głową.

– To dobrze, nie będzie przynajmniej kłopotu z porozumieniem się. – Ilse nie zrozumiała wszystkiego, co powiedziała Niemka, ale delikatnie uśmiechnęła się. –

Chodź. – Kobieta wskazała kierunek i nie czekając na dziewczynkę, ruszyła w stronę pokoju, z którego wypływały dźwięki smutnej melodii. Weszły do ogromnego salonu, którego jedna ściana od podłogi do sufitu zabudowana była półkami, na których znajdowało się tysiące książek. Przy dużym czarnym fortepianie, na wózku inwalidzkim siedziała dziewczynka, mniej więcej w wieku Ilse, która w momencie ich wejścia do pokoju przestała grać i z ciekawością zaczęła przyglądać się gościowi.

– Sabine, to jest Izabela, która przyjechała do nas z Polski. Jej kraju już prawie nie ma, więc na jakiś czas zostanie z nami, aby przeczekać wojnę. Będzie u nas pracowała jako... – Kobieta zamyśliła się. – Po prostu będzie mi pomagała i dotrzymywała tobie towarzystwa.

Dziewczynka przy fortepianie nawet nie drgnęła. Wpatrywała się w Polkę z zainteresowaniem, dostrzegając mankamenty jej ubioru i urodę, jakiej pozazdrościć mogłaby niejedna dziewczynka. Coś było w niej takiego, że Sabine na pierwszy rzut oka poczuła do niej sympatię.

– Dlaczego pani powiedziała, że mojego kraju już prawie nie ma? – Ilse przeanalizowała słowa kobiety i zapytała nieco zbyt odważnym tonem. Duże, ciemne oczy zaszkliły się, ale gdzieś w środku zapalił się w nich ogień gniewu.

– Bo to prawda. Twoi rodacy bronią się już trzy lata i wszystko wskazuje na to, że wkrótce zabraknie im sił i sprzętu. – Kobieta mówiła łagodnym tonem, jak do małego

dziecka. Jesteś chyba na tyle duża, że powinnaś to rozumieć.

– Dość, mamo! – Sabine odsunęła się od fortepianu i z trzaskiem zamknęła klapę instrumentu. – Nie chcemy o tym rozmawiać. Nie chcę słyszeć niczego o wojnie! Nie chcę wiedzieć, kto wygrywa, a kto przegrywa! Ja chcę tylko, żeby tatuś już wrócił! – Dziewczynka energicznie pokonała drogę do drzwi i odjechała z głośnym płaczem.

Kobieta spojrzała na Ilse z politowaniem, odwróciła się i pobiegła za córką. Ilse również opuściła pokój. Instynktownie skierowała się w stronę pomieszczenia, z którego dochodziły zapachy jedzenia. Skurcz w żołądku spowodował, że dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że od rana zjadła tylko mały kawałek suchego chleba. Do głodu zdążyła się już przyzwyczać, bo w domu, odkąd nastąpiła wojna, nie było już takich posiłków jak kiedyś, przydziały kartkowe nie zawsze były wystarczające, a cięższe mamy zabierały większość z tego, co było im przydzielone. Ilse rozumiała, że kobieta spodziewająca się dziecka musi jeść za siebie i za nie. Nie rozumiała tylko, dlaczego mama była tak nieodpowiedzialna. Do wybuchu wojny było im tak dobrze we trójkę. Tacie miał dla niej zawsze czas, potrafił bawić się z nią godzinami, a mame śmiała się, kiedy baraszkowali razem na podłodze. Kiedy wybuchła wojna, mama spodziewała się dziecka. Ilse nawet cieszyła się, że będzie miała siostrę lub brata. Ojciec gdzieś zniknął. Pojawiał się na krótko, i to tylko nocą, i po którymś jego wizycie matka znów była brzemienna. Jak on to robił, że zostawiał ją zawsze przy nadziei? Przy nadziei? Czy w czasie wojny kolejne dziecko to nadzieja? Nie była już dzieckiem, żeby nie rozumieć tego, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami izby, kiedy w nocy mama kazała jej spać w kuchni na leżance. A jednak nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje teraz. Wszyscy mówili, że wojna jest zła, wojna to koszmar, wojna to strach, a oni... chyba nic sobie z tej wojny nie robili.

A teraz? Gdzie teraz jest mama? Gdzie teraz jest tata? Gdzie jest mały Aron?

Ilse dotarła do kuchni; na małym stołeczku siedziała gruba kobieta z chustką na głowie. Nuciała coś pod nosem i nawet nie zauważyła, że w pomieszczeniu oprócz niej jest ktoś jeszcze. Dziewczynka spojrzała na stół i pyszniący się na nim placek drożdżowy. Nie zastanawiając się wiele, odłamała duży kawałek i szybko włożyła sobie do ust.

– A ty tu czego?! – zawołała kobieta po polsku.

– Pani jest z Polski? – Ilse poczuła, jak jej serce zaczyna tańczyć z radości.

Kobieta popatrzyła znad okularów na dziewczynkę i uśmiechnęła się. – Co tutaj robisz, słoneczko?

– Przyjechałam do pracy. Dzisiaj. – Ilse sięgnęła po kolejny kawałek ciasta.

– Wygłodniałaś? Długo tutaj jechałaś? Pani Helga już ci pokazała pokój do spania? Widziałaś się już z panią Sabine? – Kobieta wyrzucała z siebie pytania jak rwący potok wodę.

– Sabinę widziałam krótko. Pani Helga to z pewnością ładna pani, jej mama? Dziewczynka się rozplakała i ta jej mama poszła z nią gdzieś, a mnie zostawiły w korytarzu.

– W takim razie chodź. Pokażę ci, gdzie możesz się rozpakować i gdzie będziesz spała. Twoje rzeczy są w korytarzu? Przynieś je i zaraz pójdziemy.

– Nie mam żadnych rzeczy. To wszystko, co mam. – Ilse wskazała na swoją sukienkę, obszerne palto, które zostawiła jej kobieta w Gdańsku, i woreczek na szyi, w którym ukryte były dokumenty.

– Jak to?

– Zabrali nas w czasie łapanki, potem wsadzili do pociągu i długo jechaliśmy. Potem, kiedy nas wyprowadzili, podszedł

do mnie niemiecki oficer i zabrał ze sobą do jakiegoś domu. Powiedział, że pojedę na roboty do Niemiec.

– A jak wyglądał ten oficer? A zresztą, teraz to nieważne. – Kobieta machnęła ręką i pociągnęła Ilse w stronę pomieszczenia za kuchnią. – Zaraz przygotuję ci kąpiel, umyjesz się, przebierzesz i... wtedy pomyślę, co dalej.

– Dobrze, proszę pani.

– Wiesz co, mów do mnie Kazia. – Kobieta uśmiechnęła się. – Żadna ze mnie pani, prosta kobieta ze wsi jestem, dziecinko. A ty? Jak się nazywasz?

– Izabela Salmanek.

Kobieta kiwnęła głową i głęboko spojrzała w ciemne oczy dziewczynki.

– A tak naprawdę?

Ilse przeniosła wzrok na swoje stare, zniszczone buty i trzęsącymi się palcami zaczęła gnieść dół sukienki. Dłuższą chwilę zastanawiała się, czy może tej kobiecie zaufać. W końcu doszła jednak do wniosku, że co ma być, to będzie. Popatrzyła na swoją nową znajomą z ufnością i cicho szepnęła: – Ilse Salman, ale pan oficer powiedział, że mam zapomnieć, jak się nazywam, bo...

– Dobrze. – Kobieta gwałtownie weszła w słowo swojej rozmówczynie. – Jeżeli się zgodzisz, będę mówiła do ciebie Isia. Ładnie, prawda?

Ilse skinęła głową i nieśmiało się uśmiechnęła. Instynktownie czuła, że ta kobieta jest przyjacielem i nie spotka jej w tym domu nic złego.

– Pani Kaziu, to znaczy Kaziu. – Isia z zakłopotaniem popatrzyła na kobietę. – A czy nauczysz mnie tego? – Wyciągnęła z woreczka książeczkę z krzyżem na okładce i uśmiechnęła się.

– Nauczę, dziecko. Nauczę. – Kazia przytuliła ją do siebie.

ROZDZIAŁ 4

Zima, rok 2016

Isia odwróciła się w stronę okna i z uśmiechem na ustach zaczęła się przyglądać baraszkującym na podwórku psom.

– Tym to nigdy nie jest zimno. Cały dzień potrafią brykać i nawet im zasy py śnieżne nie przeszkadzają. – Popatrzyła na Ilonę i natychmiast odwróciła głowę ponownie w stronę okna. Zauważyła mokre ślady na policzkach gościa i nie chciała, aby tamtą speszył jej wzrok.

– O! Widzę, że panie już na nogach? – Do pokoju rażno wkroczył Andrzej, ubrany jak przystało na świąteczny dzień.

Ilona ze zgrozą popatrzyła na swój szlafrok i zawstydzona wybiegła z pokoju.

– Co jej się stało? – Andrzej podszedł do ciotki i na powitanie cmoknął ją w policzek.

– Co się stało? Co się stało? A ty co taki niedomyślny? – Isia poklepała go po policzku i roześmiała się. – Kobieta

w obcym domu, i to w neglizu, a tu wchodzi młody, przystojny mężczyzna, wystrojony jak...

– Ciociu, młody to ja już dawno nie jestem, ale okej, miała prawo się trochę zawstydzić. – Andrzej rozsiadł się na kanapie i włączył telewizor. – Zaraz będzie koncert noworoczny z Wiednia. Mam nadzieję, że znajdzie się jakaś kobieta, która potowarzyszy mi w oglądaniu.

Isia popatrzyła na Andrzeja, a następnie przeniosła wzrok na ekran telewizora.

– Pewnie jakaś kobieta ci potowarzyszy, ale ja muszę się udać do kuchni, bo niestety Marysia ma dziś wolne, a śniadanie się samo nie przygotowuje.

– Marysia? Jaka Marysia? – Andrzej zaskoczony zerknął w stronę znikającej za drzwiami starszej pani. – A... stare powiedzonko ciotki Wandy. – Przypomniał sobie, co zawsze mówiła jedna z sióstr ojca, kiedy trzeba było coś zrobić, a chętnych brakowało.

Koncert zaczął się punktualnie. Zasłuchany i wpatrzony w ekran telewizora Andrzej nawet nie zauważył, kiedy kobiety nakryły do stołu, a w pokoju pojawiła się Ilona.

– Zapraszamy do stołu! – usłyszał za plecami głos Haliny.

Wszyscy byli już obecni i spokojnie konsumowali przygotowane przez starsze panie potrawy. W powietrzu unosił się zapach kawy i herbaty z cytryną, zwyczajem domowników oba te napoje musiały być obecne na stole, bo każdy z seniorów preferował co innego. Po śniadaniu Ilona z Andrzejem przy akompaniamencie głośnych protestów Isi i Haliny zabrali się za zmywanie, by starsze panie mogły w spokoju dokończyć oglądanie koncertu. Na dworze było bajkowo i po koncercie wszyscy postanowili przejść się na spacer. Ku zaskoczeniu Ilony trasa spaceru prowadziła na sporych rozmiarów cmentarz. Taki już był zwyczaj w tej rodzinie, że w Nowy Rok odwiedzali groby najbliższych

i zapalali znicze, aby przywitać kolejny rok z pozostałymi członkami rodziny.

Mróz szczypał w policzki, ale okolica była tak piękna, chociaż przykryta grubą warstwą śnieżnego puchu, że Ilona zapragnęła zostać na tym spacerze trochę dłużej. Andrzej nie miał nic przeciwko temu, chociaż trudno mu było uwierzyć, że w taki ziąb komuś chce się chodzić po wsi. Wrócili do domu tuż przed obiadem. Na rozgrzewkę Isia przygotowała im po dużym kubku grogu herbacianego, którego pierwszy łyk wywołał u Ilony strumienie łez. Starsza pani śmiała się ze swojego gościa, że nie umie pić rumu z małymi dodatkami, i obiecała, że ona nauczy ją smaków innych cudownych rozgrzewaczy, ale Ilona wolała nie poznawać już tych „innych”. Atmosfera w domu była tak przyjazna, że Ilona momentami zapominała, że to jest obcy dom i obcy ludzie. Czuła się jak wśród swoich. Kochani staruszkowie byli tak pogodni, że trudno jej było uwierzyć w to, że są jeszcze na świecie osoby, które potrafią cieszyć się każdą chwilą. W tym domu nie widać było przepychu bogactwa, chociaż sam dom bardziej przypominał stary dworek niż wiejską chatę. Ale bogactwo osobowości mieszkańców tego specyficznego miejsca odbijało się wręcz niesamowitym blaskiem. Ilona czuła się szczęśliwa. Od dawna nie odczuwała takiego spokoju i radości z obcowania z ludźmi. Nie myślała ani o Krzysztofie, ani o tym, że zostawiła wszystko w domu, do którego nie miała ochoty wracać. W pewnej chwili pomyślała tylko o córce, która witała Nowy Rok daleko poza granicami Polski. Zrobiło jej się smutno na myśl o tym, że będzie musiała poinformować córkę o rozstaniu z jej ojcem. Była pewna, że córka dzwoniła już do domu z noworocznymi życzeniami. Wiedziała, że młoda zareaguje na jej wyjazd bardzo egoistycznie, bo przecież mama nie mogła odejść od jej ukochanego tatusia. Jednak ostatnia decyzja córki, że nie ma zamiaru wracać do Polski, bo w Anglii układa sobie życie z kimś, kogo bardzo kocha, i jej decyzja o tym, że nie przyjedzie na święta,

uświadomiły Ilonie, że pępowina łącząca ją z córką została definitywnie odcięta. Być może dwadzieścia dwa lata to nie wiek na podejmowanie życiowych, nieodwołalnych decyzji, ale ona sama miała zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy zamieszkała z Krzysztofem. Wprawdzie miało to być „na zawsze”, ale życie i tak pisze własne scenariusze.

– O czym tak myślisz? – Głos Andrzeja wyrwał ją z głębokiego zamyślenia.

– O córce.

– Masz córkę? Ile ma lat? – Konsternacja w jego oczach rozbawiła Ilonę.

– Spokojnie, jest dorosła. Ma dwadzieścia dwa lata i mieszka w Londynie.

– Nie wyglądasz na matkę dorosłej córki.

– Dziękuję. – Ilona roześmiała się. – Jesteś bardzo miły.

– Ale ja mówię prawdę. To... ile miałaś lat, kiedy ją urodziłaś?

– Nie mów! – Isia położyła palec na ustach Ilony i mrugnęła porozumiewawczo. – Kobieta nie musi się mężczyźnie spowiadać ze swojego wieku. – Spojrzała na Andrzeja i żartobliwie mu pogroziła. – Myślisz, że ona jest taka głupia i nie potrafi dodać dwa do dwóch?

– Nie wiem, o co ci chodzi, ciociu? – Andrzej uniósł brwi i udał zdziwionego.

– Patrz, jakie niewiniątko. – Isia poklepała Ilonę po dłoni. – Ty mu powiesz, ile miałaś lat, jak urodziłaś córkę, a on w mig doda dwa do dwóch i będzie wiedział, ile masz lat teraz. Nie daj się, dziewczyno. – Starsza pani wstała z kanapy i ze śmiechem wyszła z pokoju.

– No i już wszystko wiesz. – Ilona uśmiechnęła się do Andrzeja, ale po chwili jej mina wcale nie wyglądała na zadowoloną.

– Coś się stało?

– Przepraszam, ale czy mógłbyś mi pożyczyć telefon? Chciałabym zadzwonić do córki i złożyć jej noworoczne życzenia, a swój...

– Nie ma sprawy. Dzwon! – Andrzej wyjął z kieszeni nowiutkiego samsunga i podał Ilonie.

Kobieta chwilę trzymała aparat w dłoni, spoglądając to na jego właściciela, to na obecne w pokoju osoby. W pewnej chwili zaczęła energicznie wstukiwac numer i drżącą dłonią przyłożyła aparat do ucha.

Andrzej dyplomatycznie wysliznął się z pokoju, widząc, że wujkowie również postanowili to zrobić. Obie ciotki chichotały w kuchni, więc męska część rodziny również postanowiła do nich dołączyć.

– *Hello?* – Ilona usłyszała nieco niepewny głos córki.

– Cześć, córciu, chciałabym...

– Mamo! Gdzie ty jesteś? Tatuś od zmysłów odchodzi, od świąt nie ma z tobą kontaktu! Poradziłam mu, żeby złożył doniesienie o twoim zaginięciu na policję. – Córka nie pozwoliła Ilonie dojść do głosu. W końcu musiała zaczerpnąć powietrza i Ilona sprytnie wykorzystwała tę chwilę.

– Teraz ja mówię! – Ilona prawie krzyknęła do telefonu. – Jeżeli nie dasz mi dojść do głosu, to się rozłączę. – Po drugiej stronie linii zapanowała cisza. – Mam nadzieję, że twój kochany tatuś, skarżąc się na wredną mamusię, opowiedział ci o okolicznościach, w jakich opuściłam nasze mieszkanie, i to w dzień Wigilii. Jeżeli tego nie zrobił, to poproś o wyjaśnienie. I zanim zaczniesz mnie o cokolwiek oskarżać, wysłuchaj. Jestem u przyjaciół. Nie wrócę do twojego ojca. Nasze małżeństwo jest skończone, a ty, jako dorosła osoba, powinnaś rozumieć pewne sprawy. W najbliższych dniach poszukam sobie jakiegoś mieszkania, podjadę do naszego domu i zabiorę swoje

rzeczy. Ale... nie licz na to, że wrócę do twojego kochanego tatusia. – Ilona wzięła głęboki wdech i całą siłą woli starała się zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami. – Chciałabym ci życzyć wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Jak uporządkuję swoje sprawy, to do ciebie zadzwonię. Kocham cię. Pa. – Zdecydowanym ruchem nacisnęła na czerwoną słuchawkę i rozłączyła się, nie dając córce możliwości powiedzenia ani słowa więcej. Usiadła na kanapie i schowała twarz w dłoniach. Nie będę płakać! Nie będę płakać! – powtarzała jak mantrę. Wzięła kilka głębokich oddechów i rozejrzała się po pokoju. W pomieszczeniu była sama, a w domu nie było słyhać żadnych głosów. Zawstydzona spojrzała w stronę kuchni i postanowiła nie pokazywać po sobie emocji, jakie wywołała w niej rozmowa z córką. Weszła do kuchni i oddała telefon Andrzejowi.

– Dziękuję i... przepraszam. Gdyby moja córka oddzwoniła...

– Nie oddzwoni. – Andrzej szybko wszedł jej w słowo. – Mój numer jest zastrzeżony.

Ilona popatrzyła na siedzących przy kuchennym stole i poczuła, że z wpatrzonych w nią kilku par oczu bije niezwykle ciepło.

– Przepraszam, że zakłóciłam wam rozmowę.

– Nie masz za co przepraszać, w emocjach nie każdy nad sobą panuje. My też czasami mówimy podniesionymi głosami. – Halina przytuliła ją jak małą dziewczynkę i delikatnie pogładziła po plecach. – Nie musisz szukać mieszkania. U nas jest dosyć miejsca. Powiedz tylko kiedy, a zorganizujemy ci transport do domu twojego męża i pomożemy przywieźć twoje rzeczy.

Ilona dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że musiała mówić do córki na tyle głośno, że wszyscy słyszeli jej słowa. Kiwnęła głową i ponownie przeprosiła.

– Dobrze, jak dojdę do siebie, to porozmawiamy, a teraz chciałabym się dowiedzieć, jak Isia trafiła do tego domu. – Spojrzała czule na jedną ze starszych kobiet i uśmiechnęła się. – Zrozumiałam, nie jesteś siostrą Haliny, Antoniego i Juliusza, ale jesteś siostrą Filipa, więc...

– Oj, to długa historia. Myślę, że najpierw powinnaś wiedzieć, jak trafił do tego domu mój brat. – Isia spojrzała czule na starszego mężczyznę, a następnie powiodła wzrokiem po pozostałych. – Gdyby nie Antoś i Julek, pewnie nigdy byśmy się nie spotkali.

– Nie zapominaj o Wandzie. Bo to dzięki niej odnalazłaś brata. – Halina poklepała przyrodnią siostrę po dłoni.

– No tak, ale i tak uważam, że najpierw Ilona powinna poznać okoliczności, w jakich Aron, to znaczy Filip, trafił do was.

ROZDZIAŁ 5

Jesień, rok 1942

Chłopcy weszli do domu i szybko otrzepali palta z pierwszego śniegu.

– Mamo! Mamusiu! – Antek biegał od jednych drzwi do drugich i zaglądał do wszystkich pomieszczeń. – Chyba nikogo nie ma w domu – stwierdził, nie wchodząc jedynie do pokoju zajmowanego przez dokwaterowanego do ich mieszkania niemieckiego oficera. Tam pod żadnym pretekstem nie było wolno wchodzić nikomu, nawet mamie.

– Mama pewnie jest w młynie, a dziewczyny po wsiach. – Julek spojrzał na młodszego brata, próbując ukryć panikę, jaka z każdą chwilą narastała w jego oczach.

– Musimy znaleźć ciocię Zosię.

– Po co? Najpierw musimy znaleźć mamę.

Dziecko w zawiniątku zaczęło kwilić. Chłopcy spojrzeli po sobie wystraszeni. Julek, zachowując wyjątkowo zimną krew, szybko starał się zapobiec zbliżającej się katastrofie,

aby maleństwo nie rozkrzyczało się na dobre. Gdyby ktoś je teraz usłyszał, mogłoby być z nimi krucho. Położył zawiniątko na pierzynie w pokoju zajmowanym przez mamę i nakazał młodszemu bratu przynieść z kuchni kubek z wodą i odrobiną glukozy, którą mama trzymała w szafce nad stołem. Sam wyciągnął z jednej z szuflad kawałek czystej, bawełnianej szmatki i kiedy Antek wszedł do pokoju z blaszanym kubkiem do połowy napełnionym wodą, według wskazówek starszego brata, Julek szybko namoczył węzełek zrobiony na krańcu szmatki i wcisnął go dziecku do ust. Dzieciatko uspokoiło się, zachłannie ssąc podaną mu szmatkę.

– Chyba jest głodny – powiedział Julek, porozumiewawczo spoglądając na brata.

– Ja też. – Antek łakomym wzrokiem popatrzył na wodę z glukozą i oblizał się.

– Poczekaj, zaraz coś ci znajdę do jedzenia. – Julek wyszedł z pokoju i zaczął przeglądać zawartość garnków stojących na piecu. W jednym z nich znalazł kaszę, ugotowaną pewnie przez mamę przed pójściem do młyna. Nałożył odrobinę do miski, polał olejem i zaniósł do pokoju, wręczając bratu.

– To jest niedobre. – Antek skrzywił się, zanim jeszcze łyżka z kaszą wylądowała w jego ustach.

– Nic ci na to nie poradzę, jak skończy się wojna, to znowu będziemy jedli dobre rzeczy.

– Mama zawsze daje ci coś dobrego do jedzenia. – Antek ze łzami w oczach konsumował szarą breję przygotowaną przez brata.

Julek już chciał coś odpowiedzieć, gdy nagle usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych. Spojrzeli na siebie ze strachem w oczach, w duchu modląc się, aby to nie był dokwaterowany do ich mieszkania Niemiec. Na szczęście drzwi do pokoju Niemca pozostały cicho, więc to

z pewnością któraś z sióstr albo ciocia Zosia, która zaglądała do nich pod nieobecność matki. Julek jeszcze raz namoczył szmatkę w kubku z wodą i podał dziecku, a następnie obaj chłopcy powoli i prawie bezszelestnie wymknęli się z pokoju. Weszli do kuchni i stanęli jak wryci. Mama siedziała przy stole z głową opartą na dłoniach i cicho łkała. Pierwszy podbiegł do niej Antek i objął swoimi małymi rączkami za szyję.

– Mamusiu, przynieśliśmy do domu...

– Trochę węgla. – Julek bystro wszedł bratu w słowo, aby za szybko nie zdradził ich tajemnicy.

– Kochani chłopcy. – Mama wyciągnęła rękę do starszego syna i przytuliła obu do siebie.

– Dlaczego płaczesz? Czy coś się stało? – Julek pogładził mamę po policzku.

– Zmęczona jestem, kochanie. Ta wojna mnie wykańcza, co chwilę dowiaduję się o czyjejs śmierci, tęsknię za waszym ojcem, za spokojem. – Kobieta uśmiechnęła się do synów i pogładziła ich po główkach. – Ale co tam u was? Byliście na torach? – Pogroziła palcem, ale w tym geście nie było przesadnej złości. Chłopcy wiedzieli, że mama nie lubi, kiedy chodzą na tory zbierać węgiel, ale kiedy przynosili do domu kawałki tego cennego opału, to zawsze uśmiechała się do nich i chwaliła, że są tacy dzielni.

– No właśnie... – Julek spojrzał porozumiewawczo na brata, który przytulał się do mamy. – Bo widzisz, mamusiu, znaleźliśmy coś dzisiaj na torach, ale...

– Obiecuj, że nie będziesz się na nas złościła. – Antek oderwał się od piersi matki i popatrzył w jej smutne, zmęczone oczy. Kobieta zauważyła w oczach synów strach, ale udawała, że jest bardzo zaciekawiona kontynuacją wyznania. Chłopcy często przynosili do domu różne, mniej lub bardziej przydatne rzeczy. Nigdy nie była pewna, gdzie

je znajdowali, chociaż oni zawsze zgodnie twierdzili, że na torach.

– Bardzo jestem ciekawa, co takiego znaleźliście. – Uśmiechnęła się, zapraszając do dalszego opowiadania. – A może spróbuję zgadnąć?

– Nie zgadniesz! – Chłopcy jakby się zmówili i krzyknęli razem, spoglądając na siebie porozumiewawczo.

– W takim razie słucham. – Danuta Zalewska wygodnie rozsiadła się na kuchennym krześle i z błyskiem w oczach zaczęła przyglądać się dość dziwnie zachowującym się synom. – No? Co takiego tym razem znaleźliście?

– Dziecko. – Antek zaczerwienił się na twarzy, a do jego oczu napłynęły łzy.

– Dziecko?

– Tak, mamo. Dobrze usłyszałaś. – Julek drżącym głosem opowiedział matce o pociągu, który zatrzymał się niedaleko stacji, o Niemcach z psami i o przeraźliwym wyciu, jakie usłyszeli po tym, jak pociąg ruszył. Z każdą minutą opowieści oczy mamy robiły się coraz bardziej okrągłe, a ręce zaczęły nieznacznie drżeć. Kobieta robiła wszystko, aby nie pokazać przed synami strachu, rosnącego w niej z każdą kolejną sekundą. Domyślała się, co to był za pociąg, ostatnio często mieszkańcy wsi mówili o transportach ludzi w nieznanym kierunku. Prawie wszyscy gospodarze wiedzieli, że niedaleko Gdańska, gdzieś między wsiami Stegna i Sztutowo, znajduje się obóz, do którego wywożą ludzi. Wszyscy wiedzieli, ale nikt o tym głośno nie mówił.

– Co zrobiliście z tym dzieckiem?

Chłopcy jak na komendę odwrócili głowy w stronę pokoju. Mama delikatnie zdjęła z kolan młodszego syna i podeszła do drzwi. W środku panowała jednak cisza. Powoli weszła do środka. Na łóżku leżał kłęb szmat; domyśliła się co, a właściwie kto, znajduje się pod nimi. Podeszła bliżej i najpierw zobaczyła na stojącej obok łóżka skrzyni

blaszany kubek z wodą, a następnie wpatrujące się w nią duże, ciemne oczy. Z małych usteczek spływała strużka śliny. W pewnym momencie usta lekko się uniosły i mała buzia rozjaśniła się niemowlęcym uśmiechem. Kobieta odwróciła się w stronę synów, a po jej policzkach spłynęły dwie duże krople łez.

– Mój Boże, i co my z nim zrobimy? – zapytała siebie, z lękiem wpatrując się w okno. – Przecież jeśli ktoś u nas znajdzie to dziecko, to... – Przyłożyła dłoń do ust, aby nie wypowiedzieć głośno tego, co miała na myśli. Wróciła do zawiniątka i powoli zaczęła odwijać szmatki, w które opatulone było niemowlę. – Boże, to maleństwo tonie we własnym moczu – szepnęła, czując w dłoniach mokry materiał. – Co jest w tym kubku? – zapytała synów, stojących obok i przyglądających się jej ruchom.

– Bo... ten maluch zaczął płakać, Julek powiedział, że na pewno jest głodny i daliśmy mu trochę wody z glukozą, żeby się uspokoił.

– Zrobiliśmy mu taki gałganek, jak kiedyś babcia Rozalia robiła Antkowi jak był mały. Nie wiedzieliśmy, czy on umie już pić z kubka. – Julek podszedł do matki i spojrzał na małe stópki wyłaniające się z jakiegoś starego kawałka podartej koszuli.

– Moi dzielni chłopcy. – Kobieta uśmiechnęła się i potarła starszego syna po włosach. – Julek, leć do doktora Meyera, ale nic mu nie mów o dziecku, tylko poproś, żeby do nas przyszedł, jak tylko będzie miał czas. Gdyby pytał, to powiedz, że nic nie wiesz, że to ja cię wysłałam.

– Mamo, ale przecież doktor Meyer to Niemiec! – zawołał starszy z braci, nie ukrywając lęku.

– Synu, masz rację. Ale to również przyjaciel twojego ojca i mój. Nie bój się, on nas nie wyda. – Matka pogładziła syna po policzku i uśmiechnęła się czule. – A ty, Antoś, biegnij po

ciocię Zosię i powiedz, żeby jak najszybciej do nas przyszła. I pamiętaj, nic jej nie mów o dziecku. Nikomu nic nie mówcie o tym dziecku.

Młodszy z chłopców skinął głową i zanim mama skończyła mówić, był już przy drzwiach. Kobieta popatrzyła na medalion, jaki chwilę wcześniej zdjęła z szyi niemowlęcia. Zacisnęła dłoń i schowała wisiorek do szuflady komody, w której przechowywała niesprzedane do tej pory pamiątki po mamie i babci.

– A jak wróci ten *Oberleutnant* Lehmann? Co mu powiesz?
– Julek nadal stał obok matki, z ciekawością przyglądając się małej istotce leżącej teraz w suchych szmatkach pod ciepłą poduchą z matczynego łóżka.

– Kochanie, o to będę się martwiła potem. Pan Bruno Lehmann wyjechał na kilka dni do Gdańska. Poinformował mnie, że nie będzie go co najmniej trzy dni, więc nie martwmy się na zapas. Mamy całe dwa dni na wymyślenie rozwiązania. – Kobieta delikatnie popchnęła chłopca w stronę drzwi. – No, leć już do doktora Meyera. Tylko pamiętaj, ani słowa o dziecku. Nikomu!

Kiedy za starszym synem zamknęły się drzwi, Danuta Zalewska usiadła na stojącej obok łóżka skrzyni i popatrzyła na zasypiające w jej pościeli dziecko, wolno ssące kawałek szmatki zamoczonej wcześniej w wodzie. Położyła dłoń na główce chłopczyka i delikatnie pogłaskała chłodne czółko.

– W jak wielkiej desperacji musiała być twoja matka, żeby wyrzucić cię w taki ziąb z pociągu? Gdzie ona teraz jest? Czy cierpi, czy jeszcze żyje? Ale nie martw się, coś wymyślimy. W najgorszym wypadku trafisz do ochronki u sióstr. Ale teraz śpij spokojnie i nie martw się. Coś wymyślimy. Jak ja mam teraz gniewać się na tych moich dwóch urwisów, że chodzą na tory zbierać węgiel? – Zalewska uśmiechnęła się z dumą. – Przecież gdyby nie moi mali bohaterowie, to albo rozszarpałyby cię te nieliczne

w naszej okolicy bezpańskie psy, albo zamarzłyś, biedaku, między tymi szynami.

Kilkanaście minut później do domu Zalewskich weszła młoda, ciemnowłosa dziewczyna. Jej urodę szpeciły cienie pod spuchniętymi oczami. Dziewczyna rozejrzała się po kuchni.

– Danusiu, jestem! – zawołała do pustych ścian.

Z jednego z pokoi wyszła bliźniaczo podobna kobieta, jednak dużo starsza od dziewczyny.

– Witaj, Zosiu, cieszę się, że tak szybko przyszedłaś.

– Och, siostrzyczko, do ciebie zawsze przybiegnę jak na skrzydłach. – Dziewczyna uśmiechnęła się smutno. – Czy coś się stało? Antoś był bardzo tajemniczy.

– Oj stało się, stało... – Danuta odwróciła się w stronę pokoju, w którym teraz cichutko spało sobie znalezione przez chłopców dziecko. – Potrzebuję twojej pomocy, i to ogromnej, wymagającej nie tylko odwagi, ale i... – Kobieta ściszyła głos do szeptu. – Twojego bezgranicznego zaangażowania.

– Czy możesz trochę jaśniej? – Zofia popatrzyła na siostrę, nie ukrywając nasilającego się irracjonalnego lęku.

Danuta wzięła głęboki oddech i opowiedziała o małym gościu śpiącym w jej łóżku. Słowo w słowo powtórzyła to, czego dowiedziała się od chłopców.

– Czyli to jest chłopczyk? Tak jak mój Filipek. – Zofia westchnęła i rozplakała się. – Jaka matka wyrzuca dziecko z pociągu na takim pustkowiu, skazując je na śmierć? – zapytała, z trudem łapiąc oddech.

– Zosiu, a może ta matka wiedziała, jaka czeka ją przyszłość? A może modli się teraz o to, aby jej synek znalazł się w dobrych rękach? Pomyśl. – Danuta głęboko

westchnęła. – Pomyśl, w jakiej musiała być desperacji, żeby to zrobić. – Kobieta podeszła do siostry i mocno przytuliła ją do siebie.

Pukanie do drzwi przerwało stan, w jakim siostry tkwiły od kilku minut.

– Proszę! – Danuta szybko poprawiła opadający na twarz kosmyk włosów i przygładziła sukienkę. Otarła dłonią mokry policzek i wzięła kilka głębokich oddechów. Do sieni wszedł wysoki, szczupły mężczyzna z dużą, skórzaną torbą.

– Dzień dobry, Danuto, podobno mnie wzywałaś?

– Och, Hans, tak się cieszę, że znalazłeś dla nas czas. – Kobieta szybko podeszła do mężczyzny i podprowadziła go do kuchennego stołu. – Przepraszam, ale mogę cię poczęstować tylko czarną kawą z odrobiną glukozy, którą trzymam na czarną godzinę.

– Dla was? – Mężczyzna spojrzał na siedzącą już przy stole Zofię i uśmiechnął się. – Dla was zawsze znajdę czas. Czy coś się stało, panno Zofio? Widzę, że obie panie płakałyście.

– To aż tak widać, Hans?

– No, nie da się ukryć łez w tak pięknych oczach jak wasze.

Zofia spojrzała na mężczyznę nieśmiało i odwzajemniła uśmiech. Był on raczej namiastką uśmiechu, ale wyrażał wdzięczność za miłe słowa, które połechtaly kobiecość dziewczyny, w tym trudnym nie tylko dla kobiet czasie. Po chwili jednak Zosia z konsternacją spojrzała najpierw na siostrę, a następnie na siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę.

– Zatem w czym mogę pomóc, moje drogie panie? – Niemiec spoglądał raz na jedną, raz na drugą, czując, że w powietrzu wisi coś tajemniczego. Żadna z pań nie wyglądała na chorą, dzieci nie było w domu, więc w czym rzecz?

Danuta nalała do kubków czarnej kawy i postawiła przed każdym swoim gościem parujący napój. Nie wiedziała, jak ma zacząć rozmowę z przyjacielem rodziny, i tak właściwie dopiero w chwili, kiedy go zobaczyła, uzmysłowiła sobie, jak bardzo musi zaryzykować.

– Chciałabym, abyś kogoś zobaczył, to znaczy zbadał. – Słowa Danuty były ciche i drżały jak liście na wietrze, ale kobieta postanowiła zachować zimną krew. – Widzisz, w moim domu jest pewne niemowlę, ale błagam cię o dyskrecję. Wiem, że jesteś Niemcem i masz obowiązek to zgłosić, ale jesteś też...

– Waszym przyjacielem, nie zapominaj. – Mężczyzna przerwał Danucie i delikatnie pogładził jej dłoń. Widział strach w jej oczach, ale wiedział również, że jest odważną i dzielną Polką, która nie cofnie się przed niczym. – Gdzie jest to dziecko?

– Tam. – Danuta wskazała drzwi do swojego pokoju.

– Dobrze, zatem chodźmy. – Hans upił łyk kawy, wstał i skierował się w stronę wskazaną przez przyjaciółkę. Widząc śpiące w pościeli niemowlę, od razu domyślił się, że nie jest ono z tej samej rodziny. Zresztą wszystkich członków rodziny Zalewskich znał, a kilka dni wcześniej miał to nieszczęście, że stwierdził zgon najmłodszego z nich. Syna Zofii, który w młodym wieku zdążył już nabawić się paratyfusu, co zresztą nie było rzadkością wśród dzieci urodzonych w czasie wojennej zawieruchy. Dziecko leżące w łóżku Danuty nie wyglądało na chore. Spało spokojnym snem niemowlęcia, może zbyt spokojnym. Hans delikatnie pozbył się otulających je szmatek i dokładnie zaczął badać ciało. Chłopczyk nawet się nie obudził, chociaż ziąb panujący w pokoju powinien go wyrwać z przyjemnego, ciepłego snu. Doktor dokładnie obejrzał przyrodzenie chłopca, a następnie odwrócił się do Danuty i jej siostry.

– To dziecko żydowskie, wiecie o tym?

Danuta skinęła głową, ale Zofia zrobiła przerażoną minę i zakryła dłonią usta.

– Nie powiedziałaś jej. – Doktor bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Skąd pan wie? I skąd ty o tym wiedziałaś, Danusiu? – Zofia spoglądała z niepokojem raz na siostrę, raz na mężczyznę siedzącego na łóżku.

– Bo jego... no, chłopiec jest obrzezany. – Danuta szepnęła, patrząc ze strachem, ale i z nadzieją na przyjaciela rodziny.

– Przecież panienka Zofia wie, że Żydzi mają taki... zwyczaj... rytuał religijny, że każdemu chłopcu w ósmym dniu jego życia usuwa się pewną część przyrodzenia. Jest to w pewnym sensie ich nakazem religijnym. Stąd można poznać chłopca, który jest potomkiem żydowskim. W przypadku tego młodzieńca widzę – doktor popatrzył na śpiące i nieświadome swojej doli dziecko – że zabiegu dokonano bardzo profesjonalnie, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Mam tu na myśli warunki higieniczne. Nie widać żadnych powikłań z powodu źle wykonanego zabiegu, a to oznacza, że dziecko pochodzi z zamożnej rodziny żydowskiej, która zrobiła wszystko, aby nie sprawić młodemu człowieczkowi dyskomfortu. Chłopiec ma około trzech miesięcy, jest wprawdzie wychudzony, ale widać, że też bardzo zadbany. Co w dzisiejszych czasach bywa rzadkie, głównie z powodu... wiadomo, warunków bytowych spowodowanych wojną. Zatem myślę, że pochodzi z dobrej, żydowskiej rodziny. I co macie zamiar z nim zrobić? A właściwie to może powiesz mi wreszcie, skąd masz takiego gościa? – Hans odwrócił się w stronę pani domu i uśmiechnął zachęcająco, czekając na odpowiedź.

Danuta po raz kolejny opowiedziała przekazaną przez chłopców historię, a kiedy skończyła, ukryła twarz w dłoniach i bezgłośnie załkała. Hans podszedł do niej i delikatnie pogładził jej drżące ramiona.

– Nie możesz go ukrywać w nieskończoność. W końcu ktoś przychylny moim rodakom doniesie, gdzie trzeba, i jeszcze skończy się tym, że wszystkich was wywiozą, a to niewinne dziecko zabiją. Mogą was nawet... – Hans nie dokończył, widząc przerażenie w oczach kobiet. Wrócił do chłopca, dokładnie go opatulił i skierował się w stronę kuchni. – Tym bardziej że mieszkasz pod jednym dachem z oficerem niemieckim, którego ci tu dokwaterowali. Wprawdzie Bruno Lehmann nie należy do nazistów z piekła rodem, ale nie możesz liczyć na jego pomoc, zwłaszcza że folksdojczów ci u nas nie brakuje, a oni dla korzyści materialnej są zdolni do wszystkiego.

– Tak, wiem. – Danuta spojrzała na Hansa i kiwnęła głową. – Czy możesz coś doradzić? Moją pierwszą myślą było oddanie go do ochronki.

– Nie!

Zarówno Danuta, jak i doktor spojrzeli wystraszeni na Zofię, która stanęła naprzeciwko nich i powtórzyła głośno:

– Nie!

– Zosiu, co nie? I dlaczego krzyczysz? – Danuta zaniepokoiła się dziwnym zachowaniem siostry.

– Nie oddam mojego Filipka. Drugi raz go już nie oddam nikomu, nawet Bogu.

– Twojego... Filipka?

– Panno Zofio, ale... nie wiem, czy to się uda. – Hans Meyer zaczął intensywnie nad czymś myśleć. – Za dużo ludzi wie, że syn panny Zosi...

– Wie tylko ksiądz, pan, doktorze, i rodzina mojej siostry, a na nich... to znaczy na was chyba mogę liczyć?

– Ale ksiądz...

– Myślę, że uda mu się usunąć wpis o śmierci Filipka z księgi parafialnej. Wiem, to będzie trudne i będzie dużo

kosztowało, ale... proszę to zostawić mnie. Pan natomiast, doktorze – Zofia popatrzyła na mężczyznę błagalnym wzrokiem – musi tylko zniszczyć akt zgonu i mój Filipek będzie żył.

Danuta z przerażeniem, ale jednocześnie z dumą przyglądała się swojej siostrze, która chyba pierwszy raz od momentu pożegnania swojego synka zachowywała się tak... normalnie. To była znów jej Zosia. Ambitna, odważna, piękna Zosia. Tamta, która do dzisiaj tonęła w rozpacz, gdzieś zniknęła. Odeszła. Oby na zawsze. W Danutę wstąpił jakiś nowy duch, zaczęła wierzyć, że wszystko może się udać. W końcu nic nie dzieje się bez przyczyny. Być może Bóg tak bardzo ukochał sobie jej maleńkiego siostrzeńca, że chciał go tylko dla siebie. A im pozwolił na to, aby uratowały chociaż jedno inne maleńkie życie. Tak, to musi się udać. Nigdy nie wiadomo, co stanie się z dziećmi z ochronki. Sierocińce są pełne dzieci, których losu nie można przewidzieć.

– Pomożesz mi, Hans? – Zofia uklękła przed doktorem i zaczęła całować go po rękach. – Proszę!

– Panno Zosiu, co pani robi? Proszę natychmiast wstać! – Hans nie ukrywał zażenowania. Zachowanie dziewczyny nie tyle go onieśmiało, co ewidentnie zawstydziło. –

Oczywiście, że pomogę, ale coś za coś. – Doktor ujął twarz dziewczyny w dłonie i zbliżył się do niej. – Od dzisiaj proszę do mnie mówić tak, jak mnie przed chwilą nazwałaś.

Danuta uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą. Od dawna widziała, jak Hans patrzy na jej siostrę, to było wiadome, że dziewczyna mu się podoba. Kiedy dowiedział się o jej ciąży, przez kilka dni chodził jak chory. Tym bardziej że Zofia nigdy nikomu nie wyjawiała, kto jest ojcem jej dziecka. Pytana przez siostrę, zawsze odpowiadała, że ojciec dziecka nie żyje. Może to było prawdą. Halinka, starsza córka Danuty, mówiła, że widziała ciotkę, jak kilka razy biegła w stronę lasu, a w lesie przecież ukrywali się partyzanci.

Może wśród tych młodych żołnierzy, wprawdzie nieregularnych oddziałów, ale jednak żołnierzy, był ktoś, dla kogo serce jej siostry zabiło mocniej niż do innych chłopców. Były dni, kiedy Zosia przybiegała do niej, szczęśliwa jak skowronek na wiosnę, a takie szczęście potrafi malować na twarzy młodej dziewczyny tylko miłość. Między Zosią a najstarszą córką Danuty były tylko cztery lata różnicy, dlatego dziewczynki tak dobrze się rozumiały. Zalewska domyślała się, że jej Halinka wie, do kogo bije serce cioci, ale jak to między dziewczynkami bywa, tajemnice są ważniejsze od wszystkiego innego. Ciekawe, jak zareagują dziewczynki, kiedy dowiedzą się o małym Filipku? Tak, nie potrafiła już myśleć o tym dziecku bezimiennie, coraz bardziej wierzyła w to, że jednak będzie miała siostrzeńca. To dziecko zyskało matkę, a Zofia odzyskała synka. Nawet w czasach tak okrutnych, w których panuje głód, strach, ból, niepewność, można sobie nawzajem dać coś cennego.

ROZDZIAŁ 6

Zima, rok 2016

Ilona nie mogła poradzić sobie z tymi wszystkimi opowieściami. W jej głowie aż huczało od nadmiaru informacji. W rodzinie, z której pochodziła, nigdy nie wspominało się okresu wojennego. Żadne z rodziców nigdy nie chciało na ten temat mówić. Wiedziała tylko, że dziadek ze strony ojca zginął w jakimś obozie na terenie Niemiec, a dziadek ze strony mamy nigdy nie chciał wracać do wspomnień z tego okresu. Teraz mu się nie dziwiła, trudno pielęgnować w sobie pamięć o czymś, co sprawia ból. Czasami lepiej to wyprzeć i zrobić miejsce dla miłych wspomnień.

W połowie stycznia skontaktowała się z Krzysztofem. Zadzwoiła z komórki Andrzeja, aby nie mógł zidentyfikować numeru. Umówiła się na spotkanie w kawiarni, ale nie poszła na nie sama. Korzystając z propozycji Isi, która zasugerowała jej swoje towarzystwo, udały się na spotkanie we dwie. Wspomnienie wyrazu zaskoczenia na twarzy Krzysztofa na widok żony ze starszą

kobietą cały czas wzbudzało w obu paniach wybuchy śmiechu. Prośbę męża, aby Isia zostawiła ich na chwilę sam na sam, Ilona kategorycznie odrzuciła, twierdząc, że nie ma przed przyjaciółką żadnych tajemnic. Słowo „przyjaciółka” kolejny raz wstrząsnęło Krzysztofem, ale widząc swoją bezradność, dał za wygraną. Niewiele go też obchodziło, skąd nagle jego żona ma taką przyjaciółkę. Umówili się na konkretny termin, wyjątkowo sprzyjający Ilonie. Kiedy Krzysztof poinformował, że wybiera się na kilka dni w delegację na Śląsk, Ilona razem z Andrzejem, jego bratem Jackiem i mężem Ireny podjechali do mieszkania w Nowym Porcie i spakowali osobiste rzeczy oraz te, które okazały się niezbędne.

Dworek, bo tak Ilona cały czas myślała o domu pełnym ciepłych i przyjaznych osób, stał się teraz domem, o którym zawsze marzyła. Przedwczesna śmierć rodziców nie pozwoliła jej nacieszyć się nimi do woli, dlatego teraz próbowała odnaleźć tę radość wśród rodziny Zalewskich. Bardzo szybko doszli do wniosku, że Ilona nie będzie wynajmowała żadnego pokoju, ale w zamian za mieszkanie będzie pomagała w domu. Praca tłumaczki pozwalała jej na przebywanie w domu, w którym, mimo że przeważali seniorzy, nie brakowało podłączenia do internetu. I chociaż nieraz myślała o sprawie rozwodowej, to coraz rzadziej myślała o samym Krzysztofie. Jej myśli coraz częściej zaprzętał Andrzej. Byli oboje już w takim wieku, że nie było mowy o zwykłych miłostkach czy niezobowiązującym romansie. Oboje traktowali się wzajemnie jak przyjaciele, ale Ilona coraz częściej widywała w jego oku ten błysk. Halina z Isią zgodnie twierdziły, że teraz przynajmniej ich bratanek częściej zagląda do rodzinnego domu ojca i częściej zostaje na noc, co było wszystkim bardzo na rękę. Lekarz w domu zamieszkałym przez seniorów jest bądź co bądź osobą bardzo wskazaną. Wprawdzie panie seniorki nigdy nie narzekały na zdrowie, co w ich wieku było nader dziwne, ale co lekarz w domu, to lekarz w domu. Ilona

często śmiała się, kiedy któraś z pań dzwoniła do bratanka z zapytaniem, kiedy ich odwiedzi, a usłyszawszy jakiś dalszy, nieokreślony termin, nagle zaczynała „zwierzać się”, oczywiście w tajemnicy, z jakiejś swojej bolączki zdrowotnej.

Wieczory upływały najczęściej na grze w karty albo w szachy lub na słuchaniu wspomnień. Tych pierwszych Ilona nie lubiła, bo seniorzy zawsze ją ogrywali, ale co do drugiego, to zawsze była chętna. I tak, powolutku, poznawała sekrety rodziny, życie w latach wojny i niespełnione marzenia. Trochę zazdrościła Isi przyjaźni, jaką ta zawarła z pewną niemiecką dziewczynką. Ilona nigdy nie miała takiej prawdziwej przyjaciółki. Może dlatego, że zbyt wiele osób ją zawiodło. Czasami myślała o kimś „moja przyjaciółka”, a potem nie potrafiła wymienić nawet pięciu powodów, dla których uważała tę osobę za godną takiego miana. Bardzo szybko okazało się, że wśród znajomych Krzysztofa nie ma nikogo, komu mogłaby zaufać. A wśród swoich znajomych też nie potrafiła znaleźć nikogo takiego. Może sprawiła to jej specyfika pracy, pracowała w domu, więc nie miała wielu okazji do przebywania z ludźmi. Posiadała profile na Facebooku czy Instagramie, będąc dość aktywną w mediach społecznościowych, ale tam zawierała głównie wirtualne znajomości. Kiedy spotkała się po wielu latach z „przyjaciółką” z czasów szkolnych, to po pół godzinie nie miały o czym ze sobą rozmawiać. A pamiętała czasy, kiedy jedna u drugiej nocowały i nie mogły się nagadać aż do rana. Ludzie się zmieniają, ona się zmieniała i tak właściwie nie potrzebowała do szczęścia przyjaciółki. Była lubiana, ale często odnosiła wrażenie, że to sympatyzowanie z nią jest sztuczne. A teraz? Teraz czuła się szczęśliwa. Wśród swoich. Wśród ludzi, z którymi chciała przebywać, w których nie było fałszywej sympatii.

Wspominając minione święta, nie mogła się otrząsnąć z myśli o tym, że los przyprowadził ją do tego domu. Pokochała tę rodzinę. I pokochała to miejsce.

– Nad czym tak dumasz? – Isia weszła do salonu i zerknęła przez ramię na otwarty plik w laptopie Ilony. – Chyba się zamyśliłaś, bo strona ci wygasła. Przygotowałam nam po koktajlu. – Roześmiała się i podała Ilonie szklanekę z białym płynem pachnącym jałowcem.

– Gin? Czy w twoim wieku wolno pić takie trunki? – Ilona pociągnęła duży łyk alkoholu. – Mmm, smaczne, i ta cytrynka... Gdzie mi będzie lepiej jak u was?

– No właśnie. A co do mojego wieku, to ja ci nie wypominam lat. – Isia z udawaną obrazą popatrzyła na swoją rozmówczynię.

Ilona uśmiechnęła się i odstawiła szklaneczkę na stolik.

– Myślałam o tobie i twojej niemieckiej przyjaciółce. To piękne mieć kogoś, z kim można o wszystkim porozmawiać, zwierzyć się, po prostu wygadać.

– Tak, to prawda. Chociaż ja w pierwszych miesiącach pobytu u rodziny Angerer chyba tak do końca nie byłam świadoma tego, że nawet przyjaciółce nie wolno powiedzieć wszystkiego.

– Jak mam to rozumieć?

– Widzisz, niby byłam już na tyle duża, że rozumiałam zagrożenie, jednak cały czas gdzieś głęboko we mnie nadal siedziała mała dziewczynka. Ta dziewczynka tęskniła za rodzicami, za rodzeństwem, za domem.

– I...

– I nie zawsze byłam świadoma tego, że mówiąc coś do Sabine, tak właściwie skazuję się na wyrok śmierci. Kiedyś bardzo dokładnie wytłumaczyła mi to Kazia, kucharka rodziny Angerer. – Isia upiła łyk swojego napoju i zamyśliła się. – Pamiętam, jak kiedyś przed świętami wzięło mnie na takie wygadanie się. Do dzisiaj jestem wdzięczna pani Heldze, że nikomu nie powiedziała o tym, czego się ode mnie dowiedziała. Wracam myślami do tego dnia i teraz

wiem, że gdyby Helga Angerer albo jej córka były złe, nie siedziałabym teraz z tobą, nie piła drinka i nie cieszyła się życiem. – Isia dopiła swój gin i gwałtownie wstała. – No już, kończ ten twój soczek, jak chcesz usłyszeć ode mnie o tamtym dniu. Muszę się trochę znieczulić, żeby ci o tym opowiedzieć.

ROZDZIAŁ 7

Zima, rok 1942

W domu państwa Angerer Ilse nie czuła się źle. Towarzystwo sympatycznej Polki królującej w kuchni pozwalało dziewczynce pamiętać piękne chwile związane z domem rodzinnym. I chociaż Kazia robiła, co mogła, aby chociaż w namiastce zastąpić dziewczynce matkę, to Isia bardzo tęskniła. Niestety, tęsknota za rodzicami i za najmłodszym braciszkiem była tak silna, że Ilse, często ukrywając się w małej komórcy, przeznaczonej na jej pokój, siadała na łóżku i popłakiwała.

Tego dnia pani Angerer razem z kucharką były bardzo podekscytowane. Mama Sabine dostała wiadomość, że na święta zjadą do domu zarówno jej mąż, jak i syn, którego Ilse do tej pory nie miała okazji poznać. Sabine mówiła, że brat jest od niej dużo starszy i że walczy na wojnie z wrogami Niemiec, ale nic więcej nie potrafiła swojej nowej przyjaciółce na jego temat powiedzieć. A może po prostu nie chciała o nim rozmawiać. Ilse zauważyła, że temat wojny nigdy nie jest poruszany w obecności Sabine, i tak

właściwie to dziewczynka nie wiedziała, co takiego dzieje się poza granicą jej miejscowości.

Małe miasteczko, w którym znalazła się Ilse, w niczym nie przypominało miasta, gdzie mieszkała z rodzicami, ani nawet innych polskich miast, które zdążyła odwiedzić przed wojną. Piękna górzysta okolica momentami wyglądała jak z bajki. Nawet ponura jesienna aura nie pozbawiła piękna rozłożystych pól, łąk i dumnie prężących się w oddali szczytów Alp, z malowniczo położonym u ich podnóża jeziorem. Sabine mówiła, że jest to najpiękniejsze jezioro na świecie, i trzeba było przyznać jej rację. Ilse do tej pory jeszcze nigdy nie widziała tak dużego i pięknego jeziora. Kiedy pani Helga zajęta była nauką córki gry na fortepianie, a Kazia nie miała dla niej nic konkretnego do roboty, Ilse, wykorzystując swój czas wolny, zbiegała ze zbocza na skraj małego lasu, gdzie w jednym miejscu znalazła konar powalonego przez burzę drzewa. Siadała na nim i rozmyślała.

Tego dnia ogarnęła ją jakaś dziwna nostalgia. Nie potrafiła zapomnieć tamtej chwili, kiedy Niemcy, łomocząc do drzwi, wypędzali wszystkich na podwórko, a następnie zaganiali do wielkich ciężarówek. Nie mogła zapomnieć przypadkowo złapanych ludzi wpychanych do wielkich niemieckich ciężarówek, w których był taki tłok, że ledwo wszyscy się mieścili. Pamiętała łzy kobiet i strach mężczyzn, ale najmocniej pozostał jej w pamięci płacz, nie tylko dzieci. Wspomnienie młodszego brata było tak bolesne, że nie potrafiła zapanować nad szlochem, który wyrwał się z jej piersi nagle i gwałtownie.

– Izabelo! Izabelo, gdzie jesteś? – Z oddali doleciał do niej zaniepokojony głos Sabine.

Odwróciła się i na szczycie wzgórza zobaczyła swoją przyjaciółkę. Szybko otarła dłonią mokrą od łez twarz i poszła w górę zbocza. Liczyła na to, że Sabine nie ruszy się dalej sama, bo mogłoby to być dla niej bardzo

niebezpieczne. Wprawdzie wzgórze nie było zbyt strome, ale wózek Sabine o tym nie wiedział i mógłby się rozpędzić zbyt mocno, a wtedy... Ilse nie chciała nawet myśleć o tym, co mogłoby się stać. I to ona byłaby winna, bo przecież do jej obowiązków w domu Angererów należało przede wszystkim dbanie o najmłodszą latorośl rodziny. Gdyby Sabine coś się stało, to pani Helga nie byłaby już tak miła, o czym Ilse nieraz się przekonała. Na szczęście Sabine należała do bardzo rozsądnych dzieci.

– Nie ruszaj się, już biegnę! – zawołała, próbując uspokoić oddech.

– Płakałaś. – Sabine bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– E tam, takie tam naszły mnie wspomnienia. – Ilse próbowała uśmiechnąć się do przyjaciółki, ale grymas na jej twarzy jeszcze mocniej utwierdził Sabine w przekonaniu, że miała rację.

– Wiesz co? Chodźmy do domu, bo widzę, że zmarzłaś, a mnie też nie jest najcieplej, Kazia zrobi nam gorące *kakauschule* i sobie pogadamy w moim pokoju.

Pani Helga nie ukrywała zaniepokojenia na widok dziewczynek, którym mróz wymalował na policzkach czerwone rumieńce. Ale uśmiechnięte buzie, a zwłaszcza uniesione kąciki ust jej córeczki sprawiały, że nie potrafiła się gniewać.

– Izabelo, teraz nie odstępisz Sabine na krok, bo ja z Kazią jedziemy do miasteczka na zakupy. Za kilka dni święta, więc mamy roboty w bród, zwłaszcza że prawdopodobnie pierwszy raz od czterech lat spędzimy je z całą rodziną.

– Oczywiście, *Frau Helgo*. – Ilse dygnęła, jak nauczyła ją Kazia, i pomogła Sabine uwolnić się z grubego płaszcza, szalika i reszty ciepłej odzieży.

W pokoju Sabine nie przestawała przyglądać się przyjaciółce, wyraźnie czuła, że coś ją gnębi, ale nie chciała

na siłę wyciągać z niej informacji. Mama nauczyła ją dyplomacji i dyskrecji, dwóch najważniejszych w tych czasach cech każdego człowieka. Ilse usiadła na sofie i zapatrzyła się w okno, po jej policzku wolno zaczęła spływać łza, której ona pewnie nawet nie zauważyła.

– Co się dzieje, Isiu? – Sabine delikatnie dotknęła dłoni przyjaciółki.

– E tam, czasami nachodzą mnie wspomnienia, których nie potrafię wymazać z pamięci.

– Opowiedz mi.

– Nie mogę. Twój tatuś, którego bardzo zresztą lubię, chyba nie chciałby, abym ci opowiadała o Polsce.

– Papa jest daleko, nie dowie się tego, co mi powiesz. Potrafię dochować tajemnicy. A twój tata? Czy wiesz, gdzie są twoi rodzice? Masz rodzeństwo?

Ilse ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Nie potrafiła dusić tego wszystkiego w sobie i czuła, że musi wyrzucić z siebie chociaż część tych wspomnień. Popatrzyła w oczy przyjaciółki.

– A może coś mi zagrasz? – zapytała z nadzieją, że przyjaciółka zapomni o tym, że wcześniej namawiała ją na wspomnienia.

– Dobrze, ale potem...

– Potem ci opowiem o mojej Polsce.

Podjechały do salonu i Sabine skierowała się do fortepianu. Poprawiła sukienkę i wolno położyła dłonie na klawiaturze. Chwilę później do uszu Isi dobiegła spokojna melodia, grana w niskich rejestrach instrumentu. Kiedy po niecałych pięciu minutach Sabine uniosła dłonie znad klawiatury, zobaczyła, że jej przyjaciółka siedzi z bardzo posępną miną.

– Przepraszam – szepnęła.

– Za co? – Isia uniosła głowę i popatrzyła na Sabine.

– Za tę melodię. Chyba wybrałam zbyt smutny utwór?

– Nie, dlaczego? – Isia się uśmiechnęła. – A tak właściwie to jak się ta piosenka nazywa?

– To nie piosenka, tylko utwór muzyczny – roześmiała się Sabine. – To kompozycja Claude’a Debussy’ego pod tytułem *Kołysanka dla słońca*.

– No tak, kołysanka. Mnie też prawie uśpiła. – Isia zaczęła chichotać. — Teraz zagraj mi coś weselszego.

Sabine chwilę zastanawiała się, po czym uśmiechnęła się jakby sama do siebie.

– Zagram ci utwór tego samego kompozytora, ale trochę pogodniejszy od tego słońca.

Drobne dłonie małej pianistki znów uniosły się nad klawiaturą i po chwili pokój wypełniła lekka, skoczna muzyka. Sabine grała w takim skupieniu, że Isia czuła się jak na prawdziwym koncercie. Trwający prawie trzy minuty utwór skończył się, ale Sabine tylko na chwilę spojrzała na Isię i znów zaczęła grać. Skoczne, radosne dźwięki pozwoliły Isi zapomnieć na chwilę o wspomnieniach, które ją wcześniej nawiedziły.

– Już? Możemy teraz iść do mojego pokoju porozmawiać?

– Sabine skończyła grać kolejny utwór i odwróciła się do przyjaciółki.

– Ładnie grasz. – Isia z uznaniem pokiwała głową. – Też bym chciała umieć tak grać – próbowała odwlec moment rozmowy. – Co to były za pio... za utwory?

– Pierwszy to kompozycja Claude’a Debussy’ego, zatytułowana *Serenada dla lalki*, a druga, ta skoczna, to *Taniec Pajaca*.

– Też tego Claude’a? Ciekawe, że potrafił komponować i smutne, i wesołe pio... utwory.

Sabine uśmiechnęła się.

– No dobrze, spełniłam twoją prośbę, teraz kolej na ciebie.
– Isia westchnęła głośno i wskazała głową drzwi do pokoju Sabine.

– Przysięgnij, że nikomu o tym nie powiesz. Nawet swojej mamie.

– Przysięgam. – Policzki Sabine zrobiły się purpurowe z podniecenia, pierwszy raz w życiu miała z kimś dzielić wielką tajemnicę.

– Mój tata został złapany w czasie łapanki i wywieziony z miasta kilka miesięcy po rozpoczęciu wojny. Nie wiem jak, ale jakoś udało mu się uciec z transportu, podobno jacyś ludzie zrobili zasadzkę w lesie, przez który przejeżdżała ciężarówka z nim i innymi mężczyznami. Ukrywał się w jakiejś wsi, u pewnych dobrych ludzi. Czasami wpadał do nas niespodziewanie, ale było to jedynie w nocy. Nie zawsze miałam okazję go widzieć, bo rodzice zamykali się w kuchni i często do świtu bardzo cichutko rozmawiali. Pewnie nie chcieli obudzić mnie i mojego młodszego brata.

– Isiu, co to jest łapanka? – Sabine przerwała przyjaciółce, przyglądając się jej drżącym dłoniom. Domyślała się, że to coś złego, bo Ilse nie potrafiła o tym mówić bez emocji.

– Łapanka, to jeden z głównych sposobów używanych przez Niemców dla zatrzymania większej liczby przypadkowych przechodniów.

– A po co ich zatrzymywano?

– Mama mówiła, że dla czystki. Chociaż tak dokładnie to nie wiem, co to znaczy. Kiedyś usłyszałam, jak mama rozmawia z sąsiadką, że Niemcy łapią ludzi, aby ich uwięzić albo przesiedlić do innego miasta, albo... wywieźć do obozu albo na przymusowe roboty do Niemiec.

– Ciebie też złapali w czasie takiej łapanki?

– Mnie nie. Ale pozwól, że najpierw skończę ci mówić o moim tacie. Ostatni raz widziałam go przed świętem Chanuki, rok przed tym, jak nas... wywieziono. Ta jego wizyta okazała się zgubna dla mojego najmłodszego braciszka, bo po tych odwiedzinach taty okazało się, że mama jest w ciąży. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak oni mogli to zrobić. W takich czasach. Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku mama urodziła synka, i chociaż kocham Arona jak mało kogo, to nie mogę wybaczyć moim rodzicom tego, że wydali go na świat.

– Twoi bracia zostali z mamą w twojej Polsce?

– Nie. To znaczy nie wiem, gdzie jest mój młodszy braciszek, bo... nieważne. A mama? Ostatni raz ją widziałam, jak wysiedliśmy z pociągu i kiedy twój tata mnie zabrał z jakiejś stacji pod Gdańskiem. A drugiego brata... – Ilse rozszlochała się. Jej ciałem zaczęły wstrząsać takie łkania, że Sabine się wystraszyła. Przytuliła przyjaciółkę i delikatnie zaczęła gładzić jej drżące plecy. – Pewnego ranka pod naszą kamienicę podjechało kilka niemieckich ciężarówek. Żołnierze wbiegali do domów i waląc kolbami w drzwi, wyganiaли wszystkich na podwórko. Staliśmy razem, wystraszeni, tak długo, aż wszyscy znaleźli się na dworze. Było mi strasznie zimno, ale mama mocno przytulała nas do siebie. W pewnym momencie żołnierze zaczęli nas popychać kolbami w stronę ciężarówek. Mój brat, który miał zaledwie trzy lata, zaczął płakać, że zostawił w domu swojego ulubionego misia i bez tego misia nigdzie nie chce jechać. Trzymałam go mocno za rączkę, ale... nie wiem, jak to się stało, wyrwał mi się i zaczął biec w stronę klatki schodowej. I wtedy usłyszałam najpierw wystrzał z karabinu, a następnie krzyk mojej mamy. Gdyby nie sąsiad z pierwszego piętra i jego żona, mama pobiegłaby za Rubenem. Trzymałam w ramionach małego Arona i nie mogłam uwierzyć w to, co widziały moje oczy. Mój mały braciszek Ruben leżał na środku podwórka w kałuży krwi. Miał trzy latka. Tylko trzy latka! Co on zrobił tym strasznym

ludziom, że musieli go zabić? – Ilse cały czas łkała, a kiedy popatrzyła na przyjaciółkę, przeraziła ją jej szara jak beton twarz, bez wyrazu. – Przepraszam, Sabine, przepraszam, że ci o tym powiedziałam. Ale... przecież chciałaś.

Sabine przytuliła się do ręki Ilse i bezgłośnie zaczęła płakać.

– To ja przepraszam. Wybacz mi, że zmusiłam cię do tych wspomnień. Domyślam się, jakie to jest dla ciebie trudne i bolesne. Ale... – Uniosła głowę i głęboko spojrzała w oczy przyjaciółki. – Ale przecież mój tatuś walczy z wrogiem, z ludźmi, którzy chcą źle dla Niemiec, ale dziecko...? Dziecko nie może przecież być wrogiem dorosłych ludzi. Jest takie niewinne.

– Twój tata jest dobrym człowiekiem. Wierzę, że nigdy nie byłby zdolny do takich czynów. Przecież poznałam go. – Ilse szeptała słowa, w które bardzo chciała wierzyć, ale zło, jakie widziała na ulicach swojego miasta, i zachowania niektórych żołnierzy, którzy nie liczyli się z nikim, boleśnie uświadamiały jej, że takich ludzi jak Olaf Angerer jest niewielu. – Wiesz co, opowiem ci o świętach u nas. Chcesz? – Ilse, widząc zasmuconą minę przyjaciółki, starała się szybko zmienić temat.

– Pewnie, że chcę. – Sabine uśmiechnęła się.

– U nas nie mówi się, że są święta Bożego Narodzenia...

– Jak to? – Sabine popatrzyła na Isię zaskoczona. – Przecież wszyscy tak mówią, Polacy też. Wiem, bo ciocia mojej koleżanki mieszka w Danzig i często przyjeżdża na święta do rodziny, a potem Ingrid mi opowiada o Polakach, którzy są sąsiadami jej cioci.

– No tak, ale... – Isia zawahała się. – Ale ja... No dobrze, powiem ci, ale obiecaj, że nikomu ani słowa... – Sabine kiwnęła głową i przyłożyła palec do ust. – Tak właściwie to ja mieszkam w Polsce, ale jestem Żydówką. Tylko błagam, nie mów o tym nikomu, nawet swojej mamie, bo...

– Bo...? – Sabine patrzyła na przyjaciółkę dużymi, wystraszonymi oczami.

– Bo wy, Niemcy, bardzo nie lubicie Żydów.

– Ale ja cię bardzo lubię, i moja mama też. Myślę, że papa też cię lubi, skoro pozwolił ci do nas przyjechać.

– Tak. Myślę, że twój tata trochę mnie lubi, ale nie chce, żeby ktoś się dowiedział, że jestem Żydówką. Dał mi dokumenty na polskie nazwisko. Kazał nauczyć się mojego nowego imienia i nazwiska. A Kazia... Kazia nauczyła mnie polskich modlitw. Tak naprawdę nazywam się Ilse Salman, ale do was przyjechałam jako Izabela Salmanek.

– Czy Żydzi zrobili Niemcom coś złego?

– Tego nie wiem, ale może nie poruszajmy tego tematu. Miałam opowiedzieć ci o naszych świętach.

– Dobrze. Mów.

– U nas te święta nazywają się Chanuka i są świętami ruchomymi.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że każdego roku są w innym terminie. Babcia mówiła, że Żydzi, w przeciwieństwie do chrześcijan, którzy obchodzą swoje święta według kalendarza słonecznego, posługują się kalendarzem księżycowym. Dlatego wszystkie żydowskie święta są ruchome w stosunku do kalendarza chrześcijańskiego.

– Nie rozumiem. – Sabine patrzyła na przyjaciółkę z lekką konsternacją.

– Widzisz, u nas doba nie zaczyna się o północy, tylko w momencie zachodu słońca. I tak na przykład w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, kiedy wybuchła wojna, pierwszy dzień Chanuki trwał od zachodu słońca siódmego grudnia do zachodu słońca ósmego grudnia.

– A ile dni u was trwają święta?

– Chanuka trwa osiem dni. Zaczyna się dwudziestego piątego dnia miesiąca *kislew*. Z tym świętem związana jest specjalna lampa, zwana *chanukija*, która ma osiem ramion. Posiada ona z tyłu dodatkową ruchomą lampę, która nazywa się *szamesz*. W naszym domu były świece, najpierw zapalało się właśnie *szamesz*, a od niej pozostałe. W pierwszy dzień Chanuki, o zachodzie słońca, zapalamy pierwszą świecę z lewej strony. W drugi wieczór dwie pierwsze świece z lewej, w trzeci wieczór trzy pierwsze z lewej strony i tak dalej. U dalszej rodziny mojej mamy mieli lampy oliwne.

– A kto te świece u was zapalał?

– W każdym domu, każdego dnia, *chanukiję* zapala głowa rodziny. Kiedy żył mój dziadek, to on zapalał, potem mój tata, ale kiedy tatę Niemcy zabrali, to świece zapalała mama. – Ilse zamyśliła się. – Pamiętam, jak nasza *chanukija* stała na parapecie okna, a potem, jak wybuchła wojna, to mama stawiała ją na stole, bo w oknach nie wolno było. Światła *chanukiji* nie wolno używać do żadnych celów, takich na przykład jak szycie czy czytanie książki. Pamiętam ostatnie święto Chanuki, rok temu, które rozpoczęło się czwartego grudnia. Mama usiadła z nami przy stole i odmawiała po hebrajsku trzy błogosławieństwa: *Baruch Ata Haszem, Eloheinu melech haolam, aszer kidszanu bemicwotaw, weciwanu lahadlik ner szel Chanuka*^[1]. *Baruch Ata Haszem, Eloheinu melech haolam, szeasa nisim laawoteinu, bajamim hahem nazeman hazeh*^[2]. *Baruch Ata Haszem, Eloheinu melech haolam, shehahejanu, wekijemanu, wehigijanu lazeman hazeh*^[3]. – Ilse mówiła z przymkniętymi oczami, przypominając sobie cichy, spokojny głos mamy.

– Nic z tego nie zrozumiałam. – Sabine pokręciła głową. – W jakim to języku?

– To po hebrajsku.

– I tak przez osiem dni, przed każdym zapaleniem chanu...

– *Chanukiji*. – Ilse uśmiechnęła się, widząc, że jej przyjaciółka ma problem z wymówieniem tego słowa. – Nie. Tylko w pierwszy dzień Chanuki odmawia się te trzy błogosławieństwa, w kolejne dni tylko dwa pierwsze.

– Czy w tym roku już było to wasze święto?

Ilse zastanowiła się i szybko zaczęła w myślach szukać odpowiedzi.

– Właśnie się zaczyna. – Uśmiechnęła się do Sabine i popatrzyła w okno. – W tym roku Chanuka przypada na dwudziesty drugi dzień grudnia. Zatem radujmy się, bo w czasie Chanuki nie wolno się smucić, zabroniony jest post i żałoba. Muszę poprosić Kazię, żeby pozwoliła mi upiec *sufganijot*, zobaczysz, że zasmakuje ci taka *sufganija*.

– Ale... co to jest to suf...

– To coś w rodzaju pączków. – Ilse roześmiała się.

– Pączków? U nas w domu nie jada się pączków.

– No to będziesz miała okazję spróbować. Oczywiście jeśli twoja mama i Kazia się zgodzą. – Ilse posmutniała, ale za chwilę na jej twarzy zagościł kolejny uśmiech. – Wiesz, przygotowuje się je na oliwie, zresztą jak wszystkie potrawy chanukowe. Podaje się również *latkes*, czyli takie placki ziemniaczane, oraz racuchy i inne podobne potrawy. A dzieci czasami otrzymują cukierki z sezamu i miodu.

– A prezenty? Dostajecie też prezenty?

– Pewnie! Bardzo często dzieci żydowskie otrzymują w prezencie bączki chanukowe, w języku jidysz mówimy na nie *drejdel*, ale po hebrajsku to *sewiwon*. To taki bączek o czterech stronach. Na każdej stronie są litery alfabetu hebrajskiego: *nun*, *gimel*, *he*, *szin*.

– Czy to coś oznacza?

– Tak. To skrót hebrajskiego zdania: *Nes gadol haja szam*.

– O matko, a co to znaczy?

– Wielki cud zdarzył się tam. – Ilse roześmiała się. – Opowiem ci historię tego *drejdl*, którą opowiadała mi mama. Powstał on w drugim wieku przed naszą erą. Był to czas, gdy z nakazu Antiocha IV Epifanesa Żydom nie wolno było wyznawać judaizmu. Sprzeciwienie się groziło śmiercią. Ale Żydzi postanowili, że w Szabat na modlitwę spotykać się będą w prywatnych domach. Gdyby zdarzyło się tak, że nagle pojawiliby się greccy okupanci, na stołach leżały właśnie *drejdle*, a Żydzi udawali, że celem spotkania wcale nie jest modlitwa, tylko gra.

– Sprytnie. – Sabine pokiwała z uznaniem głową.

Pogawędkę dziewczynek przerwały głosy dochodzące od strony dworu. Kilka minut później pani Helga razem z Kazią, obładowane różnymi paczuszkami, weszły do domu. Ilse przyłożyła palec do ust i nakazała przyjaciółce milczenie, ale Sabine nagle przypomniała sobie początek ich rozmowy i bolesne wspomnienia Isi. W jej oczach błysnęły łzy. Nie mogła wymazać z pamięci obrazu małego chłopca biegnącego do domu po ulubioną zabawkę. Ten obraz wracał jak bumerang.

– Isiu, pani Helga prosi, abys przyszła do salonu, chce z tobą o czymś porozmawiać. – Kazia weszła do pokoiku dziewczynki i stanęła w drzwiach, z rękami opartymi na biodrach. – Możesz mi powiedzieć, co zmalowałaś?

– Ja? Nic. – Ilse spojrzała na kucharkę z lekkim zmieszaniem. – Nie domyślasz się, o co jej chodzi?

– Nie, ale jest bardzo smutna.

– No dobrze, idę. Mam nadzieję, że nie zrobiłam czegoś złego, co spowodowało smutek pani Helgi. – Narzuciła na

siebie sweter, który dostała od Kazi, i minawszy kucharkę w drzwiach, wyszła z pokoju.

Helga Angerer siedziała przy fortepianie i cichutko grała jakąś bardzo nostalgiczną melodię. Jej długie, szczupłe palce pięknie przesuwają się po klawiaturze, a zamknięte oczy świadczą o tym, że prawdopodobnie przeżywa tę muzykę. Ilse, nie chcąc przeszkadzać, stanęła obok instrumentu i z zachwytem spoglądała na spokojną twarz kobiety. Kiedy utwór się skończył, Helga otworzyła oczy i na widok dziewczynki uśmiechnęła się smutno.

– Chciała pani ze mną rozmawiać. Czy zrobiłam coś, co panią zdenerwowało? – Ilse zauważyła, że jej głos drży.

– Nie dziecko, nie zrobiłaś nic złego. Mam nadzieję. – Helga zaczęła przyglądać się przyjaciółce córki, jakby ją pierwszy raz w życiu widziała. – Ale... chciałabym się dowiedzieć, co robiłyście tamtego dnia, kiedy pojechałam z Kazią do miasteczka na zakupy.

Ilse poczuła dreszcz strachu przebiegający po jej plecach.

– Nie pamiętam, pewnie słuchałam, jak Sabine gra na fortepianie, zresztą prawie tak pięknie jak pani. Albo... może czytałam jej jakąś książkę. Naprawdę nie pamiętam. – Wiedziała, że kłamstwo ma krótkie nogi, a ona nie potrafiła kłamać. – Ale dlaczego pani pyta?

– Widzisz, dziecko, zauważyłam, że od tamtego dnia moja Sabine dziwnie się zachowuje. Jej dziecięca energia gdzieś uleciała... Stała się taka milczkowata. Może rozmawiałyście o czymś, o czym nie powinnyście?

Ilse poczuła, jak policzki zaczynają ją palić żywym ogniem. Z całych sił starała się zatrzymać wzbierające w oczach łzy, ale było to trudniejsze, niż by chciała. Helga zauważyła zmianę w zachowaniu dziewczynki i wzbudziło to w niej narastający niepokój.

– Chodź, usiądziemy sobie przy stoliku, Kazia zrobi nam pysznej herbatki i opowiesz mi...

– Ale o czym? – Ilse próbowała ostatnimi siłami uciec od odpowiedzialności za stan smutku, jaki dopadł jej przyjaciółkę.

– Izabelo, jesteś mądrą dziewczynką. Wiesz, jak każda mama kocha swoje dziecko, chyba nie pozwolisz na to, abym martwiła się o Sabine? Przecież twoja mama pewnie też bardzo martwi się o ciebie.

– Jeżeli jeszcze żyje – szepnęła Ilse sama do siebie, ale mama Sabine z pewnością usłyszała te słowa.

– Dlaczego uważasz, że twoja mama może nie żyć? Skąd takie przypuszczenia?

– Pani naprawdę nie wie, co dzieje się w Polsce? Czy pani tak tylko przede mną udaje? – Ilse przyglądała się twarzy swojej pracodawczyni, która z każdą kolejną sekundą stawała się bardziej napięta.

– Nie wiem. Istotnie nie wiem, może mi opowiesz to, co opowiedziałaś mojej córce?

– *Frau Helga*, ja bardzo przepraszam, ja nie chciałam, ale... tak jakoś samo wyszło...

– Co samo wyszło, dziecinko? – Mama Sabine położyła dłoń na rękę dziewczynki. Łzy, które wypływały z oczu małej Polki, były szczere i świadczyły o wielkim bólu drzemiącym gdzieś w środku tego chudego ciała. Dochodziły do niej słuchy o różnych sytuacjach, jakie miały miejsce daleko od jej spokojnego domu w górach, ale nigdy niczemu nie dawała wiary. Ot, ludzie różne rzeczy mówią. A jej mąż skutecznie unikał tematu działań wojennych. Za każdym razem, kiedy pisał czy przyjeżdżał, powtarzał, że wojna wkrótce się skończy. Helga przytuliła do siebie delikatne ciało dziewczynki i uspokajająco zaczęła głaskać plecy Ilse. Nawet nie próbowała hamować jej łez, podświadomie czuła, że to dziecko musi wyrzucić z siebie złe emocje. Nagle Ilse wyprostowała się i spojrzała w oczy Helgi smutnym, ale odważnym wzrokiem.

– Sabine zapytała mnie o moich rodziców i moje rodzeństwo, ja tylko opowiedziałam jej, co się z nimi stało. O tym, jak złapali mojego tatę...

Nagle świat przestał istnieć dla obu, słowa z ust Ilse wypływały spokojnym, cichym szeptem. Policzki wyschły i żadna łza już nie wyciekła z oka. Może Ilse wypłakała już wszystkie? Helga siedziała nieruchomo, wsłuchana w słowa dziewczynki, i ani jeden mięsień na jej twarzy nie zdradzał, co działo się w jej sercu. Nie mogła uwierzyć w to, czego ta mała dziewczynka była świadkiem. Dwunastoletnie dziecko właśnie uświadamiało jej, jak wielkie dramaty dzieją się w świecie, który znajduje się poza jej życiem. Nie mogła uwierzyć w to, do czego zdolni są jej rodacy, czy jej syn i jej mąż też są tak postrzegani przez wrogów Rzeszy?

– Ale pani mąż to dobry człowiek. – Ilse zakończyła swoją opowieść i nieznacznie się uśmiechnęła. – Wiele mu zawdzięczam. Cały czas był dla mnie dobry, nie wierzę, że mógłby kogoś skrzywdzić. – Na zakończenie opowiedziała, jak niemiecki oficer zabrał ją z transportu do swojego samochodu, a potem do miejsca, z którego w następnej kolejności wyjechała, aby zamieszkać w domu jego rodziny.

– Też tak myślę, Olaf zawsze był dobrym człowiekiem. Mam nadzieję, że mój syn również nie zhańbi naszego nazwiska złymi czynkami. Staralam się go wychować na mądrego i empatycznego człowieka. No dobrze, uciekaj do łóżka. Jutro pomyślimy, jak rozweselić Sabine. Może pomożecie nam obie przy przygotowywaniu świątecznych potraw?

– Chętnie. Dobranoc, pani Helgo. – Ilse wyswobodziła się z ramion kobiety i już chciała wybiec z salonu, ale nagle zatrzymała ją pewna myśl. – Dlaczego Sabine nie może chodzić? – Isia z niepokojem spojrzała w oczy swojej pracodawczyni, a widząc w nich odbicie bólu, w jednej sekundzie pożałowała swoich słów.

– To choroba. Rok temu Sabine zachorowała. Myśleliśmy, że to jakaś infekcja górnych dróg oddechowych, ale okazało się, że była to choroba zakaźna. Nagle pojawiła się u niej gorączka, bóle w plecach, bóle rąk i nóg. Niestety okazało się, że Sabine dostała zapalenia rdzenia w odcinku piersiowym kręgosłupa.

– I nigdy już nie wyzdrowieje? – Isia niewiele rozumiała z tego, co mówiła Helga Angerer, ale domyślała się, że jest to coś poważnego.

– Konsekwencją tej choroby jest między innymi osłabienie siły mięśni. Nasz lekarz twierdzi, że większość chorych wraca do zdrowia, ale część z nich niestety jest skazana na wózek inwalidzki. W wyniku stanu zapalnego dochodzi do uszkodzenia mieliny.

– Mieliny? A co to takiego? – Isia coraz mniej rozumiała z tego, co próbowała jej wytłumaczyć mama Sabine.

– Mielina to osłonka włókien nerwowych, która odpowiada za komunikację między nerwami w rdzeniu a resztą ciała. Niestety konsekwencją jest wystąpienie zaburzeń ruchowych, czuciowych lub autonomicznych o różnym nasileniu.

Isia kiwnęła głową na znak zrozumienia, ale dotarło do niej tylko tyle, że Sabine zachorowała na coś, co może być trwałe i niewyleczalne. Zrobiło jej się żal pani Angerer. Widziała ból w jej oczach.

– Musimy wierzyć, że Sabine wyzdrowieje – powiedziała cichutko i przytuliła się do Helgi. – Pani jest dla mnie tak dobra jak mama. – Znienacka cmoknęła policzek pani Angerer i nie czekając na reakcję swojej pracodawczyni, wybiegła z salonu.

Helga dotknęła dłonią policzka i dopiero kiedy dziewczynka zniknęła za drzwiami, pozwoliła sobie na uwolnienie emocji. Usiadła przy fortepianie i zaczęła grać. Po jej twarzy spływały łzy, których nie była w stanie

zatrzymać. Cały czas myślała o tym, co powiedziała jej mała Polka. Teraz już wiedziała, co kryje się za zachowaniem córki, i wcale się nie dziwiła jej smutkowi. Musiała tylko wymyśleć coś, co pozwoli Sabine zapomnieć o tym, co usłyszała od polskiej przyjaciółki. Musiała uwierzyć w to, że po wojnie uda jej się znaleźć dobrego lekarza dla córki. Uwierzyć w to, że Sabine kiedyś zacznie znów chodzić.

[1] Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, który uświęcił nas swoimi przykazaniami i nakazał nam zapalać światła chanukowe.

[2] Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, który uczynił cuda dla naszych ojców, w tamtych dniach, o tej porze.

[3] Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, który dał nam dożyć i doprowadził nas do tego czasu.

ROZDZIAŁ 8

Zima, rok 2016

Kolejny dzień Ilona nie mogła zapomnieć słów Isi. Dudniły w jej głowie jak koła starej dorożki. To niesamowite szczęście, że nikt z niemieckiej rodziny nie wydał tej małej Polki, i potworny dramat, co spotkało tę małą niemiecką dziewczynkę. Jakie trudne do zapomnienia bywają czasami ludzkie losy – pomyślała. Zdjęła z wieszaka swoje białe futerko i wyszła na podwórko. Od razu podbiegły do niej psy, łaszcząc się i ocierając radośnie o nogi. Potar mosiła każdego po głowie i z uśmiechem skierowała się w stronę lasu. Mroźne, zimowe powietrze działało na nią jak zastrzyk endorfiny. Czuła się w tej ciszy i spokoju tak szczęśliwa, że momentami zapominała o swoim wcześniejszym życiu. Jednak słowa starszej pani zakłócały od czasu do czasu jej myśli. Ilona nie potrafiła zrozumieć, że ta staruszka, która przeszła w życiu tak wiele bolesnych chwil, u schyłku życia potrafi tryskać taką energią i radością. Nie знаła wielu takich seniorów. Większość z nich wiecznie narzekała na wszystko i nie potrafiła mówić o niczym innym tylko

o swoich chorobach i problemach. W tym domu nikt nie poruszał tematu chorób, chociaż Ilona widziała, jak czasami trudno się było komuś podnieść z fotela albo jak krzywił się w odczuciu bólu pleców czy nóg. W tym domu żyło się tak, aby nikomu swoimi dolegliwościami czy problemami nie zakłócać spokoju. To był po prostu raj.

Andrzej wyjechał na jakieś sympozjum lekarskie do Lizbony i kontaktowali się jedynie za pomocą Skype'a albo Messengera. Ale jak na razie taka znajomość jej odpowiadała. I chociaż z każdym dniem bardziej uświadamiała sobie, że ten mężczyzna nie jest jej obojętny, starała się tego nie okazywać. Skostniałe z zimna ręce uzmysłowiły Ilonie, że nieodpowiednio ubrała się na ten poranny spacer. Rękawiczki jak zwykle zostawiła na szafce w przedpokoju, a kaptur jej futerka nie chronił odpowiednio głowy przed dość porywistym wiatrem.

Wróciła do domu i szybko zaparzyła sobie gorącej malinowej herbaty. Z salonu dobiegły ją ciche dźwięki jakiegoś utworu. Muzyka klasyczna królowała w tym niesamowitym domu. Usiadła przy kuchennym stole i zapominając o wszystkim, oddała się muzyce. Nigdy nie była znawczynią muzyki poważnej, ale ten utwór akurat uwielbiała. *Rapsodia* Rachmaninowa, którą usłyszała po raz pierwszy dawno temu na koncercie w gdańskiej filharmonii, nastrajała nostalgicznie. Pokochała ten utwór tak, jak niektórzy kochają *Błękitną Rapsodię* Gershwina. Herbata powolutku stygła, a ona nie mogła wybudzić się z tego muzycznego letargu.

– Co tak siedzisz i modlisz się nad tym kubkiem? – Głos Antoniego gwałtownie przywrócił ją do teraźniejszości. –

Chyba nie jesteś taką romantyczką jak Isia? Ona przez tę swoją niemiecką przyjaciółkę na okrągło słuchałaby muzyki.

– Bo muzyka jest zaraźliwa. – Ilona uśmiechnęła się.

– Mnie na szczęście nie zaraziła.

– Czy Isia po wojnie spotkała się z tą swoją przyjaciółką? Wiem, że to wścibstwo z mojej strony, ale ciekawa jestem, czy koniec wojny spowodował koniec ich przyjaźni.

– Szukała jej przez lata. Wysyłała listy na niemiecki adres, ale część z nich wróciła z powrotem. – Antoni usiadł przy stole i zaczął ogrzewać dłonie o kubek z herbatą. – Szukała nawet przez Polski Czerwony Krzyż, ale nic to nie dało. Już myśleliśmy, że da sobie spokój, aż pewnego dnia zobaczyła ją w naszej gazecie.

– Jak to, zobaczyła w gazecie?

– Ano zwyczajnie. To był rok... chyba dziewięćdziesiąty albo coś koło tego. Pamiętam, chociaż to było dawno.

– A dawno było, dawno... – Isia weszła do kuchni i poklepała Antoniego po plecach. – Ty masz już taką sklerozę, że hej.

– O co ci chodzi? – Antoni spojrzał na Isię z błyskiem udawanej złości.

– O nic. Słyszałam waszą rozmowę i uświadamiam cię, że to nie był rok dziewięćdziesiąty, tylko dużo wcześniej. Pamiętam doskonale ten dzień, i jak chcesz, to ci go zaraz przypomnę. – Starsza pani naląła sobie nieco wystygłej już herbaty ze stojącego na szafce dzbanka i wygodnie usadowiła się naprzeciwko Ilony. – To był siedemdziesiąty dziewiąty, bo rok później wybuchły na Wybrzeżu strajki, a za chwilę ogłoszono stan wojenny i znów urwał się kontakt z moją Sabine.

– No tak, chyba masz rację, staruszek. – Antoni poklepał Isię po dłoni i uśmiechnął się przeprasząco.

– O! Młody się odezwał. – Isia prychnęła i odsunęła rękę. – To, że jesteś ode mnie cztery lata młodszy, nie oznacza, że jestem staruszką. Ty jesteś większym staruchem niż ja.

Ilona w milczeniu słuchała przekomarzania się starszych ludzi i nieznacznie się uśmiechała. Wiedziała, że takie

rozmowy są u nich na porządku dziennym, ale nikt się na nikogo nie obraża.

– Możesz mi o tym opowiedzieć? – Popatrzyła na przyjaciółkę z nadzieją na wyciągnięcie z niej kolejnych wspomnień.

– A pewnie, że mogę. Pamiętam to, jakby było wczoraj.

– Ehe. – Antoni zaśmiał się pod nosem. – A czego nie zapamiętała, to zmyśli.

– Taki z ciebie gieroj, to sam opowiedz o tamtym dniu, kiedy do nas przyjechałeś i pełen entuzjazmu chciałeś remontować dom.

– Nie zmieniaj tematu. – Antoni mrugnął zawadiacko.

ROZDZIAŁ 9

Lato, rok 1979

Antoni wszedł do kuchni rodzinnego domu i zaczął rozglądać się po jej wnętrzu.

– Przydałoby się trochę odświeżyć – pomyślał, wypowiadając swoje myśli na głos.

– A pewnie i by się przydało – mruknęła Wanda, schowana za gazetą, którą właśnie pilnie studiowała. – Odkąd się z Julkiem stąd wyprowadziliście, nie ma komu się tym zająć.

– Wandeczko, dobrze wiesz, że te ciągłe moje wyjazdy znacznie uniemożliwiają mi pobyt tutaj. – Antek uśmiechnął się, odsuwając sprzed twarzy siostry gazetę. – Jak przyjadę na dłużej, to z pewnością się tym zajmę, ale swoją drogą, twój mąż również mógłby się tym zainteresować, w końcu tu mieszka.

– Leszek? Toż ten człowiek ma dwie lewe ręce do wszystkiego, a szczególnie do prac remontowych. Gdyby to

od niego zależało, to mógłby mieszkać w lepiance lub w ziemiance, jak stara Fajga Lippmanowa. Byleby tylko nikt nie zmuszał go do wzięcia w ręce szpachelki czy pędzla.

– To fakt. – Mężczyzna postawił na stole dwie filiżanki z kawą i z ciekawością zerknął na jedną ze stron „Dziennika Bałtyckiego”, trzymanego przez siostrę. – Coś ciekawego piszą?

– To, co zawsze, trochę polityki, trochę najnowszych wydarzeń lokalnych i na świecie, co słyhać w sporcie i takie tam różności.

– A co słyhać w kulturze?

– W gdańskiej filharmonii odbędzie się jakiś koncert światowej sławy pianistki.

– O, to może być ciekawe. Może się wybierzemy? Kiedy ten koncert?

– Zaczekaj, zaraz sprawdzę. – Wanda poprawiła okulary i nachyliła się nad stroną gazety. – W najbliższą sobotę.

– Pewno biletów już nie ma. Szkoda, chętnie bym się trochę ukulturalnił. – Antek wzruszył ramionami i popatrzył na siostrę nieco zawiedzionym wzrokiem.

– O czym tak dyskutujecie? – W kuchennych drzwiach pokazała się jak zawsze elegancka Isia, niosąca w ręku pęk żółtych kwiatów.

– A tak sobie komentujemy wiadomości przeczytane w dzienniku. – Wanda zamknęła gazetę i odłożyła ją na skraj stołu. – A te kwiaty to z ogrodu?

– Tak. – Isia zrobiła zatroskaną minę. – W nocy wiatr ich tyle połamał, że szkoda mi było zostawić, więc postanowiłam przynieść do domu i przedłużyć im trochę życie w wazonie. Antek, a ty co masz taką grobową minę? – Ciekawie popatrzyła na zamyślonego mężczyznę.

– Chętnie bym się trochę rozerwał, ale nie ma gdzie i z kim. – Antoni westchnął głośno i zrobił bardzo zatroskaną minę.

Obie kobiety wiedziały, że to tylko jego kolejna gra aktorska, ale z drugiej strony Wanda również pomyślała o tym samym co brat.

– To może jednak spróbujemy dowiedzieć się o te bilety na koncert? – zaproponowała. – Zosia jedzie jutro do Gdańska do lekarza, może damy jej pieniądze na taksówkę i niech pojedzie do filharmonii i się dowie.

– Może to i dobry pomysł – mruknął Antoni.

– O jaki koncert chodzi? – Isia postawiła wazon z pięknie ułożonymi cyniami na środku stołu i sięgnęła po gazetę. Bez zbytniego zainteresowania wiadomościami zaczęła przerzucać stronę po stronie.

– Zerknij na dział Kultura, w sobotę jest koncert znanej pianistki. – Wanda obojętnym tonem zasugerowała przyjaciółce artykuł o gościu gdańskiej filharmonii.

Isia przeczuciła dwie strony dziennika i zamarła, wczytując się w artykuł dotyczący koncertu. Nagle jej pogodna twarz zamieniła się w bryłę szarego betonu. Antoni od razu zauważył, że dzieje się z nią coś dziwnego, i delikatnie kopiąc siostrę pod stołem, wskazał jej głową na twarz Isi. Przez chwilę oboje wpatrywali się w milczeniu, ale kiedy po policzku Isi spłynęła łza, zaniepokoiili się.

– Isia, wszystko w porządku? – Wanda delikatnie dotknęła ręki przyjaciółki.

– To... tto... Sabine – wydukała Isia.

– Ale mówiłaś, że ci Niemcy mieli na nazwisko jakoś tak Angem, Anger, Aneren...

– Angerer. – Kobieta cicho poprawiła Wandę.

– No właśnie, a tu jest napisane, że ta pianistka nazywa się Nitsche. – Antoni nachylił się nad stroną gazety i wskazał Isi nazwisko wypisane wytłuszczonym drukiem.

– Ale to ona. Poznają. – Isia przyglądała się twarzy kobiety siedzącej przed klawiaturą fortepianu i uśmiechającej się do fotografa. – Te same oczy, ten sam uśmiech. Może tylko trochę starsza.

– Ale mówiłaś, że ta Sabine jeździła na wózku inwalidzkim. – Antek próbował zobaczyć, czy ze zdjęcia wynika, że pianistka jest osobą niepełnosprawną, ale fotograf tak ujął sylwetkę kobiety, że nie można było tego dostrzec.

– Wandziu, mówiłaś, że Zosia jedzie jutro do Gdańska. Jadę z nią. – Decyzja Isi była nie tylko spontaniczna, ale wręcz bezdyskusyjna.

– I co? Myślisz, że w filharmonii powiedzą ci coś o tej kobiecie? – Antoni popatrzył na przyjaciółkę z lekkim rozbawieniem.

– Nie, ale postaram się kupić dla nas bilety. Pojedziecie ze mną na koncert?

Rodzeństwo popatrzyło na siebie. Zarówno Wanda, jak i Antek wiedzieli, że jak Isia się na coś uprze, to swego dopnie. Skinęli na znak zgody i uśmiechnęli się do siebie.

Następnego dnia Zosia była bardzo podekscytowana. Każdy wyjazd do Gdańska był dla niej katorgą, nie czuła się dobrze, a podróż zatłoczonym autobusem, chociaż trwająca tylko około godziny, była dla niej istną męką. Bardzo się ucieszyła, że Isia postanowiła jej towarzyszyć. Na przystanek autobusowy odwiózł je Leszek, mąż Wandy, zadowolony, że może na chwilę wyrwać się spod dyktatury żony. W miarę nowy jelicz, zwany powszechnie ogórkiem, przyjechał z kilkuminutowym opóźnieniem, ale na szczęście dla obu kobiet znalazły się miejsca siedzące. Isia prawie całą podróż była nieobecna myślami, cały czas zastanawiała

się nad tym, co zrobi, jeśli nie uda jej się kupić biletów. W końcu sobota była za kilka dni, a informacje o koncercie podano już dużo wcześniej. Liczyła jednak na to, że w Gdańsku nie ma aż tylu melomanów. Nie zdawała sobie sprawy z tego, w jakim jest błędzie.

Z dworca PKS Zosia postanowiła iść pieszo do przychodni, w której była zapisana na wizytę. Isia natomiast, nie chcąc tracić czasu, złapała przed dworcem taksówkę i kazała się zawieść do filharmonii. Pierwsze rozczarowanie przyszło, kiedy zastała drzwi zamknięte na cztery spusty. Obeszła budynek kilka razy dookoła i zrezygnowana usiadła na małej drewnianej ławce przy nabrzeżu. Miała ochotę rozplakać się, ale postanowiła, że musi coś wymyślić. Podeszła jeszcze raz do drzwi wejściowych i zaczęła energicznie w nie stukać. Przecież musi tam być jakiś stróż albo inna osoba doglądająca gmachu i pilnująca go – pomyślała, i gdy już miała odejść, zauważyła zbliżającą się do drzwi sylwetkę starszego mężczyzny.

– A paniusia tu czego? Dzisiaj nie ma żadnych występów. – Mężczyzna patrzył na nią z ciekawością, udając ważniejszego, niż był w istocie.

– Bardzo pana przepraszam, ale chciałam się dowiedzieć, czy są jeszcze bilety na sobotni koncert. – Isia dygnęła jak mała dziewczynka i obdarzyła starszego pana najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było ją w tej chwili stać.

– Kasy nieczynne – odpowiedział mężczyzna i odwrócił się z zamiarem powrotu na swoje wcześniejsze stanowisko.

– Proszę pana! Proszę chwilkę zaczekać!

Mężczyzna poruszył się i popatrzył na nieproszonego gościa z wyraźnym niezadowoleniem.

– Przyjdzie po południu, kasjerka będzie od godziny piętnastej. Ale z tego co wiem, to na koncert tej Niemry już wszystkie bilety wyprzedane.

– Po południu... – Isia zasmuciła się. Autobus, którym miały z Zosią wracać, odjeżdżał z Gdańska za piętnaście trzecia. – Nie mogę po południu, proszę, niech mi pan pomoże z kimś porozmawiać teraz.

– Teraz nikogo nie ma. Artysty przychodzą na próbę dopiero na czternastą. Może ktoś przyjdzie wcześniej, ale tego paniusi nie gwarantuję.

Isia spojrzała na stare kamieniczki po drugiej stronie Motławy. W kościołach na starym mieście dzwony właśnie zaczęły wybijać godzinę dwunastą. Do czternastej pozostały wprowadzić dwie godziny, ale co z autobusem? Przecież Isia nie zdąży dobiec na dworzec. Cały entuzjazm, z jakim tu przyjechała, prysł jak bańka mydlana. Isia poczuła, że jej nogi robią się wiotkie jak z waty, a przed oczami wszystko zamazuje się jak we mgle. Nagle poczuła, że ktoś silnym ramieniem podtrzymuje jej zwiotczałe ciało. Chwilę później siedziała już na drewnianym krześle, a ktoś mocno wachlował ją jakimś papierami.

– No, już dobrze. Panie Kaziu, przynieś pan szybko szklankę z wodą – usłyszała nad swoją głową lekko ochryply głos i powoli otworzyła ciężkie jak z ołowiu powieki.

– Przepraszam, już mi lepiej – szepnęła, spoglądając na pochylającą się nad nią rumianą twarz. – To pewnie od tego słońca. – Starła się uśmiechnąć do pulchnego mężczyzny, ale najwyraźniej jej uśmiech nie miał nic wspólnego z próbą okazania wdzięczności. Mężczyzna miał tak zatroskaną minę, że nietrudno było domyślić się tego, co w danej chwili czuje. Podał jej przyniesioną przez woźnego wodę i cierpliwie czekał, aż opróżni szklankę.

– Jeżeli już się pani lepiej czuje, to zapraszam do środka.
– Odebrał pustą szklankę i przekazał starszemu mężczyźnie, a następnie pomógł Isi podnieść się z krzesła. Weszli do budynku i tymczasowy opiekun Isi zaprowadził ją do małego pokoiku. – Proszę chwilę odpocząć, a jeżeli mogę pani w czymś jeszcze pomóc, to śmiało proszę mówić.

Isia w tym momencie poczuła w sobie nową energię i przyływ nadziei. To, że znalazła się w biurze jakiegoś pracownika filharmonii, to był nie tyle zbieg okoliczności, co prawdziwy cud, którego nie zamierzała zmarnować. Ze łzami w oczach powiedziała mężczyźnie o planach zakupu biletów i złej informacji, jaką przekazał jej starszy woźny pilnujący budynku. Nie odrywając wzroku od maleńkich oczu swojego rozmówcy, opowiedziała mu również o tym, kim może być dla niej znana pianistka, goszcząca w Gdańsku. Mężczyzna zamyślił się. Z zafrasowaną miną potwierdził brak biletów, co jednak jego, jako pracownika filharmonii, bardzo cieszy. Niemniej historia kobiety tak go wzruszyła, że postanowił znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Ile szanowna pani potrzebuje?

– Chciałam trzy, ale jak nie będzie, to chociaż jeden. – Isia spoglądała na mężczyznę w skupieniu i z ogromną nadzieją.

– Zrobimy zatem tak. – Mężczyzna podrapał się po brodzie i uśmiechnął do swojego gościa. – Wprawdzie biletów już nie ma, ale czasami zdarza się, że ktoś nagle rezygnuje i w kasie mamy zwroty. Niestety mamy już listę osób rezerwowych, które tak jak pani, nie zdążyły kupić biletów odpowiednio wcześniej. Dostawimy zatem trzy krzesła gdzieś z boku. Proszę przyjechać i przed koncertem powołać się na mnie. Nazywam się Igor Konieczny. – Mężczyzna wyciągnął w stronę Isi dłoń i uśmiechnął się.

– Ilse Salman.

Podeksycytowanie koncertem spowodowało, że Isia całą noc przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Zdawała sobie sprawę z tego, że następnego dnia będzie miała oczy podkrążone jak u zmory, ale podniecenie spowodowane nadzieją spotkania Sabine było zbyt silne. Od samego rana krzątała się po kuchni, w bezsensowny sposób próbując zagłuszyć entuzjazm, ale niewiele to jej pomagało. Tyle lat

minęło od dnia, w którym opuściła dom rodziny Angerer, do dziś pamięta słony smak łez na policzkach, kiedy zebrały się z Sabine.

Sala koncertowa była wypełniona do ostatniego miejsca. Igor Konieczny dotrzymał słowa i jak tylko Isia z Wandą i Antonim pojawili się przed wejściem do filharmonii i powołali się na niego, młoda dziewczyna w pięknej, długiej, czarnej sukience zaprowadziła ich na miejsca. Do jednego z rzędów dostawione były trzy wyściełane fotele, bez wątplenia czekające na nich. Isia była tak rozgorączkowana, że nie potrafiła tego ukryć. Rano, w dniu koncertu, naszyły ją bowiem pewne wątpliwości, co rusz wpatrywała się w zdjęcie pianistki w „Dzienniku Bałtyckim” i w pewnej chwili uznała, że jednak nie jest na sto procent pewna, czy przedstawia ono Sabine Angerer, zaprezentowaną jako Sabine Nitsche. W jej głowie kotłowało się tyle myśli, że nie potrafiła ich okiełznać. Wspomnienia przeplatały się z nadzieją spotkania kobiety, za którą bądź co bądź tyle lat podświadomie tęskniła. Światła w sali powoli zaczęły przygasać, tylko blask bijący od stojącego na środku sceny czarnego fortepianu był punktem, od którego Isia nie mogła oderwać wzroku. Wreszcie głosy ucichły, na scenę wszedł wysoki, chudy mężczyzna i zaczął coś mówić. Nie słyszała jego słów, bo w jej głowie cały czas huczały nieujarzmione myśli. W napięciu wpatrywała się w boczną kotarę, za którą w pewnej chwili zauważyła nieznaczny ruch.

– Gorącymi brawami przywitajmy tę piękną i utalentowaną kobietę, która mimo wielu przeciwności losu udowodniła wszystkim, że marzenia się spełniają. – Do Isi dotarł głos prowadzącego program i gromkie brawa, które nastąpiły po jego słowach. Serce zaczęło jej walić jak kowalski młot i na chwilę zabrakło jej powietrza. Chwile oczekiwania na gwiazdę wieczoru wydawały się jej wiecznością. Wreszcie na scenę wprowadzono wózek, na którym siedziała piękna kobieta w długiej grafitowej sukni.

Jej włosy spięte były w zmysłowy kok. To ona – Isia nie miała już wątpliwości. Kobieta zwróciła twarz w stronę publiczności i uśmiechnęła się. Prowadzący wózek młody mężczyzna w czarnym smokingu podjechał z nią do fortepianu. Z wyjątkową delikatnością odsunął od stóp pianistki podnóżki, poprawił wózek, a następnie spokojnie oddalił się za kulisy. Skupienie, jakie malowało się na twarzy Sabine, było tym samym, które Isia zapamiętała z czasów, kiedy ukradkiem przyglądała się przyjaciółce zatopionej w muzyce. Salę wypełniły spokojne dźwięki muzyki. Isia poczuła, jak po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Pamiętała ten utwór, był on jednym z ulubionych, uwielbiała go słuchać w domu Angererów. Mama Sabine często wieczorami siadała do fortepianu i grała, od czasu do czasu spoglądając na stojące na małym kredensie zdjęcie męża. *Marzenie miłosne* Franza Liszta było kołysanką, która często usypiała Ilse. W ciszy nocnej dźwięki muzyki rozchodziły się jak mgła o świcie nad górskimi szczytami i nad jeziorem.

Isia poczuła, że ktoś mocno ściska ją za rękę. Wanda patrzyła na nią z niepokojem, ale w jej oczach również zalśniły łzy. Antoni podał Isi chusteczkę i uśmiechnął się, dodając otuchy. Isia była wdzięczna losowi za to, że w takiej chwili ma przy sobie dwoje najwierniejszych przyjaciół. Ludzi, którzy byli dla niej kimś więcej niż rodziną.

Utwór się skończył, a wokół nastąpiła taka cisza, że Isia słyszała tylko własny oddech. Słuchacze w skupieniu czekali na kolejne magiczne dotknięcia klawiszy przez pianistkę. Kolejnym utworem była *Sonata Księżycowa*. Isia uśmiechnęła się. Ludwig van Beethoven był ulubionym kompozytorem Sabine, która w wieku zaledwie czternastu lat potrafiła zagrać wiele jego kompozycji. Pierwsze dwa utwory pianistka zagrała solo, w kilku kolejnych dołączyła orkiestra, ale *Rapsodię* Sergieja Rachmaninowa Sabine znów zagrała sama.

Koncert skończył się przed godziną dwudziestą drugą. Isia była zmęczona natłokiem wspomnień, ale szczęśliwa tak bardzo jak w dniu, w którym po wojnie odnalazła brata. Kiedy wychodzili z sali koncertowej, podszedł do nich Igor Konieczny z bardzo tajemniczą miną.

– Pani Ilso, czy mogę panią na chwilę porwać za kulisy?

Isia spojrzała na Wandę i Antoniego z lekkim zakłopotaniem.

– Pozwolicie?

– Oczywiście – odpowiedziało rodzeństwo zgodnym chórem, przyglądając się mężczyźnie, który już trzymał ich przyjaciółkę pod ramię.

– Myślę, że to zajmie tylko chwilę, przynajmniej dzisiaj. – Mężczyzna tajemniczo się uśmiechnął i odszedł z Isią w stronę zaplecza. Kilka chwil szli długim korytarzem, w którym zadowoleni z koncertu muzycy dzielili się wrażeniami. W pewnym momencie Konieczny przystanął i poważnie spojrzał w oczy Isi.

– Proszę wziąć głęboki oddech i... odwagi. – Zapukał do drzwi i po usłyszeniu „*bitte*” otworzył je i wprowadził Isię do środka. Przed dużym, prostokątnym lustrem siedziała Sabine i zmywała z twarzy makijaż. Nie miała już na sobie grafitowej sukni, ale lekką zieloną spódniczkę i białą bluzkę w drobne kolorowe kwiatuszki. Popatrzyła na swoich gości z odrobiną konsternacji, ale i zaciekawienia.

– Państwo do mnie? – zapytała w języku niemieckim.

– Sabine. – Isia nie mogła uwierzyć, że ma przed sobą dziewczynkę, z którą spędziła ponad pięć lat w dwóch niemieckich miejscowościach, znajdujących się w pobliżu granicy ze Szwajcarią.

Kobieta na wózku zaczęła się intensywnie wpatrywać w swojego gościa. Igor Konieczny uścisnął dłoń Isi i dyplomatycznie wymknął się z garderoby, cicho zamykając

za sobą drzwi. Ręce pianistki zaczęły drżeć, a w oczach pojawił się dziwny błysk.

– Czy my się znamy?

– Sabine, tyle lat... – Isia nie mogła opanować coraz szybciej płynących po jej policzkach łez. – Nie poznajesz mnie? Tak, wiem, zmieniłam się, przytyłam, zestarzałam...

– Izabela? – Sabine podjechała bliżej i złapała Isię za rękę.
– Ilse, to naprawdę ty?

Wybuch płaczu, jaki dopadł obie kobiety, był jak lawa wypływająca z wulkanu. Przyjaciółki tuliły się do siebie i na zmianę płakały i głośno się śmiały. Trwałoby to pewnie do późnej nocy, gdyby nie zaniepokojony długą nieobecnością gwiazdy asystent pianistki, który wchodząc do jej garderoby, zaskoczony zastanym tam widokiem, musiał zareagować. Budynek filharmonii już prawie całkowicie opustoszał, pozostał w nim tylko Igor Konieczny, pan Kazimierz i asystent pianistki. Dochodziła godzina dwudziesta trzecia, przed budynkiem cierpliwie czekali na Isię Wanda i Antoni, pewni tego, że Isia spędza wzruszające chwile ze swoją przyjaciółką z dzieciństwa. Oczywiście Sabine nie pozwoliła im odjechać, tak bardzo cieszyła się ze spotkania z przyjaciółką, że nie mogła jej tak po prostu wypuścić. Zapropowała rodzeństwu Zalewskich, żeby przenocowali w hotelu, w którym się zatrzymała. Oczywiście pokryła koszty, a Isię zabrała do swojego apartamentu. Rozmawiały do świtu, na przemian śmiejąc się i płacząc. Niestety następnego dnia, w godzinach popołudniowych, Sabine wylatywała do Niemiec, a stamtąd do Szwajcarii, i nie mogła pozostać dłużej w Gdańsku. Wymieniły się jednak adresami z nadzieją, że czas pozwoli na to, że znów się spotkają, tym bardziej że Sabine koniecznie chciała, aby Isia spotkała się również z Rolfem, mężem Sabine, który po wojnie zaopiekował się nią i jej matką, a który często z sentymentem wspominał „małą” Polkę.

Wiadomość o tym, że Rolf i Sabine się pobrali, z jednej strony bardzo Isię ucieszyła, ale z drugiej poczuła w sercu drobne ukłucie. Być może do tej pory nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że Rolf Nitsche, przyjaciel brata Sabine, nie był jej tak do końca obojętny. Niestety, to, że wojna ich rozdzieliła, nie oznaczało, że rozstali się obojętni wobec siebie. Isia podświadomie czuła, że Rolf bardzo ją lubi, a ona... ona też go lubiła, chociaż żadne z nich nigdy tego nie powiedziało na głos. Ale Isia widziała, że Sabine jest szczęśliwa, zdrowie Rolfa nie pozwalało na tak dalekie wyjazdy, ale Sabine twierdziła, że cały czas czuje obok siebie obecność męża.

ROZDZIAŁ 10

Wiosna, rok 2016

Marzec rozpieszczał promieniami słońca. W powietrzu coraz bardziej czuć było zbliżającą się wielkimi krokami cieplejszą porę roku. Drzewa niepewnie zaczęły wypuszczać listki, a ziemia przed domem również chwaliła się nieśmiało wychodzącymi z niej tulipanami i żonkilami. Ktoś kiedyś musiał sporo się napracować w ogrodzie, bo wokół całego domu zaczęły zakwitać różnokolorowe kwiaty, tworząc przepiękne dywany. Czego tam nie było! Szafirki, tulipany, żonkile, krokusy, a nawet prymulki. Ilona nigdzie wcześniej nie widziała tak pięknie ukwieconych terenów wokół domu. Widać, że starsze panie nie oszczędzały nie tylko na świątecznych świecących, ale również na cebulach i sadzonkach kwiatów. Przebywanie na dworze nareszcie dawało więcej przyjemności. Juliusz i Antoni wystawili z budynku gospodarczego duży drewniany stół i dwie ławy, aby móc każdego dnia chociaż trochę posiedzieć na świeżym powietrzu. Obaj panowie uwielbiali szachy, dlatego na części blatu stołowego wymalowana została szachownica, a bracia,

jak tylko pozwalała na to pogoda, siadali w ogrodzie i cieszyli się grą. Ilona również starała się coraz częściej wychodzić z laptopem do ogrodu. Śpiew ptaków, zapach lasu i ziemi oraz cisza, inna niż w mieście, pozytywnie wpływały na jej zmysły.

Andrzej przyjeżdżał prawie na każdy weekend. A każdy jego wyjazd powodował, że Ilona tęskniła coraz bardziej. Niby nie byli już pierwszej młodości, ale uczucie, jakie ich dopadało, było jak niewinna młodzieńcza miłość. Po tylu latach znów czuła przyjemne łaskotanie w dole brzucha i euforię na dźwięk głosu Andrzeja.

Kiedys Isia wspomniała jej o przyjacielu brata Sabine, który nie mógł pogodzić się z myślą, że mała Polka chce opuścić ich kraj i wrócić do swojego. To musiało być dla nich trudne, zważywszy na różnicę wieku...

Kiedy skończyła się wojna, Isia miała jeden cel: odnaleźć brata, i to jej się udało, a reszta jakoś musiała się ułożyć. Determinacja, jaka towarzyszyła tej dzielnej młodej kobiecie przez te wszystkie lata poszukiwań, i odwaga, jaką nosiła w sobie, były jej najwierniejszymi przyjaciółkami w tej nowej, powojennej rzeczywistości. Isi było trudno rozstać się z Sabine, z którą spędziła kilka lat. Z jednej strony Ilse – Izabela, chciała pozostać z rodziną Angerer, a z drugiej wierzyła, że gdzieś czeka na nią mały Aron. Intuicja podpowiadała jej, że się spotkają, że się odnajdą. Tęskniła za swoim małym braciszkiem i za rodzicami. Po tym, co opowiedział jej Rolf, nie wierzyła, że rodzice przeżyli wojnę, ale nadzieja umiera ostatnia, a ona bardzo chciała, aby jej nadzieja żyła jak najdłużej.

– Znowu siedzisz nad tłumaczeniem? – Z błęgiego stanu rozmyślań wyrwał Ilonę głos Haliny.

– Ano, jakoś muszę na siebie zarobić.

– Dobrze, że znasz języki obce, chociaż ja przyznam ci się szczerze, nigdy nie miałam smykałki do języków. – Halina

zerknęła przez ramię na ekran laptopa Ilony. – O czym piszesz?

– Tłumaczę opowiadanie pewnego młodego pisarza, który chce je wysłać gdzieś na konkurs za granicę.

– O! Ciekawe?

– Takie sobie. Chłopak kupił dziewczynie medalion na targu staroci, miał być symbolem ich miłości, ale ona z nim zerwała i ten medalion chciała sprzedać.

– I... udało jej się?

– No właśnie nie, bo to był jakiś tajemniczy medalion i każdy, kto go zakładał na szyję, doznawał jakichś dziwnych wizji dotyczących przyszłości.

– To takie trochę sażens fikszyn?

– No, może trochę. – Ilona roześmiała się. – Chociaż *science fiction* to raczej taka fantastyka naukowa.

– To prawie jak nasze medaliony. – Halina zamyśliła się. – Chociaż u nas nie było sażens fikszyn, tylko... odnalezienie wizji z przeszłości.

– Nie rozumiem. – Ilona popatrzyła na starszą panią z zaciekawieniem. – O jakich medalionach mówisz?

– Isia ci nie opowiadała?

– Nie... Wspominała kiedyś o jakimś medalionie, który musiała głęboko schować, bo tak jej nakazał ten niemiecki oficer, ale...

– No właśnie, ona swój musiała schować, a ja ten drugi znalazłam i nieświadoma jego wartości, zwłaszcza emocjonalnej, nosiłam jak odpustowy wisiołek.

– Możesz jaśniej? Chyba niewiele zrozumiałam z tego, co powiedziałaś.

– E, bo to właśnie dzięki medalionom Isia odnalazła Filipa, a właściwie Arona.

– Halinko, błagam, mów trochę jaśniej. Chętnie poznam historię waszych medalionów, ale zacznij od początku.

ROZDZIAŁ 11

Lato, rok 1956

Tego roku lato było wyjątkowo upalne. Danuta od dwóch lat była bardzo schorowana, a w domu pozostały tylko dziewczyny. Antek wyjechał na Śląsk za robotą, załapał się do pracy w kopalni, żeby uniknąć powołania do wojska, i chociaż często pisał do domu listy, to siostry bardzo za nim tęskniły. Julek wprawdzie odbębnił wojsko, ale również wyjechał, do Łodzi. Poznał jakąś dziewczynę, zakochał się i pognał za nią w świat. Wprawdzie na każde żniwa chłopcy starali się przyjeżdżać, ale ich nieobecność na co dzień ciążyła siostrom z każdym rokiem coraz bardziej. Żadna z panienek Zalewskich nie miała okazji do wyjścia za mąż, to znaczy okazję to może i miały, ale jakoś nie ciągnęło ich do zakładania rodzin.

W sobotę, po pracy w polu, Wanda była tak zmęczona, że jedno, o czym marzyła, to balia z wodą i łóżko. Niestety siostra postanowiła wyskoczyć do remizy na zabawę. Jej zmęczenie było niczym w porównaniu z innymi. Skąd ona czerpała energię, żeby po prawie całym dniu w upalnym

słońcu i ciężkiej pracy mieć jeszcze siłę na tańce? Ponieważ jednak mama również zaczęła namawiać ją na tę odrobinę rozrywki, zgodziła się. Ciocia Zosia też dołożyła do tego swoje zdanie, ponieważ nie lubiła, kiedy jej nastoletni syn szedł na zabawę sam. Mama ciągle miała nadzieję, że na którejs z takich potańcówek chociaż jedna z jej córek spotka wreszcie tego jednego jedyne, a ona dożyje chwili, w której przytuli do piersi wnuka lub wnuczkę. Antek i Julek wystroili się jak na niedzielną mszę, Halina też założyła swoją najlepszą sukienkę. Cała piątka, bo towarzyszył im także Filip, poszła do oddalonej o pięć kilometrów od ich domu remizy. Kiedy dotarli na miejsce, muzyka już głośno grała, a po kilku osobach widać było, że wino szumi im nie tylko w głowie, ale i w nogach. Polska powoli podnosiła się po wojennej zawierusze, ludzie coraz mniej myśleli o latach wojny i każdy, jak mógł, starał się korzystać z życia. Rodzeństwo Zalewskich wkroczyło na salę i z rozbawieniem popatrzyło na młodych ludzi wyginających się w takt muzyki. Na prowizorycznej scenie grał czteroosobowy zespół, a skoczne melodie wręcz porywały do tańca. Filip, najmłodszy z nich, pierwszy ruszył na parkiet, pociągając za sobą córkę jednego z sąsiadów. Halina i Wanda stanęły pod ścianą i wesoło zaczęły przytupywać w takt muzyki. Bracia, korzystając z chwili nieuwagi, pobiegli do bufetu po coś do picia, a kiedy wrócili z butelkami oranżady dla każdej z sióstr, ich oczy już dziwnie się błyszczały. Po kilkunastu minutach dziewczyny również wskoczyły między tańczących, ale spocone ciała kolegów i hałas na sali spowodowały, że postanowiły na kilka minut wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza. Halina spotkała znajomą, z którą w czasie wojny działały w konspiracji, i odeszła kilka kroków od siostry, aby spokojnie porozmawiać, a Wanda usiadła na ławce i z przymkniętymi oczami zaczęła delektować się zapachem nocy.

– Ładny wisiołek – usłyszała obok siebie dziewczęcy głos.
– Odruchowo dotknęła dłonią starego medalionu znalezionej kiedyś w szkatułce mamy.

– To... pamiątka rodzinna – wydukała, przyglądając się siedzącej obok dziewczynie.

– Izabela. – Dziewczyna wyciągnęła rękę w jej stronę i uśmiechnęła się. – Jesteś stąd?

– Wanda. – Zalewska odwzajemniła uśmiech i uścisnęła dłoń dziewczyny. – Nie, z sąsiedniej wsi, a ty? Nigdy cię u nas nie widziałam.

– Przyjechałam niedawno z... nieważne. Pracuję w młynie.

– U Tadzka? – Wanda rozpromieniła się, bo dobrze знаła rodzinę młynarza.

– Tak. Skąd masz ten wisiołek? – Dziewczyna dotknęła środkowym palcem zwisającego z szyi Wandy medalionu.

– Mówiłam, pamiątka rodzinna.

– Jesteś Żydówką?

– Nie! – Wanda zaskoczona popatrzyła na nową znajomą. – Dlaczego tak myślisz, czy wyglądam na Żydówkę?

– Ależ skąd. – Dziewczyna się roześmiała. – Tylko że... ten wisiołek... to znaczy ten medalik, to z całą pewnością judaika, przypomina mi coś, i tak jakoś...

– Co? – Wandę zaczęła irytować ta rozmowa.

– Widzisz, nie wiem, czy wiesz, ale jest na nim Mojżesz, który trzyma tablicę z dekalogiem. Po drugiej stronie prawdopodobnie jest napis.

– I co z tego? – Wanda spoglądała na Izabelę z dziwnym uczuciem, że ta dziewczyna może jej namieszać w głowie.

– Mogę zobaczyć go z drugiej strony? – Zanim Zalewska wyraziła zgodę, dziewczyna już trzymała w dłoni odwrócony medalik. – Czy wiesz, co te słowa znaczą?

Wanda pokręciła głową.

– Oczekuj Izraelu Pana, bo w Panu jest łaska.

– Skąd... skąd to wiesz?

– Bo mam taki sam. – Izabela wyjęła spod sukienki identyczny medalion. – W mojej rodzinie każde dziecko, które przychodziło na świat, dostawało taki medalik. Brat mojego ojca je wykonywał. Wszystkie dzieci z rodziny Salman zostały nimi obdarowane. Miały nas chronić od złego i być... takimi naszymi talizmanami.

Wanda otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Domyśliła się, skąd w szkatułce mamy znalazł się ten medalion. Ale nie mogła przecież obcej dziewczynie tego powiedzieć. Nie miała takiego prawa. Nie miała prawa rujnować życia swojemu kuzynowi, którego kochała jak brata. Kiedy zobaczyła zbliżającą się do ławki siostrę, gwałtownie wstała i rzucając tylko w stronę dziewczyny: „Miło było cię poznać, mam nadzieję, że się kiedyś zobaczymy”, złapała Halinę za rękę i pociągnęła w stronę drogi.

– Co ty wyprawiasz? – Halina próbowała wyrwać się z mocnego ucisku, ale w Wandę jakby nadprzyrodzone siły wstąpiły.

– Nie pytaj, tylko chodź ze mną do domu. Musimy poważnie pogadać. Z ciocią Zosią i z mamą.

– Ale o czym? – Halina nie potrafiła zrozumieć dziwnego zachowania siostry.

– O Filipie.

– O Filipie? A co on znowu zmajstrował?

– Halina! – Wanda nagle zatrzymała się i ciężko łapiąc powietrze, zawołała: – On ma siostrę! Właśnie chyba ją przed chwilą poznałam.

Starsza Zalewska stanęła jak wryta i mocno złapała Wandę za ramiona.

– Co ty wygadujesz? Wino ci zaszkodziło czy oranżada?

Wanda usiadła na skraju drogi i ukryła twarz w dłoniach. Po kilku chwilach i kilkunastu głębokich oddechach opowiedziała siostrze o poznanej dziewczynie. Instynktownie czuła, że Izabela jest jej bliska. Nie wiedziała skąd, ale była pewna, że dziewczyna, która zainteresowała się jej medalikiem, jest kimś bliskim dla Filipa. Że zjawiała się w tej okolicy nieprzypadkowo. Najprawdopodobniej szuka brata, a właśnie Filip może nim być.

ROZDZIAŁ 12

Wiosna, rok 2016

Wielkanoc zbliżała się wielkimi krokami. Ilona nie mogła się nadziwić, że czas w tym domu biegnie takim tempem. Dopiero co była zima i Boże Narodzenie, a tu już koniec marca i kolejne święta. W domu zaczynał się huk roboty, bo, jak to zwykle bywa w okresie świątecznym, do sióstr Zalewskich zjeżdżało się wiele osób. Robiło się wprawdzie nieco ciasniej, ale gwar i śmiech dzieci biegających po domu oraz pozytywna atmosfera, jaka towarzyszyła wszystkim, to było coś, czego Ilonie przez większość lat z Krzysztofem brakowało.

Oczywiście każda z senierek miała do przygotowania swój „repertuar” potraw, co nie przeszkadzało ani Irenie – siostrze Andrzeja, ani żonie Jacka w przygotowaniu swoich rarytasów. Niby na stole pojawić się miały tradycyjne potrawy wielkanocne, a jednak każda z kobiet musiała dorzucić coś od siebie. Isia postanowiła jak co roku przygotować potrawę purimową, czyli *Uszy Hamana* – tradycyjne ciasteczka *Hamantasze*. W domu rodzeństwa

Zalewskich nikt nie zniechęcał jej do obchodzenia świąt według tradycji żydowskich, ale lata spędzone wśród katolików i ewangelików zbyt mocno wyparły z niej to, co mgliście czasami pamiętała z czasów sprzed wojny.

– Wielkanoc to taki radosny czas, dlaczego więc obchodzicie go tak smutno? – zapytała któregoś dnia, siadając przy stole obok pochłoniętej myślami Haliny.

– Isiu, bo dla nas to czas żałoby, przecież ukrzyżowano Jezusa, czy to ma być czas na radość? – Halina popatrzyła na przyjaciółkę z oburzeniem.

– No tak. Smutny czas, kiedy ktoś umiera, ale Jezus przecież potem zmartwychwstaje.

– I wtedy jest wesoło – mruknęła Halina.

– Ale wiesz, ja jakoś ten okres przypominam sobie nieco inaczej. Popatrz chociaż na te wszystkie ozdoby, jak radośnie informują nas o tym, że nadchodzi czas radości.

– O matko kochana, a ta znowu swoje. Isiu, czasami mam wrażenie, że uciekła ci piąta klepka. Od jak dawna jesteś z nami? Od ilu lat obchodzisz z nami święta? – Antoni stanął w obronie siostry, która widać było, że nie ma ochoty na słowne przepychanki z Isią.

Isia zamyśliła się. W domu rodziny Angerer zupełnie inaczej wyglądały przygotowania do świąt przypadających na wiosnę.

– Przepraszam was, wiem, że powinnam to przeżywać z wami z wielką powagą, z nostalgią, ale jestem taka szczęśliwa, że jestem z wami, że...

– Dobrze! Już dobrze! – Julian wszedł jej w słowo. – Co roku to samo. Ty się może wreszcie zdeklaruj, czy jesteś żydówką, czy katoliczką, bo nie widzę, żebyś ortodoksyjnie obchodziła wasze święta, chociaż często o nich lubisz mówić, więc postaraj się chociaż nie zakłócać naszego świętowania.

– O! Gorliwy katolik się odezwał, który zapomniał już, jak kościół wygląda. – Isia nie pozostała Julkowi dłużna i rzuciła w stronę starszego mężczyzny ciętą ripostę.

– Przestańcie! – Do kuchni wkroczyła Irena z naręczem żonkili. – Czy wy zawsze musicie się kłócić w takich chwilach? Cieszymy się tym, że możemy te święta spędzać razem, póki jeszcze się mamy. Ubywa nas przy stole i tym powinniśmy się martwić, a nie tym, kto jak odczuwa ten świąteczny czas. Isiu... – Irena zwróciła się w stronę ciotki. – Ja wiem, że tobie wiosna głównie kojarzy się ze świętem *Purim*, i nikt nie zabrania ci świętować tego po swojemu, ale odpuść czasami i nam.

– Można świętować, jak się ma z kim, ja nie mogę świętować moich żydowskich świąt, bo tu nie ma żadnego żyda – burknęła Isia pod nosem i ostentacyjnie wymaszerowała z kuchni.

Ilona popatrzyła na rodzinę Zalewskich i z niedowierzaniem pokręciła głową. Zdarzały się wśród nich drobne sprzeczki, ale takiej rozmowy chyba jeszcze w tym domu nie słyszała. Pobiegła za Isią do ogrodu i usiadła obok niej na ławce.

– Co? Ty też przyszedłaś mnie ganić? – Starsza pani miała łzy w oczach. – Wiesz, że czasami tęsknię za rodzinnym domem, który został daleko, gdzieś w przedwojennej Polsce. Tęsknię za mamą, tatą, babcią... Tęsknię za Niemcami i Sabine. Oni też obchodzili przecież Wielkanoc, ale nigdy nie było u nich takich grobowych min podczas przygotowywania świąt. Nawet wtedy, gdy nie mieliśmy z czego tych świątecznych potraw przygotować.

– Ciii. – Ilona przytuliła staruszkę do siebie i delikatnie zaczęła gładzić jej przygarbione plecy. – Opowiedz mi o twoich świątach? Czy święto *Purim* to to samo, co nasza Wielkanoc?

Isia spojrzała na Ilonę z wdzięcznością. Otarła dłonią mokry policzek i uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ 13

Wiosna, rok 1943

Pierwsza Wielkanoc w domu rodziny Angerer była nietypowa. Kazia nie mogła dogadać się z mamą Sabine co do postu i świątecznych potraw, a Isia myślała o tym, jak kiedyś radośnie spędzała święto *Purim*, zanim wybuchła wojna. Nie wiedziała, że jej *Purim* tak bardzo różni się od święta Polaków i Niemców, chociaż przecież widywała w swoim mieście ludzi idących do kościoła z koszyczkami, w których podobno znajdowały się potrawy, które ksiądz musiał pobłogosławić. W domu Sabine zaskoczyło ją to, że w dzień, o którym Kazia mówiła Wielki Czwartek, nazywany przez Sabine *Gründonnerstag*, tradycją było zjedzenie czegoś zielonego, na przykład sałaty, szczypiorku czy szpinaku. I o dziwo, mimo wojny w domu znalazło się jakieś zielone warzywo. Szczypiorek był zawsze, bo Kazia namiętnie sadziła cebulę w skrzynkach pod oknem i do wielu potraw go używała. W ogóle to był zielony dzień, bo *Frau Helga* razem z Sabine malowały też jajka na zielono. Oczywiście Isia im w tym pomagała, ale Kazia sprytnie się z tego

wykręciła, przygotowując swoje malowanki. Wielki Piątek, jak mówiła Kazia, to był dzień zadumy. Kucharka chodziła zamyślona, cały czas mrucząc coś pod nosem, a na pytania Isi odpowiadała, że modli się za Jezusa. Kazia w tym dniu niczego nie jadła, twierdząc, że obowiązuje ją ścisły post, ale Sabine i jej mamy, a przy okazji i Isi, post nie obowiązywał. Ale nie wolno im było za dużo mówić, bo, jak twierdziła *Frau Helga*, dzień ten jest Cichym Piątkiem. Wieczorem po *Frau Helgę* przyjechał samochód i gdzieś pojechała. Sabine powiedziała, że mama została zaproszona przez ich księdza na agapę. Cokolwiek to miało znaczyć, ale jak Isia się domyślała, miało to coś wspólnego z posiłkiem świątecznym. Kazia nie mogła przeboleć tego, że w sobotę nie pójdzie do kościoła ze święconką, dlatego przygotowała sobie koszyczek z kilkoma produktami, w tym jej malowanymi jajkami, i sama go sobie poświęciła. Sabine mówiła, że u nich nie święci się potraw, tylko ogień. W sobotę przed kościołami płoną ogniska, jako symbol zbliżającego się zmartwychwstania Chrystusa, a wierni odpalają świece paschalne i zabierają je do swoich domów.

W niedzielę *Frau Helga* znów gdzieś pojechała, zapewne do kościoła, a kiedy wróciła, kazała Isi i Sabine iść do ogrodu i poszukać prezentów pozostawionych przez zajączka. Co miał wspólnego ów zajączek ze śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa, tego Isia nie mogła zrozumieć, ale znalezione pod krzakiem czekolady i kolorowe jajeczka cukrowe zrekompensowały jej tę niewiedzę. Kiedy wróciły z Sabine do domu, śmiejąc się i ciesząc ze znalezionych słodkości, w salonie czekał już pięknie nakryty i udekorowany stół, na którym stały różnego rodzaju jajka, również te uformowane z białego sera, waza z zupą dyniową oraz jakieś mięsa i kiełbasy, a także kilka ciast, które upiekła Kazia. Niestety Isi nie dane było usiąść do stołu, bo kilka chwil po nich do domu weszła spora grupa ludzi, jacyś krewni czy znajomi rodziny

Angerer, i ona razem z Kazią musiały zadowolić się posiłkiem w kuchni.

W całym domu tak pięknie pachniało, a dekoracje na oknach i kredensie nastrajały tak radośnie, że Isi chciało się tańczyć.

Kiedy wieczorem goście porozjeżdżali się do domów, Isia razem z Sabine udała się do sypialni. Pomogła przyjaciółce rozebrać się i umyć, a kiedy *Frau Helga* położyła córkę do łóżka, Sabine poprosiła, aby Isia opowiedziała jej o świętach w jej rodzinnym domu.

– U nas takie święto na wiosnę to *Purim* i jest wspomnieniem wydarzeń opisanych w Księdze Estery.

– Czy to słowo coś oznacza? – Sabine z przyjemnością słuchała opowieści Isi, chociaż nie wszystko z nich rozumiała.

– *Pur* to słowo hebrajskie i oznacza los. A *purim* to losy. Pamiętam historię opisaną w Księdze Estery, którą opowiadała mi babcia. Dotyczy ona losów Żydów zamieszkałych w Persji. Jeden z królewskich dostojników, który nazywał się Haman, wydał wyrok skazujący wszystkich Żydów zamieszkujących w Persji na śmierć. Gdyby nie Estera i jej opiekun Mordechaj, doszłoby do tragedii.

– Kim była ta Estera? – Sabine popatrzyła na Isię z ciekawością.

– Wiesz, nie pamiętam dokładnie, jak pojawiła się na dworze perskiego króla, ale została jego żoną. Estera była Żydówką, ale nie wolno jej było o tym nikomu mówić.

– Tak jak tobie nie wolno? – Sabine delikatnie dotknęła dłoni przyjaciółki.

Isia skinęła głową i zamyśliła się.

– Mów dalej, Izabelo.

– Natomiast Haman był największym dostojnikiem dworskim, dzięki swoim wpływom u króla udało mu się wymóc na nim dekret, na mocy którego Żydzi mieli być zgładzeni w trzynastym dniu miesiąca *adar*, to taki miesiąc na przełomie lutego i marca. Ale Mordechaj nakłonił Esterę, aby przekonała króla do cofnięcia tego zarządzenia. Estera powiedziała królowi, że Haman wydał ją wraz z jej ludem na uśmiercenie. Król się zdenerwował i kazał Hamana powiesić, a na jego miejsce wyznaczył Mordechaja. Estera nakłoniła też króla, żeby pozwolił Żydom zgładzić swoich wrogów. Trzynastego dnia miesiąca *adar* Żydzi zabili wielu swoich wrogów. Następnego dnia, na życzenie Estery, zabito również dziesięciu synów Hamana i kolejnych wrogów. I to właśnie na cześć tych zająć w prowincjach wyznaczono czternasty dzień miesiąca *adar*, a w stolicy piętnasty dzień, na Święto *Purim* i dzień odpoczynku dla wszystkich Żydów. Estera i Mordechaj odmięnili los Żydów i stąd nazwa *Purim*.

– I co robicie w to święto?

– *Purim* jest żydowskim karnawałem. Dla Polaków, świętujących Wielkanoc, jest to Wielki Post, ale dla innych wyznań, takich na przykład jak luteranie czy kalwiniści, to Czas Pasyjny. Tylko dzień przed *Purim* obowiązuje nas jednodobowy Post Estery.

– Ale karnawał jest zimą, i to przecież wtedy się tańczy. – Sabine popatrzyła na Isię z konsternacją.

– U Żydów właśnie *Purim* jest karnawałem. Na *Purim* gmina żydowska zbiera się w synagodze, która jest pięknie udekorowana. Zebrany odczytuje się w całości Księgę Estery. Za każdym razem, gdy podczas czytania pojawi się imię Haman, w synagodze następuje głośne tupanie i terkot kołatek zagłuszający to imię. A ponieważ *Purim* jest karnawałem, osoby znajdujące się w synagodze są przebrane w stroje karnawałowe. Podczas *Purim* zakazany jest post i żałoba.

– Czyli bawicie się?

– Tak, a dorośli piją dużo alkoholu. Dziwacznym elementem *Purim* jest *micwa*, oznaczająca to, co dobre. Przykazanie nakazuje wypicie podczas święta takiej ilości alkoholu, by nie odróżniać Mordechaja od przekłętego Hamana.

– No, a te tańce?

– Po spotkaniu w synagodze rozpoczynają się spotkania towarzyskie, takie jak u was w domu, ale bardzo często połączone z tańcami. Tylko że u Żydów tańce wyglądają inaczej niż u was, bo kobiety i mężczyźni zawsze tańczą osobno.

– A co z jedzeniem? Też przygotowujecie to samo, co my?

Isia uśmiechnęła się, a następnie wyszła z pokoju Sabine po to, aby po chwili wrócić z małym pakunkiem.

– Proszę, to dla ciebie. Kazia pozwoliła mi upiec kilka.

– Co to jest? – Sabine powolutku zaczęła odwijać pakunek.

– Potrawą *purimową* są ciasteczka *Hamantasze*, czyli *Uszy Hamana*. – Ilse zachichotała.

ROZDZIAŁ 14

Wiosna, rok 2016

Po świątach wielkanocnych Ilona widywała Andrzeja tylko na Skypie, ponieważ dyżury w szpitalu nie pozwalały mu na zbyt częste przyjazdy. Przyjechał jednak na któryś majowy weekend i to w wybitnie dobrym humorze. Po wejściu do domu serdecznie uściskał ciotkę Halinę, a drugą z ciotek podniósł do góry jak małe dziecko i szarmancko ucałował.

Ilona przypatrywała się tej jego euforii z uśmiechem.

– Mam urloooooo! – zawołał mężczyzna i mrugnął porozumiewawczo do Ilony.

– O! To super, w związku z tym jakieś plany? – Halina usiadła przy stole i zaczęła z ciekawością spoglądać na bratanka.

– Chcę porwać Ilonę na kilka dni do Gdańska, a potem pojedziemy do Jastarni, zarezerwowałem już nawet pokój w hotelu.

– Porwać, powiadasz? – Isia popatrzyła porozumiewawczo na Ilonę i mrugnęła do niej. – A jeżeli ona ma inne plany? I nie da się porwać?

– Ciociu, do porwania nie trzeba zgody. – Andrzej się roześmiał. – Ale dobrze, ponegocjuję... – Złapał Ilonę za rękę i pociągnął w stronę drzwi wyjściowych. – Wracamy za... Jak wrócimy – dodał z rozbawioną miną i szybko podał Ilonie kurtkę.

Odprawdzani przez psy opuścili posesję Zalewskich i skierowali się w stronę lasu. Ciepły majowy wiatr ochoczo towarzyszył im aż do ściany drzew. Przyjemnie ogrzewające promienie słońca, od dłuższego czasu towarzyszące wszystkim, przedzierały się przez korony drzew, żeby popieścić ich od czasu do czasu swoim ciepłem. Szli w milczeniu, trzymając się za ręce jak nastolatki. Ilona bardzo chciałaby mieć znów kilkanaście lat zamiast tych swoich czterdziestu plus. Gdyby kilkanaście miesięcy temu ktoś powiedział jej, że zamiast z Krzysztofem będzie za rękę spacerowała z innym mężczyzną, to wyśmiałaby go. Tak, jeszcze kilkanaście miesięcy temu nie wyobrażała sobie nawet życia u boku innego mężczyzny niż Krzysztof, i co? Życie zdecydowało za nią.

– O czym tak myślisz? – Andrzej spojrzał na towarzyszącą mu kobietę. Wyraz jej twarzy odrobinę go zaniepokoił.

– Chyba boję się zaangażowania.

– Zaangażowania? – Mężczyzna przystanął i położył dłonie na ramionach Ilony. – Nie wierzysz w przyjaźń?

– W przyjaźń wierzę, ale... – Ilona zawahała się. – Myślę, że to, co nas dotyczy, zaczyna przeradzać się w coś innego.

– A to źle?

– Nie wiem. – Nagle wzrok Ilony powędrował w stronę gęsto rosnących krzewów dzikiej róży. – Słyszałeś? – Jej głos zabrzmiał nieco drżąco, jakby się czegoś wystraszyła.

- Co? – Andrzej odwrócił się i zaczął przyglądać okolicy.
- Ktoś jest za tymi krzakami. – Ilona zbliżyła się do Zalewskiego. – Wyraźnie czuję, jak ktoś nas obserwuje.
- Może jakieś zwierzę, nie wiem, sarna, zając, dzik...
- Dzik? – Popatrzyła tak wystraszonym wzrokiem, że Andrzej roześmiał się i mocno przytulił ją do siebie.
- Żartowałem, w naszym lesie raczej o tej porze dzika nie spotkasz.
- Ale tam ktoś jest. – Ilona odsunęła się od mężczyzny i powoli zaczęła iść w stronę krzewów.

Cholera, chyba nigdy nie zrozumieję kobiet. Niby się boi, ale musi sprawdzić – pomyślał Andrzej z nutą rozbawienia. Kiedy zbliżyli się na odległość około jednego metra, nagle z krzaków coś wyskoczyło i zniknęło w kolejnej gęstwinie.

- Widziałeś?! Miałam rację! – Ilona z satysfakcją uniosła głowę, ale Andrzej zauważył, że zaczęła trząść się jak galaretka ciotki Isi.

- Spokojnie, to z pewnością nie coś, tylko ktoś. – Mężczyzna nagle spoważniał i złapał Ilonę za rękę, odciągając ją od krzewu dzikiej róży.

- Skąd wiesz?

- Nie jestem pewien, ale to mogła być stara Lippmanowa.

- Kto?

- Mieszka w lesie od czasów wojny. Rzadko kto ją widuje, chociaż niektórzy podobno ją spotkali. Mówią, że jest trochę tego... – Andrzej zbliżył dłoń do skroni i pokazał kółko.

- Ale jak to, mieszka w lesie? – Ciekawość Ilony zastąpiła niedawny lęk.

- Dokładnie to nie wiem, musiałybyś podpytać Halinę, bo one podobno kiedyś się przyjaźniły. Nikt do tej pory nie znalazł miejsca, w którym ta kobieta mieszka. Niektórzy się

jej boją, inni zostawiają czasami w lesie jakieś jedzenie, a zimą nawet ciuchy, koce czy kołdry, a ona to zawsze znajduje. Podobno uciekła do tego lasu razem z rodziną, kiedy Niemcy robili pogrom Żydów we wsi. Spalili wówczas większość chat żydowskich, a ich mieszkańców wywieźli, pewnie do obozów. Wtedy rodzina Lippmanów uciekła do lasu i w nim się schroniła. Niestety, jakiś folksdojcz znalazł ich szałas i doniósł Niemcom. Zaprowadził ich na miejsce. Rodzina Lippmanów liczyła sześć osób, oprócz rodziców było czworo dzieci, najmłodsze miało cztery latka. Fajga Lippman była najstarsza z rodzeństwa. Niemcy kazali starym wykopać dół, a potem...

Ilona zakryła usta dłonią, a jej policzki zaczęły płonąć jak dwie pochodnie.

– No, ale ta Fajga przeżyła.

– Podobno była w lesie i zbierała chrust, kiedy poczuła dziwny zapach dymu. Pobiegła w stronę szałasu, ale na widok tego, co zobaczyła, szybko wdrapała się na drzewo. Szałas się palił, jej rodzice kopali dół, a rodzeństwo stało przytulone do siebie i płakało. Kiedy padły strzały, straciła przytomność, ale na szczęście leżała na grubym konarze, więc nie spadła. Ten, który zdradził, po kilku szklankach bimbru wygadał się przed kimś o swoim bohaterskim czynie. Byli we wsi ludzie, którzy znali miejsce, w którym ukryła się rodzina Lippmanów, między innymi ciotka Wanda. Na drugi dzień ciotka z dwoma przyjaciółmi poszła na miejsce zdarzenia i znaleźli Fajgę na drzewie. Chłopcy musieli siłą ją ściągnąć, bo nie chciała do nich zejść. Jak była już na dole, to zerwała się na nogi i z obłędem w oczach uciekła w głąb lasu. Od tej pory podobno z nikim się nie kontaktowała, chyba boi się ludzi.

– Ale przecież ona musi mieć teraz prawie dziewięćdziesiąt lat, jak to możliwe, że nadal mieszka w lesie? A zimy?

– Wiesz co, ja nic więcej nie wiem, popytaj Halinę, może ona ci powie. – Andrzej wzruszył ramionami i popatrzył na

gęsto zarośnięty jałowiec, za którym, jak mu się wydawało, zniknęła obserwująca ich kobieta. – A może to nie była ona? Chodź, wracajmy do domu. – Delikatnie złapał swoją towarzyszkę za rękę i pociągnął w stronę drogi.

Słowa Andrzeja dudniły Ilonie w głowie jak stado koni. Nie mogła uwierzyć w to, że ktoś w XXI wieku może żyć w lesie. I to ktoś tak stary jak ta Żydówka. Nie, to nie jest możliwe – myślała, ale co kilka kroków odwracała się i spoglądała na znikające powoli krzewy dzikiej róży i jałowca.

Kiedy weszli do domu, Isia od razu zauważyła, że coś musiało się na tym romantycznym spacerze wydarzyć, i z całą pewnością nie było to nic pozytywnego. Badawczo zaczęła obserwować Andrzeja, ale ten zachowywał się normalnie. Za to Ilona wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– Czy coś się stało? – Isia podeszła do młodej kobiety i zapytała szeptem, aby nikt oprócz Ilony jej nie usłyszał.

– Nie. – Ilona popatrzyła na starszą panią i uśmiechnęła się. – A właściwie to tak.

Isia uniosła brwi i zaczęła badawczo przyglądać się kobiecie, dając do zrozumienia, że czeka na dalszy ciąg.

– Wiesz, kiedy spacerowaliśmy po lesie, nagle wydało mi się, a właściwie to wyczułam, że ktoś nam się przygląda. Kiedy chciałam sprawdzić, ten ktoś uciekł.

– Eee, pewnie jakaś sarna albo inne zwierzę. – Isia machnęła ręką, ale wyraz twarzy młodej kobiety nie pozwolił jej na pewność.

– Andrzej powiedział mi o starej Żydówce mieszkającej w lesie, może to była ona?

– Fajga Lippman? – Isia się zamyśliła. – Kto wie, czy ona jeszcze żyje?

– O czym tak szepczecie? – Do kobiet nagle dołączyła Halina.

- Ilona mówi, że spotkali w lesie Fajgę.
- Jak to „spotkali”? - Zalewska popatrzyła na kobiety z przerażeniem.
- To znaczy nie spotkaliśmy, tylko... - Ilona powtórzyła to, co przed chwilą opowiedziała Isi. - Ale czy to możliwe, że ta kobieta jeszcze żyje? Przecież ona pewnie ma ze sto lat?
- Ma osiemdziesiąt osiem, właściwie osiemdziesiąt dziewięć, skończy w listopadzie. Jesteśmy z tego samego rocznika. - Halina uśmiechnęła się nieśmiało i pokiwała głową. - Ona żyje, jestem tego pewna, chociaż chyba nie ma się najlepiej.
- Skąd wiesz? - Isia i Ilona zapytały jednocześnie, patrząc na Halinę z odrobiną ciekawości.
- Ostatnio nie odebrała naszej... - Zalewska przyłożyła dłoń do ust.
- Halina! Czego nie odebrała?! - zawołała Isia i oderwała dłoń kobiety od jej ust.
- O matko, Isia, jaka ty upierdliwa jesteś. Zapomniałaś, że co jakiś czas zanosimy do lasu paczkę z jedzeniem i witaminami? No i w zeszłym tygodniu Zenek Krokowski zostawił paczkę w tym samym miejscu co zawsze i... za kilka dni znalazł ją w stanie nienaruszonym.
- To może trzeba zanieść tę paczkę do miejsca, w którym ta Fajga mieszka? - Ilona czuła, że wzbiera się w niej coś na podobieństwo irytacji.
- Ba! Żeby to było takie proste! - odpowiedziała Halina. - Nikt nie wie, gdzie ona mieszka, bo ciągle przenosi się z miejsca na miejsce. Kilka razy chłopcy znaleźli szalasy, lub coś temu podobne, w którym były wyraźne ślady czyjegoś pobytu, ale...
- Chłopcy? Jacy chłopcy? - Isia patrzyła na Halinę szeroko otwartymi oczami.

– Oj, Isia, czepiasz się szczegółów. Nasi chłopcy, z drużyny.

– To chyba dorośli mężczyźni, żeby nie powiedzieć stare dziadki!?! – zawołała Isia.

– Dziadki nie dziadki, ale niektórzy jeszcze całkiem sprawni. A nie zapominaj, że my w czasie wojny mieliśmy inne życie. Kiedy ty sobie spałaś w ciepłym łóżeczku i zjadałaś gorące kiełbaski, to my walczyliśmy. W lesie też. – Halina ostatnie zdanie dodała bardzo przyciszonym tonem. – Te stare dziadki, jak ich nazwałaś, mają synów i wnuków, którym przekazali harcerską krew. Nie wszyscy młodzi ludzie siedzą całymi dniami z nosami w telefonie czy komputerze, są tacy, którzy działają.

Isia poczuła wpełzający na policzki rumieniec. Wiedziała, o czym mówi Halina. W ich miejscowości nadal żyło wielu harcerzy, którzy zarazili młodsze pokolenia swoją pasją bycia kimś. Niejeden raz widziała młodych ludzi w mundurach, jak z plecakami lub tylko z chlebakami wędrowali w stronę lasu. Dziwiła się wówczas, że chce im się kultywować tradycje dziadków. Jeden z harcerzy-weteranów, przyjaciel Haliny i Wandy, mówił, że młodzież chętnie słucha opowieści o wojennej działalności harcerskiej. Śmiał się, że teraz to właściwie przedszkole, a nie prawdziwe harcerstwo. Teraz obozy są w pełni wyposażone w łóżka, sanitariaty, na terenie obozu czasami są sklepiki, a posiłki przygotowuje prawdziwy kucharz, zgodnie z normami sanepidu i innych instytucji. Nie to, co za czasów ich działalności, kiedy sypiali na gołej ziemi a potem, już po wojnie, musieli sami sobie sklecać posłania, robić sienniki. A posiłki...? Gotowało się z tego, co dostali od gospodarzy czy „wypracowali” w polu. Stara Fajga Lippman wciąż może liczyć na przyjaciół ze wsi. Isia zamyśliła się i uśmiechnęła do swoich myśli.

– Co cię tak zatkało? – Halina patrzyła na przybraną siostrę uśmiechającą się jakby do siebie.

– Eee, nic. Zapomniałam, że ty jesteś czynną działaczką harcerską. – Isia mrugnęła porozumiewawczo do Ilony. – Cieszę się, że ktoś jednak dba o tę starą Żydówkę.

– Tylko nie starą! Tylko nie starą! – obruszyła się Zalewska. – Ja i Fajga jesteśmy w tym samym wieku.

– O! Młódzież się odezwała. – Isia roześmiała się i wyszła z pokoju.

Ilona popatrzyła za nią, odsuwając myśli o kobiecie z lasu w najgłębsze zakamarki świadomości. Słuchając przekomarzenia staruszek, nie mogła wyjść z podziwu nad ich energią i witalnością.

Po kolacji Ilona usiadła obok Isi na kanapie i zaczęły oglądać jakiś melodramat. Andrzej z ojcem postanowili zagrać partyjkę szachów, więc w domu zapanowała względna cisza.

– Opowiedz mi o twoim pobycie w Niemczech. Kiedy zdecydowałaś się na powrót do Polski? – Ilona popatrzyła na Isię z nadzieją, że ta da się wciągnąć w swoje wspomnienia.

– Najpierw zmieniliśmy dom i przenieśliśmy się bliżej szwajcarskiej granicy. To było już po wojnie, chociaż ja, wówczas piętnastolatka, nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje. Pani Angerer coraz częściej chodziła zapłakana, a ja nie wiedziałam, co jest tego przyczyną. Kilka razy zauważyłam jak ktoś przywiózł jej list, który szybko chowała za dekolt bluzki. Tak jakby bała się, że ktoś ją zobaczy. Pan Angerer nie pojawił się aż do czterdziestego siódmego roku. Podobno był w jakiejś niewoli. To właśnie wtedy, wiosną czterdziestego szóstego, w nocy ktoś przyjechał; pani Angerer wszystkich nas obudziła i kazała się pakować. Po domu kręcili się jacyś obcy ludzie i ładowali na ciężarówkę co cenniejsze rzeczy. Ani ja, ani Sabine nie wiedziałyśmy, co się dzieje, a kucharka Kazia tylko pochlipywała pod nosem

i mamrotała coś, że teraz to już na pewno nie wróci do Polski. Wyjechaliśmy przed świtem. To była bardzo długa i bardzo ciężka podróż. Pani Angerer prawie cały czas płakała, Sabine siedziała zamyślona, a ja... nie wiedziałam, co tak właściwie mam myśleć o tej całej ucieczce. Że to była ucieczka, byłam całkiem pewna. – Isia zamyśliła się i popatrzyła na czerwone niebo za oknem, zwiastujące ładną pogodę. – Wiesz co? Chyba zrobię sobie małego drinka, chcesz też? – zapytała i zanim Ilona zdążyła odpowiedzieć, już stała przy starym kredensie. Nalała do szerokich szklanek po odrobinie whisky i dopełniła sokiem.

– Isia! To profanacja! – zawołał Andrzej, spoglądając, jak staruszka powoli niesie szklanki w kierunku kanapy.

– Masz rację, Andrzej, żeby tak niszczyć smak dobrej whisky jakimś sokiem. Tfu. – Juliusz popatrzył na Isię z pogardą.

– Cicho tam, zajmijcie się swoimi szachami, a nie podglądaniem kobiet. – Starsza pani podała Ilonie szklankę i ponownie zajęła miejsce na kanapie. – O czym to ja mówiłam? Aha, o wyjeździe. – Upiła łyk bursztynowego napoju, podelektowała się jego smakiem i kontynuowała. –

Jak się później okazało, pan Olaf uciekł z obozu razem z kilkoma innymi Niemcami, o Norbercie natomiast ani widu, ani słychu. Kazia mówiła coś o tym, że prawdopodobnie pan Angerer jest poszukiwany przez komunistów, dlatego musieliśmy uciekać z tego ładnego domu. Pod koniec czterdziestego szóstego Kazia opuściła dom Angererów. Dostała od pani Angerer jakieś papiery i poszła w stronę miasta, gdzie podobno organizowali się ludzie pracujący w czasie wojny u Niemców, i teraz mogli już wolni wracać do swoich krajów. Działała tam jakaś organizacja, pomagająca ludziom spoza Niemiec. Kazia chciała mnie zabrać ze sobą, ale Sabine, jak się o tym dowiedziała, to tak strasznie zaczęła płakać, że żal mi się jej zrobiło i zostałam. W sumie nie było mi tam tak źle, tęskniłam tylko za domem i bardzo chciałam odnaleźć

mojego małego braciszka. Podświadomie czułam, że on żyje, i gorąco wierzyłam w to, że tęskni za mną i że się odnajdziemy. Głupia, wierzyłam w to, że tęskni, nie zdając sobie sprawy, że kilkumiesięczne dziecko, które widziałam ostatni raz w czterdziestym drugim roku, nie mogło mnie pamiętać. – Isia zamilkła na dłuższą chwilę.

ROZDZIAŁ 15

Zima, rok 1947/1948

Tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy był trudnym rokiem dla rodziny Angerer. Pan Olaf pojawił się na krótko i znów wyjechał. W noc poprzedzającą jego wyjazd długo rozmawiał z żoną. Opuścił dom przed świtem, zanim jeszcze Sabine się obudziła. Po jego wyjeździe *Frau Helga* chodziła jak zjawa, kucharka Kazia odeszła i w domu zostały tylko we trzy. Mama Sabine czasami zachowywała się tak, jakby nikogo oprócz niej nie było. Zapominała nawet o jedzeniu. Gdyby nie Ilse, Sabine pewnie by głodowała. To ona przejęła teraz opiekę nad przyjaciółką i nad całym domem. Sprzątała, gotowała, chociaż nie zawsze było z czego, myła swoją przyjaciółkę i ubierała. A do tego musiała się tak zachowywać, żeby Sabine nie czuła się samotna i opuszczona. Ilse coraz częściej tęskniła za Polską i rodziną, którą miała nadzieję jeszcze zobaczyć. W małym domku w górach panował spokój, ale gdzieś podświadomie czuła, że na świecie nie dzieje się dobrze. Niemcy przegrali wojnę i teraz to niemiecka rodzina musiała się ukrywać.

Dlaczego, tego Isia nie wiedziała. Mogła się tylko domyślać. Nie wiedziała, co robił ojciec Sabine w czasie wojny, ale musiał robić coś, za co teraz miał ponieść odpowiedzialność.

Któregoś dnia przed ich mały domek zajechał motocykl. Wyskoczył z niego mężczyzna i powoli zbliżył się do budynku. Mama Sabine leżała na szezlongu z zamkniętymi oczami, co zdarzało jej się coraz częściej. Isia i Sabine obierały ziemniaki w kuchni. To Sabine pierwsza usłyszała warkot motoru i ze strachem w oczach zaczęła spoglądać w okno. Kiedy usłyszały pukanie do drzwi, obie zdrętwiały z przerażenia. Ilse jednak szybko opanowała strach i poszła otworzyć. Na zewnątrz stał młody mężczyzna w cywilnym ubraniu. Jego oczy wydały jej się znajome.

– *Guten Tag*, Izabele, nie poznajesz mnie?

Głos jakby znajomy, oczy jakby też, ale Ilse nijak nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka. Nagle za plecami usłyszała radosny głos swojej przyjaciółki.

– Rolf! Rolf!

W tym momencie Ilse poczuła szybsze bicie serca. Poznała go. Był przyjacielem brata Sabine. Rolf Nitsche. Wprawdzie widziała go ostatni raz kilka lat wcześniej, ale wciąż czuła do niego sympatię.

– Ach, Rolfie, jak nas tu znalazłeś? – Do drzwi podeszła pani Helga i mocno go przytuliła.

Ilse z zaciekawieniem przyglądała się mężczyźnie. Kiedy ostatni raz go widziała, był w niemieckim mundurze. Pięknie ogolony, uśmiechnięty, chociaż z jego oczu wycierał jakiś smutek. Teraz wyglądał zupełnie inaczej. Kilkudniowy zarost, brudna szara marynarka i wytarte spodnie nie dawały mu takiego blasku jak mundur. Twarz przypominała szary papier, a z oczu spoglądała pustka.

– Nie stój tak na dworze. Chodź. Chodź do środka i opowiadaj.

Rolf posłusznie poszedł za panią domu, ale zanim wszedł do pokoju, odwrócił się i popatrzył smutnym wzrokiem na Sabine.

– Nie przynoszę dobrych wiadomości – powiedział cicho. – Norbert... Norbert został zabity przez rosyjskich żołnierzy, kiedy uciekaliśmy z obozu pracy. Dopadli nas w lesie, ja ukryłem się w krzakach, ale jego dopadli i... dostał serię w plecy. Proszę, to jego rzeczy. – Podał zszokowanej kobiecie zawiniątko i opuścił głowę, skupiając wzrok na swoich zniszczonych butach.

Helga patrzyła na niego jak na zjawę. Nie płakała. Zachowywała się tak, jakby nie usłyszała albo nie rozumiała jego słów. Powoli odpakowała zawinięte w kawałek szmatki rzeczy i... osunęła się na podłogę. Ilse błyskawicznie dopadła do pani Angerer i zaczęła ją cucić. Sabine milczała, tylko po jej policzkach spływały jedna po drugiej duże, ciężkie łzy.

Rolf został z nimi. Niestety nie miał żadnych wieści o panu Olafie, słyszał tylko, że został wydany na niego wyrok za pomaganie wrogom Rzeszy. Rolf nie miał dokąd wracać, jego dom został spalony, a rodzice zginęli, nie miał nikogo bliskiego. Ilse była zadowolona z tego, że w ich domu pojawił się mężczyzna. Czuła się bezpieczniej, chociaż sama nie wiedziała, czego lub kogo się tak naprawdę boi. Przecież Niemcy nie mogli jej już skrzywdzić, a o Armii Radzieckiej niewiele wiedziała, ponieważ miejsce, w którym zamieszkali, wojna jakby ominęła. O jej istnieniu świadczył tylko fakt problemów z żywnością, ale Ilse, nauczona samodzielności, jakoś sobie z tym radziła, chodząc czasami po kilka kilometrów do sąsiednich domostw i wymieniając różne rzeczy z domu na produkty żywnościowe. Kazia, zanim odeszła, załatwiła skądś bulwy ziemniaków i nasiona warzyw, tak że z przydomowego ogródka w niewielkich ilościach można było coś wykombinować. Na szczęście

wokół domu ktoś kiedyś posadził również drzewa owocowe, które latem cieszyły swoimi darami, a i na zimę Kazia z Isią zrobiły niezłe zaopatrzenie.

Któregoś zimowego wieczoru Rolf zastał Isię w kuchni wyjątkowo zamyśloną. Usiadł cichutko przy stole i zaczął przyglądać się tej młodej kobiecie, którą pamiętał jako czarnooką nastolatkę. Wypiękniała. Jej długie ciemne włosy zaplecione w gruby warkocz kontrastowały z jasną sukienką i szarym swetrem, które miała na sobie.

– Wiesz, jest taka legenda. – Ilse ocknęła się z zadumy, ale nie spojrzała na siedzącego obok niej Rolfa. – Wszyscy powinni znać i pamiętać piękną opowieść o Honi, który pewnego dnia spostrzegł starca sadzącego drzewo chlebowe, w naszym języku, czyli po polsku, mówiło się chleb świętojański. „Kiedy to drzewo wyda owoce?” – Honi zapytał starca. „Za siedemdziesiąt lat” – odpowiedział tamten. I Honi zapytał: „Czy oczekujesz, że będziesz żył za siedemdziesiąt lat, aby cieszyć się jego owocami?”. A starzec mu odpowiedział: „Gdy się urodziłem, ten świat był pełen drzew zasadzonych przez moich przodków. I drzewa te rodziły owoce, choć tych, którzy je zasadzili, nie było już wśród żywych. Więc ja także sadzę drzewa dla moich wnuków i wnuków ich wnuków”. – Ilse spojrzała na Rolfa i nieznacznie się uśmiechnęła.

– Co się wydarzyło, że przypomniała ci się ta legenda?

– Ta opowieść stanowi dowód, że sadzenie drzew jest jedną z wielu możliwych odpowiedzi na wezwanie idei *tikkun olam*, doskonalenia, naprawiania świata.

– Wiele dni upłynie zanim naprawimy ten świat.

– Wiem, i oby udało nam się go odbudować. Nie wiem dokładnie, ale gdybym była w domu i nie byłoby tej całej wojny, to pewnie dziś, a może jutro albo pojutrze, świętowałabym razem z rodziną *Tu Bi-Szwat*.

– A co to takiego? – Rolf spojrział na dziewczynę wyczekująco.

– *Tu Bi-Szwat* oznacza piętnasty dzień miesiąca *Szwat*. *Tu* wyraża liczbę piętnaście w hebrajskim. Piętnasty dzień miesiąca *Szwat* jest Nowym Rokiem Drzew, nazywanym *Rosz Ha-Szana lallanot*. W Księdze Wajikra napisano: „Gdy przyjdziecie do ziemi Izraela i będziecie sadzić wszelkie drzewo rodzące jadalny owoc, będzie wam ten owoc wzbroniony. Przez trzy lata będzie wam wzbroniony i jedzony nie będzie”.

– Co to jest ta księga Waj...

– Wajikra to Księga Kapłańska.

– Dlaczego? Dlaczego nie wolno jeść tych owoców?

– *Tu Bi-Szwat* jest nowym rokiem dla *orla* i *neta rewai*. Owoce dojrzewające w pierwszych trzech latach od zasadzenia drzewa są zaliczane do *orla* i nie wolno ich spożywać. Te, które dojrzewają po *Tu Bi-Szwat*, w czwartym roku, są *neta rewai*.

– Jeśli mam być szczery, to nic nie rozumiem. – Rolf pokręcił głową, ale wyczekująco spojrział na Ilse. – Możesz mówić jaśniej?

– Nie rozumiesz, bo nie jesteś Żydem, ja wyrosłam w tym.

– Ale czy to możliwe, że po tylu latach niepraktykowania religii żydowskiej nadal pamiętasz wszystko z takimi detalami?

– Oj, Rolfie, jaki ty jesteś głupiutki. – Ilse się roześmiała. – To jest jak jazda na rowerze, jak raz nauczysz się jeździć, będziesz pamiętał to do końca życia. Po zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej zastosowanie urodzin drzew przestało właściwie funkcjonować i dzień ten przekształcił się w święto o epizodycznym znaczeniu. Babcia opowiadała mi, że w Izraelu nadal sadi się drzewa, a w niektórych domach

odbywa się uroczysta kolacja *sederowa*, przypominająca *seder* podczas święta *Pesach*.

– Możesz mi wyjaśnić, co oznaczają słowa *seder* i *pesach*?

– Rolf przyglądał się Ilse, a jej słowa coraz bardziej go interesowały.

– *Seder* to pierwszy wieczór Paschy, a *Pesach* to taka żydowska Wielkanoc. To najważniejsze i najstarsze święto żydowskie rocznego cyklu, obchodzone na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej.

– Dziękuję. Chyba pomału zaczynam rozumieć, o czym mówisz.

– Świetnie, zatem wrócę do *Tu Bi-Szwat*. Mamy więc, podobnie jak w czasie *Pesach*, cztery kielichy wina; odczytywane są wersety dotyczące roślin w Izraelu i oczywiście odbywa się błogosławienie wina i owoców, a potem ich jedzenie.

– Chyba zaczyna mi ślinka napływać do ust. – Rolf próbował zażartować, ale widząc, że dziewczynie ten żart niezbyt przypadł do gustu, zakrył usta dłonią na znak, że będzie milczał.

– Istnieje wiele wariantów przebiegu tej kolacji przy zapalonych świecach. Wspólne elementy to wina, białe i czerwone, oraz różne owoce. Pierwszy kielich wina to wino wyłącznie białe, symbolizujące zimę. Drugi to dwie trzecie białego i jedna trzecia czerwonego, symbolizujące nadchodzącą wiosnę. W niektórych domach istniał zwyczaj dodawania nie jednej trzeciej, ale tylko kropli czerwonego. Trzeci kielich to jedna trzecia białego i dwie trzecie czerwonego, symbolizujące rozkwitającą wiosnę. A czwarty to wyłącznie wino czerwone, oczywiście symbolizujące lato. Przed wypiciem każdego kielicha są błogosławieństwa...

– Błagam tylko nie powtarzaj tych błogosławieństw. – Na dźwięk głosu Sabine Ilse i Rolf drgnęli jak oparzeni. Z zaskoczeniem spojrzeli na wjeżdżającą do kuchni juniorkę

rodziny Angerer. – Rolf, jeżeli cokolwiek zrozumiałeś z tego, co ona mówi, to nie musisz już słuchać tych błogosławieństw, bo ona wypowiada je takim językiem, że gdybyś chciał powtórzyć, to byś sobie swój połamał.

– Nie bądź złośliwa, Sabine! – Ilse odpowiedziała przyjaciółce ostrym tonem, ale Rolf zauważył, że nie było w tym ani krzty złości.

– Nie zwracaj uwagi na tę małą złośnicę i kontynuuj, proszę. – Rolf odwrócił się w stronę Sabine i mrugnął zawadiacko.

– Aby można było wypowiedzieć błogosławieństwo *Szehechejanu*, trzeba zjeść owoc, którego nie jadło się od dawna, i najlepiej, gdy jest to owoc sezonowy, charakterystyczny dla pory roku.

– A mówiłam, że ona używa trudnych słów? – Sabine pokręciła głową i podjechała bliżej stołu. – Wyjaśnij mi teraz, co to znaczy to *szehe...* cośtam.

– *Szehechejanu*. – Ilse się uśmiechnęła. – To błogosławieństwo odmawiane na początku każdego święta, w *Jom Towim*, na *Purim* i Chanukę. Obowiązuje w odniesieniu do wydarzeń, które zdarzają się raz na trzydzieści dni.

– Strasznie dużo w tej waszej religii tych błogosławieństw. – Sabine pokręciła głową.

– No dobrze, wspomniałaś o owocach. – Rolf starał się wrócić do głównego wątku opowieści Ilse.

– Istnieje wiele opinii w sprawie owoców, jakie powinno się jeść podczas kolacji. Najbardziej powszechny zestaw to oliwki, daktyle, winogrona, figi, granaty, jabłka, orzechy włoskie, tak zwany chleb świętojański, gruszki, wiśnie, nasiona słonecznika i fistaszki. W naszym domu obowiązywała wersja skromniejsza, ale zgodna z Księgą Powtórnego Prawa, zawierająca charakterystyczne produkty rolnicze Izraela, takie jak pszenica, jęczmień,

winogrona, figi, granaty, oliwki i miód. Pięć owoców i dwa zboża Izraela. Oczywiście winogrona czasami zastępowaliśmy rodzinzkami, a zboża pojawiały się na stole w formie na przykład ciasta.

– No dobrze, a możesz jeszcze wrócić do tych drzew? – Rolf spojrzał najpierw na Isię, a następnie popatrzył na Sabine, która chyba nie była zainteresowana dalszym ciągiem ich rozmowy, bo nagle odwróciła się i skierowała w stronę drzwi.

– Drzewa są silnie obecne w Torze, w judaizmie i w żydowskich legendach. W Gan Eden rosły drzewa, z których dwa były wyjątkowe: Drzewo Poznania Dobra i Zła oraz Drzewo Życia. Pamiętam legendę, którą opowiadała mi babcia o Noah, który już na sto dwadzieścia lat przed potopem zasadził drzewa, z których później zbudował Arkę. Według innych, Żydzi wędrowali po pustyni czterdzieści lat, aby dać urosnąć drzewom w Kanaan, ponieważ Bóg chciał, by weszli do krainy obfitości. Dla mnie ty, Rolfie, jesteś właśnie takim drzewem.

– Ja? – Rolf nie musiał udawać zaskoczenia, jakie wywołało ostatnie zdanie wypowiedziane przez Ilse.

– Biblia Hebrajska używa drzew jako symbolu tego, co dobre i szlachetne. Prawy człowiek jest porównywany do drzewa obfitego w owoce, a nagrodą dla sprawiedliwych jest rozwijać się jak palmy i być silnymi jak cedry Libanu. – Ilse położyła dłoń na ręce mężczyzny i uśmiechnęła się. – Taki jesteś. A jak ważna jest metafora drzewa, przekonuje najpewniej fakt, że sama Tora nazywana jest Drzewem Życia. A dokładniej, Drzewem Życia jest menora, a Tora instrukcją.

ROZDZIAŁ 16

Wiosna, rok 1948

Czas mijał, godziny zamieniały się w dni, a dni zamieniały się w miesiące. Wiosna tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku była deszczowa i chłodna, kiedy więc nastały cieplejsze dni, Ilse chętnie wychodziła na dwór i wystawiała twarz w stronę słońca. Któregoś razu, kiedy wieczorem odpoczywała na ławce przed domem po ciężkim dniu, Rolf przysiadł się do niej. Sabine miała jeden ze swoich gorszych dni, a pani Helga... zachowywała się, jakby nic jej nie obchodziło.

– Nie chcesz wrócić do Polski?

– Chciałabym, ale... jak mogę zostawić Sabine z *Frau Angerer*? – Ilse zamyśliła się. – Nie widzisz, co się z nią dzieje?

– Widzę, widzę, ale... – Rolf delikatnie ujął dłoń dziewczyny i odwrócił jej twarz w stronę swojej. – Nie możesz zapomnieć, że masz własne życie. Nie tęsknisz za Polską, za rodziną?

– Tęsknię, chociaż nie wiem, czy moja rodzina jeszcze żyje.

– Izabelo, jak chcesz, to pomogę ci stąd wyjechać.

Ilse spojrzała w duże ciemne oczy i uśmiechnęła się.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”? – Rolf starał się nie okazywać ogarniającego go smutku.

– Dlaczego chcesz mi pomóc? Przecież wiesz, że one beze mnie nie dadzą sobie rady.

– Izabelo, ja... Od tamtego dnia, kiedy cię zobaczyłem, poczułem do ciebie jakąś... jakieś dziwne uczucie. Nie chcę o tym mówić, bo nie wiem, co to jest. Może pokochałem cię, bo przypominasz mi moją młodszą siostrę, a może...

– Nie mów nic więcej. – Ilse przyłożyła do ust mężczyzny dłoń i pokręciła głową. – Nie wolno nam mówić o takich sprawach. Nie potrafię cię nienawidzić, chociaż tacy jak ty zrobili wiele złego takim jak ja.

– Dobrze to ujęłaś, tacy jak ja. Ale nie możesz winić wszystkich Niemców za to, co się stało. Nie możesz do końca życia winić mnie, ja... ja tylko wykonywałem rozkazy. Gdybym ich nie wykonał, sam zostałbym ofiarą. Czy nie możesz zrozumieć, że wielu Niemców stało się ofiarami tej wojny tak jak ludzie innych narodowości? Polacy, Żydzi, Francuzi... Wielu z nas jej nie chciało, ale zanim zrozumieliśmy, co tak naprawdę się dzieje, było już za późno. Czy ja cię kiedykolwiek skrzywdziłem?

Ilse pokręciła głową. Oparła policzek na ramieniu mężczyzny i zamyśliła się.

– Zawsze myślałam, że jestem silną i twardą dziewczyną. Życie mnie nie oszczędzało i bardzo szybko musiałam dorosnąć. Dzisiaj, chociaż mam dopiero osiemnaście lat, czasami wydaje mi się, że jestem staruszką.

Rolf delikatnie gładził jej plecy, nie potrafił powiedzieć niczego, co przyniosłoby jej ukojenie. Bardzo chciałby, aby została w Niemczech, aby została z nim. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ona nie zapomni o przeszłości. Będzie tęskniła za tym, co pozostawiła daleko w Polsce. Nie mógł przecież pozwolić na jej cierpienie. Nie teraz, kiedy odnalazł ją po tylu latach.

– Chciałbym ci pomóc, i pomogę. Wiem, że tutaj nie będziesz szczęśliwa. Przynajmniej do chwili, kiedy nie dowiesz się czegoś o swojej rodzinie. Jutro pojedę do miasteczka i podpytam, już nawet wiem, kogo mogę prosić o pomoc.

Ilse spojrzała na Rolfa i w jego oczach zauważyła dziwny błysk. Oprócz niego i rodziny Angerer nie znała nikogo, więc nie pozostało jej nic innego, jak mu zaufać.

– A co z Sabine i *Frau* Helgą?

– Nie martw się, zaopiekuję się nimi. Zresztą... – Rolf zamilkł na kilka sekund. – Mojej rodziny już nie ma, nie mam nikogo bliskiego, więc dlaczego nie miałbym stać się częścią rodziny Angerer?

Kilka tygodni później Ilse, jadąc dużą, brudną ciężarówką, zbliżała się w stronę polskiej granicy. Na pace oprócz kilku Polaków były dwie Czeszki i kilka kobiet o dość śniadych twarzach. Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Drogi w wielu miejscach były nieprzejezdne, popalone i zburzone mosty stanowiły kolejne przeszkody, ale w każdym z pasażerów tliła się jakaś nadzieja, która trudy podróży odsuwała na dalszy plan. Całym bagażem dziewczyny był węzełek z kilkoma ubraniami i pakunek ze skromnym jedzeniem, które Rolf wcisnął jej na pożegnanie. Widziała jego łzy, kiedy przytulał ją po raz ostatni przed wejściem do ciężarówki. W głowie cały czas słyszała głośny szloch Sabine, która błagała ją, aby nie wyjeżdżała. Przyrzekła jej

wówczas, że wróci, chociaż zdawała sobie sprawę z nikłej możliwości spełnienia tego przyrzeczenia. Nie wiedziała, co czeka na nią w jej ukochanej Polsce. Mijane po drodze zrujnowane miasta i popalone wsie, ludzie, w oczach których, mimo dramatu i koszmaru, jakie zafundowała im wojna, widziała iskierki nadziei, a w wykonywanych czynnościach zapął do odbudowy tego, co zabrała im wojna, i w nią tchnęły nadzieję. Wierzyła, że uda jej się odnaleźć brata. Wierzyła, że on żyje, podświadomie to czuła. A jednak... z każdym kolejnym dniem podróży coraz bardziej tęskniła za opuszczoną gdzieś u podnóża Alp przyjaciółką i za mężczyzną, który pozostawił w jej sercu odrobinę ciepła.

ROZDZIAŁ 17

Wiosna, rok 2016

Ilona długo nie mogła przestać myśleć o Fajdze Lippman. Nie mogła uwierzyć w to, że ludzie, mieszkańcy wioski i znajomi starej Żydówki, pozwalają na coś takiego. Wydawało jej się to tak bardzo niehumanitarne, jak niehumanitarne było pozwalanie na cierpienie ludzi w obozach w czasie wojny.

– Co tak siedzisz i marzniesz na tych schodkach? – Drzwi domu otworzyły się na tyle cicho, że Ilona nie usłyszała wychodzącej na ganek Haliny.

– Nie marznę, zobacz, porządnie się opatuliłam. – Ilona uniosła wzrok i poklepała miejsce na schodku, na którym położyła stary, gruby koc. – Postanowiłam trochę wygrzać stare kości. – Roześmiała się, przyjmując od starszej kobiety kubek z parującą kawą.

– Stare kości! – Halina uśmiechnęła się i poklepała Ilonę po ramieniu. – Stare kości to mam ja, chociaż wcale się tym nie chwalę. – Zalewska podsunęła sobie ogrodowe krzesło

i rozsiadła się na nim. – Wybacz, ale jak usiądę obok ciebie, to potem dźwigiem trzeba mnie będzie podnosić, bo moje stare kości buntują się w takich niskich temperaturach.

Ilona pokiwała głową ze zrozumieniem i podała Halinie drugi koc, aby okryła nim sobie nogi.

– Myślałam o tej kobiecie mieszkającej w lesie. Dlaczego na to pozwalacie?

– Nie pozwalamy, ale co mamy zrobić? Po śmierci rodziców i rodzeństwa Fajga zwariowała, chociaż w tym jej szaleństwie jest coś dziwnego. Gdyby tak się nad tym zastanowić, to mam wrażenie, że ona częściej zachowywała się bardziej racjonalnie niż my... zdrowi na umyśle.

– Co masz na myśli? – Ilonę zaciekawili słowa Wandy.

– No pomyśl. Czy chory człowiek potrafiłby tak skutecznie się ukryć w lesie, żeby przez lata nikt go nie znalazł? A jednocześnie potrafił nawiązywać kontakty z mieszkańcami wsi, będąc, oględnie mówiąc, niewidzialnym?

– Nadal chyba niezbyt rozumiem.

– Widzisz, w czasie wojny dzięki temu, że w naszym domu zakwaterowano niemieckiego oficera, wiele uchodziło nam płazem. Myślę, że Bruno Lehman podkochał się w naszej mamie, dlatego na wiele incydentów przymykał oczy. Wydaje mi się, że wiedział, co robimy. A przynajmniej domyślał się, więc kiedy zaczęliśmy pomagać ocalałym z holocaustu Żydom ukrywającym się w naszych lasach, on... chyba w jakiś specyficzny sposób też nam pomagał.

Ilona popatrzyła na swoją towarzyszkę z zaskoczeniem, ale wiedziała, że po raz kolejny udało jej się otworzyć szkatułkę wspomnień, tyle że tym razem nie była to szkatułka Isi, a Haliny.

ROZDZIAŁ 18

Jesień, rok 1943

Tego dnia ranek był wyjątkowo mglisty, a w powietrzu czuło się jakiś irracjonalny strach. W domu wciąż panował nastrój żałoby po śmierci małego Filipka, syna cioci Zosi, a we wsi coraz bardziej odczuwało się narastającą wśród ludności wrogość. Do tej pory kociewska wieś zamieszkiwana przez Polaków, Niemców i Żydów była cicha i spokojna, ale coraz więcej osób, które podpisały folkslisty, zaczynało zachowywać się dość nietypowo wobec swoich sąsiadów. Przed świtem na skraju wsi zaczęły się palić chałupy. Halina, która od kilku dni była poza domem, wpadła do mieszkania z płaczem.

– Wywożą Żydów ze wsi! – zawołała i z rozpaczą zaczęła miotać się po kuchni jak dziki zwierz w klatce. – Palą chałupy i wywożą. Zabili rodzinę Blumenfeldów, kiedy próbowali uciekać do lasu. Nawet małego Jakuba. – Halina rozszlochała się na dobre. Wanda podeszła do siostry i przytuliła się do jej pleców, poczuła, że i jej oczy zrobiły się wilgotne. Nie potrafiła zrozumieć ani tych ludzi, którzy

mordowali, ani tych, którzy donosili Niemcom. I chociaż w ich domu mieszkał niemiecki oficer, to żadna z sióstr nigdy nie odważyła się mu poskarżyć. Nawet wówczas, kiedy we wsi baby gadały, że ich matka, Danuta, jest jego nałożnicą. Wanda dokładnie nie wiedziała, co oznacza to słowo, ale była pewna, że nie było to miłe określenie.

Kilka dni wcześniej podsłuchiwała rozmowę Kazika od Warków z Zygmuntem Stolorzem, że już wkrótce w ich wsi zrobi się „czysto”. Wtedy nie wiedziała, co oznaczają te słowa. A kiedy Kazik ją zauważył i kazał przekazać siostrze, żeby zapomniała o swoim „kochasiu”, coś w Wandzie drgnęło. Chyba nie było we wsi człowieka, który nie wiedziałby, że Aaron Gutman, kilka lat starszy od Haliny syn aptekarza, nie przepuści żadnej okazji, żeby z jej siostrą chociaż nie zamienić słowa. Strzelał za nią oczami jeszcze zanim jej piersi urosły w dwa pagórki. A Halinka? Halina również była zadowolona, kiedy odprowadzał ją do domu. Zaraz na początku wojny Aaron zniknął, i nikt, nawet jego matka, nie wiedział, co się z nim stało, tylko Halinka dziwnie się uśmiechała, kiedy ktoś wspominał jego imię. Gdy chodziły po wsiach i sprzedawały mąkę czy inne rzeczy, Wanda niejednokrotnie widziała, jak jej siostra tęsknie spogląda w stronę lasu. Pewnego wieczoru poszła za nią, ciekawa, dokąd jej starsza siostrzyczka wymyka się po nastaniu zmroku, i gdy zauważyła, że Halina biegnie w stronę lasu, dźwigając przygotowany wcześniej tobołek, domyśliła się, że Aaron się gdzieś tam ukrywa. Jako harcerka nie bała się ani o siostrę, ani o siebie. Ich drużynowa, najstarsza córka Koraliaków, która wciągnęła je do konspiracji, często mówiła o ludziach z lasu, ale Wanda nikogo z nich nie знаła. A może znała, ale nie wiedziała, że się tam ukrywają.

Po tamtym dniu ludzie we wsi opowiadali, że jednych Żydów zapakowano na ciężarówki, a innych rozstrzelano na miejscu. Prawie wszystkie żydowskie chałupy poszły z dymem. Długo czuć było smród spalenizny unoszącej się

nad polami, a niektórzy mówili, że krzyk kobiet i dzieci prześladować ich będzie do końca życia. Tylko Kazik od Warków chodził po wsi z podniesioną głową i nie bał się pomstować na żydowskie nasienie. Odkąd jego rodzice podpisali folkslistę, czuł się kimś lepszym niż jego sąsiedzi. Kilka razy odważył się nawet przyjść do domu Zalewskich i przynieść Halince jakiś drobiazg, pewnie skradziony Żydom. Halina nie bała się go. I pewnie tylko obecność w ich domu niemieckiego oficera chroniła ją i całą rodzinę przed zemstą Kazika, który upatrywał sobie Halinę na kandydatkę na żonę. A kiedy był z dala od ich domu, nie omieszkiwał wyśmiewać jej i głupiego zauroczenia krzywonosym żydkiem.

W lasach ukrywało się wielu mieszkańców wsi, i to nie tylko pochodzenia żydowskiego. Prawie wszystkich mężczyzn zabrano do wojska, zanim jeszcze wojna na dobre się zaczęła. W ich wsi i okolicznych miejscowościach zostały tylko kobiety i mężczyźni starzy lub schorowani na tyle, że wojsko nie miałooby z nich żadnego pożytku. Wiele dziewcząt również na ochotnika przyłączało się do polskich żołnierzy, na szczęście siostry Zalewskie były jeszcze zbyt młode. Niestety wojna z każdym kolejnym miesiącem stawała się bardziej uciążliwa. I bolesna. Kiedy zabrano im zwierzęta, Danuta wpadła w rozpacz. Nie dość, że nie miała teraz mleka, szczególnie dla najmłodszego Antosia, to jeszcze pozbawiono ją jajek. Dobrze, że Niemcom nie udało się zabrać pola ani ogrodu, w którym rosły owocowe drzewa. Jak się ma płody rolne, to można przeżyć. Po tym, jak ojca wywieźli na roboty, mama zajęła jego miejsce w młynie. Pracowała ciężko, ale dzięki temu mogła całkiem tanio kupić mąkę, a czasami nawet młynarz ze składów magazynowych, w których przechowywano inne sypkie produkty dla niemieckiego wojska, przywoził ryż czy kaszę. Dobrze też, że nie skonfiskowano rowerów, bo dzięki nim dziewczynki mogły jeździć po wsiach i sprzedawać najpierw mąkę, a później chleb, który razem z mamą same piekły.

Ich niemiecki lokator nie mógł się nachwalić smaku tego chleba, a w całym domu często tak pachniało, jak za starych dobrych czasów. Bywało jednak, że czasami w mące było tyle otrębów, że aż zgrzytały w zębach. Nikt teraz nie patrzył na to, że otręby nadają się dla zwierząt, nie dla ludzi. W czasach głodu nieważne było, CO jest do jedzenia, tylko sam fakt, że w ogóle COŚ było. Danuta przynosiła do domu czasami spore ilości łożu wołowego, córki nigdy nie pytały, skąd to ma, wiele trzeba było wówczas przemilczać. Gotowały ten łój i robiły z niego mydła, które następnie sprzedawały po wsiach.

Po dniu, w którym Niemcy postanowili oczyścić wieś z żydowskich mieszkańców, Halina długo nie mogła dojść do siebie. Pewnego wieczoru przybiegł do ich domu najmłodszy syn Idziaków i dyskretnie przekazał najstarszej z rodzeństwa Zalewskich małą karteczkę, którą ta natychmiast po przeczytaniu podarła na małe strzępki i połknęła. Od tego dnia Halina znów była tą samą dziewczyną. Uśmiechała się częściej, a nawet czasami podśpiewywała. Nawet Bruno Lehmann zauważył zmianę. Mama śmiała się, że wojna wojną, a serce młodej dziewczyny goreje. Nikt się nie zastanawiał, do kogo to serce goreje, bo przecież nie do wstrętnego, obleśnego Kazika. Halina jednak była bardzo tajemnicza. Coraz częściej znikwała z domu, czasami nawet na kilka dni, co matkę doprowadzało do szału, bo zawsze martwiła się o nią. Wszyscy jednak wiedzieli, że dziewczyna nie robi niczego złego. Wieczorami słyhać było słowa modlitwy harcerskiej, którą Halina odmawiała z taką powagą, że nikt nie odważył się jej wówczas przerywać:

O Panie Boże, Ojczy nasz

W opiece swej nas miej,

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz

Nam pomoc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę

Miłując, chcemy żyć,

Harcerskim prawom w życia dniach

Wiernymi zawsze być.

Rodzinnie Lippmanów, jako jednej z nielicznych, udało się uciec do lasu, zanim we wsi pojawiły się niemieckie wozy. Ktoś musiał ich ostrzec, i to z pewnością nie był Kazik Warka ani żaden z jego kompanów. Ale podejrzewano, że zrobił to kuzyn Kazika – Karol, którego rodzice również musieli podpisać folkslistę, a który cudem uniknął zwerbowania do wojska z powodu kalectwa. Podobno podkochiwał się w Fajdze Lippmann i kiedy podsłuchiwał rozmowę Kazika z innym folksdojczem o tym, że Niemcy przymierzają się do oczyszczenia wsi z żydowskich szmat, pobiegł do domu Fajgi i ostrzegł jej rodzinę. Dom Lippmanów w jedną noc opustoszał, a kiedy Niemcy weszli do wsi, musieli wyważyć drzwi, bo były zamknięte na głucho. W domu jednak nikogo nie było. Ludzie, którzy zza firanek widzieli, co się dzieje, mówili potem, że Kazik Warka aż kipiał ze złości, kiedy zobaczył, że dom jest pusty. Był tak wściekły, że nawet uderzył jednego ze swoich kompanów tak mocno, że złamał mu nos. Nikt nie wiedział, co stało się z tą rodziną. Większa część mieszkańców w duchu liczyła na to, że udało im się uciec na tyle daleko, że Niemcy ich nie znajdą. Wszyscy lubili sklepikarza Lippmana i jego żonę. Nierzadko ludzie za towar w sklepiku płacili tym, co mieli, a często, jak nie mieli nic, to Inga Lippman dawała darmo, co Żydom się rzadko zdarzało. Ale oprócz tego, że Inga była Żydówką, była też przede wszystkim matką i nie mogła pozwolić na to, aby jakieś dziecko głodowało. Nawet jeżeli było to dziecko niemieckie. Po kilku miesiącach od żydowskiej masakry Karol znalazł w lesie chustkę, którą natychmiast przyniósł do domu Zalewskich, twierdząc, że to jest chustka Fajgi. Zaklinał się na wszystkie świętości, że widział ją u niej jeszcze przed wojną. Halina i Wanda

wciągnęły go do konspiracji, obiecując, że znajdą Fajgę i jej rodzinę i im pomogą. Ryzykowały wiele, bo przecież Karol był folksdojczem, ale wiedziały, że nie był taki jak jego kuzyn. On był ich, mimo niemieckich korzeni. W tajemnicy przed rodzicami Karol złożył przysięgę harcerską, a Związek Harcerstwa Polskiego zyskał wiernego harcerza. Dzięki niemieckiemu nazwisku Karol był nie lada nabytkiem dla ZHP, zaprzyjaźniony z Haliną i Wandą często razem z siostrami Zalewskimi szedł na akcję. Pomagał dziewczętom również rozwozić chleby i worki z mąką, co oczywiście rodziło jawny sprzeciw jego rodziny, a ze strony kuzyna wręcz nienawiść.

Ponieważ Karol skończył już piętnaście lat, dzięki protekcji Haliny trafił do „Drużyny Bojowych Szkół Szarych Szeregów”. Był dumny z tego, że może brać udział w małym sabotażu, będącym akcją propagandową skierowaną do ludności polskiej. Natomiast Halina i Wanda, chociaż również były dumnymi harcerkami „Szarych Szeregów”, to jednak ich rola była nieco inna. Ich zadaniem była praca w łączności, w szpitalach, w opiece społecznej, a niektóre z koleżanek, zwłaszcza te mieszkające w miastach, współprowadziły punkty opieki nad dziećmi i ewakuowanymi. Oczywiście Halina, jako starsza nie tylko wiekiem, ale i stopniem, była bardziej zaangażowana, szczególnie w działania konspiracyjne, dla Wandy pozostawały mniej ryzykowne zadania. Harcerstwo konspiracyjne podzielone zostało na dwa piony, czyli „Organizację Harcerzy” i „Organizację Harcerek”. „Organizacja Harcerzy” z dużymi oporami przyjęła w swoje szeregi Karola, ponieważ jego niemieckie pochodzenie budziło wiele wątpliwości. Chłopak był dumny, kiedy wreszcie otrzymał oficjalne potwierdzenie, że został członkiem organizacji, która przyjęła nazwę „Szare Szeregi”. Siostry Zalewskie działały natomiast w organizacji pod kryptonimem „Związek Koniczyn”, która od czterdziestego trzeciego roku znana była w szeregach młodzieży walczącej,

jako „Bądź Gotów”. Karol był wdzięczny Halinie, że zarekomendowała go wśród „swoich”. Chciał walczyć, chociaż wiek mu na to nie pozwalał. Gdyby jednak powołano go do wojska, to niestety musiałby stanąć po stronie niemieckiej, a tego z całą pewnością chciał uniknąć, ponieważ nie czuł się Niemcem. Wiedział, że przez cały okres swej działalności „Szare Szeregi” współpracowały z Delegaturą Rządu Rzeczypospolitej Polskiej oraz z Komendą Główną AK, zatem widział siebie walczącego tylko po stronie polskiej. Gorąco wierzył w to, że pomoże nie tylko takim rodzinom jak Lippmannowie, i z całych sił wierzył, że kiedyś Fajga Lippmann opuści las i...

Niestety rodzina Fajgi tak się zakamuflowała, że nikt we wsi nie potrafił odnaleźć ich miejsca ukrycia, ale... do czasu. Halina kiedyś przyjaźniła się z Fajgą, pamiętała, jak przed wojną sporo czasu spędzały w pewnym miejscu, tylko sobie znanym. Daleko w lesie. I właśnie to miejsce starsza siostra Zalewska postanowiła obrać sobie za punkt kontaktowy z Żydówką. Od czasu do czasu chodziła tam i zostawiała jakieś przedmioty, które miały Fajdze dać znać, że nadal ma wśród mieszkańców wsi przyjaciół. Niestety, przez dłuższy czas nic nie wskazywało na to, że Fajga chce się skontaktować z kimś ze swoich starych znajomych. Na jej nieszczęście, ktoś ze wsi odnalazł miejsce ukrycia jej rodziny wcześniej niż przyjaciele.

ROZDZIAŁ 19

Wiosna, rok 2016

Ilona wróciła z wyjazdu z Andrzejem cała w skowronkach. Czowała się przy nim coraz swobodniej i zaczynała mieć „motyle w brzuchu”, jak to zwyczajowo mówiło się o zakochanych. To uczucie spadło na nią jak grom z jasnego nieba, ale nie była z tego powodu zażenowana. Czy tylko młodzi mogą sobie pozwolić na miłość?

Jej życie w domu rodziny Zalewskich wróciło na te same tory, co przed urlopem. Ilona weszła do salonu po laptopa, z zamiarem zabrania go na zewnątrz, ponieważ pogoda wyraźnie zachęcała do pracy poza murami domu. Coraz bardziej przygrzewające słońce wręcz prosiło, aby korzystać z dobrodziejstw jego piękna.

Andrzej po przekroczeniu furtki został przywołany przez ojca, który grzebał coś przy swoim starym rowerze, i wiadomo było, że tak szybko się od niego nie uwolni. Coraz gorszy wzrok starszego mężczyzny i coraz mniejsza

sprawność w rękach powodowały czasami oplakane skutki jego zapału do napraw.

Ilona myślała, że wszyscy domownicy są na zewnątrz, ale kiedy tylko weszła do salonu, zobaczyła Isię. Kobieta była tak zamyślona, że nawet nie zauważyła jej przybycia. Z uśmiechem na ustach siedziała przy stole, trzymając w dłoniach fotografię, która zazwyczaj stała na kredensie. Jednak Ilona miała dziwne wrażenie, że myślom starszej pani towarzyszy jakieś mało radosne wspomnienie. Zamierzała wycofać się po cichu, ale Isia podniosła wzrok znad zdjęcia.

– Dzisiaj są urodziny Sabine. Mam nadzieję, że świętuje je z przyjaciółmi i rodziną, tak jak zawsze.

Ilona położyła laptopa na stole i usiadła obok Isi z nadzieją, że ta zaprosi ją do swoich wspomnień i opowie o wydarzeniach, które zaprzętają jej głowę.

– Jest rok młodsza ode mnie i aż dziw bierze, że tyle lat zмага się z chorobą i jednocześnie realizuje swoje pasje muzyczne. – Isia dotknęła palcem twarzy dziewczynki na zdjęciu i pogłaskała ją. – I pomyśleć, że od naszego powojennego rozstania minęło już ponad siedemdziesiąt lat. Mam nadzieję, że wciąż żyje. Wiesz... – popatrzyła na Ilonę z błyskiem w oczach – czasami mam wrażenie, że minął zaledwie rok, tak świeże bywają wspomnienia z tamtego okresu.

– Ale to zupełnie naturalne, Isiu. – Ilona położyła dłoń na rękę przyjaciółki. – I ja coraz częściej łapię się na tym, że nie pamiętam, co jadłam poprzedniego dnia na kolację, a pamiętam epizody z mojej młodości.

– Staruszka się odezwała – roześmiała się Isia. – Poczekaj, jak będziesz w moim wieku, wtedy dopiero będziesz się łapała na tym, że pamiętasz coś z tak detaliczną drobiazgowością, że sama będziesz tym faktem zszokowana.

– No tak, zapewne masz rację. – Ilona zamyśliła się. – Opowiesz mi, jak świętowałyście urodziny Sabine w czasie wojny?

– Oj, różnie to bywało, raz dom był pełen ludzi, a innym razem byliśmy tylko w czwórkę: ja, Sabine, *Frau Helga* i Kazia. Pamiętam pierwsze urodziny Sabine zaraz po wojnie, kiedy zamieszkałyśmy w małym domku w pobliżu granicy szwajcarskiej. Kazia upiekła coś, co miało imitować tort, śpiewałyśmy różne piosenki. Sabine grała z mamą na pianinie i wszystkie udawałyśmy, że dobrze się bawimy. Ale... do dobrej zabawy chyba było nam daleko. *Frau Helga* przeżywała, że Niemcy przegrały wojnę i nie wiadomo było, co dzieje się z jej synem i mężem. Sabine co chwilę spoglądała w okno z nadzieją, że zobaczy na podwórku ojca lub brata, którzy zrobią jej urodzinową niespodziankę. A ja i Kazia myślałyśmy o tym, że wreszcie będziemy mogły wrócić do Polski, do domu. Chociaż nie byłam pewna, czy mam dokąd wracać.

– Ale jak znam ciebie, to nie pokazałaś przed przyjaciółką, że jesteś w nostalgicznym humorze.

– O nie! – Isia roześmiała się. – Nie mogłam jej tego zrobić. Wiesz, mimo wszystko żał mi jej było, i to nie tylko z powodu jej choroby i tego, że nigdy nie będzie tak jak ja biegać po łące pełnej kwiatów. Było mi jej żał dlatego, że widziałam, jak bardzo tęskni za ojcem. Ja też bardzo tęskniłam, ale chyba nauczyłam się żyć z myślą, że mogę go już nigdy nie zobaczyć. A ona cały czas żyła nadzieją.

– Za bratem też tak tęskniła?

– Chyba nie. Dzielili ich dość duża różnica wieku i... – Isia zamyśliła się i wyraźnie posmutniała. – Wydaje mi się, że Norbert był jakby nie z tej rodziny.

– Co masz na myśli?

– Cała rodzina Angerer była taka... ciepła, cicha, spokojna, tylko Norbert był jakiś taki narwany, jak dziki

koń. Czasami miałam wrażenie, że podoba mu się ta wojna i to, że może walczyć w szeregach Wehrmachtu. Gdybyś widziała, z jaką dumą nosił swój mundur. Był przystojnym mężczyzną i nie przeczę, że wyglądał w mundurze dość atrakcyjnie, chociaż jego przyjaciel Rolf jeszcze lepiej prezentował się jako żołnierz. Ale co z tego, jak każdy z nich kojarzył mi się tylko ze strachem. Pamiętam pewne urodziny Sabine, na które przyjechali. Norbert i Rolf dostali przepustki za jakąś udaną akcję i postanowili zrobić Sabine niespodziankę. I chociaż moja przyjaciółka była w siódmym niebie, kiedy ich zobaczyła, to ja nie wspominam tego dnia zbyt przyjemnie.

– Dlaczego?

– Pomijając fakt, że kiedy byłyśmy w domu same, *Frau Helga* traktowała mnie jak drugą córkę, a jak przychodzili goście, to byłam po prostu służącą, to jakoś nigdy nie potrafiłam polubić brata Sabine. Było z nim coś nie tak i czasami miałam wrażenie, że robienie komuś krzywdy daje mu wielką satysfakcję. A kiedy trochę wypił, to już nawet *Frau Helga* starała się mu schodzić z drogi, bo zachowywał się... niezbyt miło. Był takim przeciwieństwem swojego przyjaciela Rolfa, że czasami myślałam o tym, że Rolf bardziej pasuje do Angererów niż Norbert.

ROZDZIAŁ 20

Wiosna, rok 1944

Ilse wróciła z kuchni, gdzie pomagała Kazi w ostatnich przygotowaniach do przyjęcia urodzinowego dla Sabine. Pani Angerer pięknie przyozdobiła salon kolorowymi balonikami i wstążeczkami, tak jakby to miały być urodziny dziecka. A przecież Sabine kończyła dzisiaj trzynaście lat. Ilse była od niej tylko o rok starsza, ale czuła się już prawie dorosła. Być może przyczyniły się do tego dość bolesne wydarzenia ostatnich pięciu lat, a może taka już była jej natura. Sabine nigdy nie musiała się martwić o młodsze rodzeństwo i o to, aby zastąpić im matkę, kiedy ta całymi dniami była z dala od domu. Ilse bardzo dokładnie pamiętała nieprzespane noce, w czasie których, musiała nosić na swych chudziutkich rękach małego braciszka płaczącego z głodu. Przytulał do niej swoje mokre od łez policzki i prosił: „Daj Lusiowi chlebka”. Tata był nie wiadomo gdzie, mama... pewnie u rodziny, próbowała wyprosić jakieś jedzenie, a ona... czuła się taka dorosła i taka malutka jednocześnie. Sabine tego nie знаła. Nie

znała zimnej, wilgotnej pościeli, którą ogrzewali własnymi ciałami, bo nie było opału. W domu panował taki chłód, że pozostawało im tylko ogrzewanie się poprzez przytulanie. Nie znała wieczorów, kiedy w brzuchu tak burczało z głodem, jakby ktoś uruchomił głośny silnik motoru. Nie znała poranków, gdy organizm za wszelką cenę starał się nie obudzić ze snu, za którym czekał kolejny smutny, przepełniony strachem i głodem dzień. Ilse była wdzięczna losowi za to, że jej przyjaciółka nie doświadczyła tego, co ona. I chociaż bardzo tęskniła za domem, za mamą, tatą, dziadkami i małym braciszkiem, którego wciąż miała nadzieję kiedyś zobaczyć, to cieszyła się, że tamtego jesiennego dnia pewien niemiecki oficer właśnie na nią zwrócił uwagę. Chodziła teraz w czystych, ładnych sukienkach, które przerabiała dla niej Kazia, a które pani Helga przynosiła od czasu do czasu nie wiadomo skąd. Nie chodziła spać głodna i nie budziła się głodna. Nikt nie traktował jej w tym domu jak służącej, i potrafiła to docenić. Przyjaźń z Sabine pozwalała na oddalenie w najgłębsze zakamarki pamięci tego, co zdarzyło się przed przyjazdem do Niemiec. Nie narzekała na nadmiar pracy, bo lubiła zarówno obowiązki w kuchni, jak i dotrzymywanie towarzystwa córce Angererów. Tylko nocami, kiedy tuliła zmęczoną głowę do poduszki, powracały wspomnienia i tęsknota. Płakała wtedy cichutko, wtulając twarz w pachnącą poduszkę, bezgłośnie wołając mamę, tatę, brata...

– Isiu! Izabelo! – Z rozmyślań wyrwał ją chrapliwy głos kucharki. – Gdzie to dziewczę znów polazło? – Kazia weszła do salonu, wycierając dłonie w fartuch i z grozą w oczach spojrzała na nią. – Szybko! Pani Helga powiedziała, żeby przebrać pościel w dwóch pokojach, bo przyjechali goście.

– Goście? Kto taki? – Ilse nie mogła opanować podniecenia. Lubiała, kiedy przychodzili goście, i chociaż zawsze wtedy musiała siedzieć w kuchni, to atmosfera w domu robiła się taka radosna. W wolnej chwili sadowiła

się na schodkach w holu i wsłuchiwała w rozmowy dorosłych, biesiadujących w salonie. Czasami pani Helga lub Sabine siadały przy fortepianie i grały tak pięknie, że Ilse zamykała oczy i wyobrażała sobie, że siedzi w wielkiej sali koncertowej. I chociaż z tych cudnych marzeń równie często wyrывała ją ścierka kucharki, która czasami dość boleśnie sygnalizowała swoją obecność, to każda taka chwila rozmarzenia była tego warta.

– Panicz Norbert przyjechał z jakimś kolegą. Ale sza! Sabine ich jeszcze nie widziała i to ma być dla niej niespodzianka. No już, zmykaj na górę, a ja zaraz do ciebie dołączę.

– Brat Sabine przyjechał? – Ilse czuła takie podekscytowanie, że z trudem mogła opanować emocje. – Czyli przygotowujemy dwa pokoje od strony zachodniej? – upewniła się i nie czekając na potwierdzenie ze strony kucharki, zaczęła wbiegać po schodach.

Sabine była w swoim pokoju na parterze, gdzie w towarzystwie kuzynki i córki sąsiadów przygotowywała się do wieczornego przyjęcia. Specjalnie na tę okazję pani Helga kazała uszyć jej piękną sukienkę w kolorze błękitu. W niebieskim było jej córce najładniej, ponieważ kolor ten podkreślał piękno jej oczu.

Ilse szybko uporała się z pościelą w jednym z pokoi. Dla pewności przetała jeszcze dłonią po kilku meblach, aby sprawdzić, czy nie ma na nich kurzu, poprawiła zasłony w oknie i przeszła do drugiego pomieszczenia. W ferworze pracy nie zauważyła, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Przodem do okna stał wysoki mężczyzna w niemieckim mundurze i z nostalgią spoglądał na dumnie wzbijające się w niebo szczyty gór. Ilse krzątała się, podśpiewując jakąś piosenkę i zwinnie zdejmując poszwy.

– Dzień dobry. Ty pewnie jesteś Isabelle? – Mężczyzna uśmiechnął się, ale jego ostry niemiecki akcent nie brzmiał łagodnie.

Ilse podskoczyła na dźwięk głosu, ale nie porzuciła swojego zajęcia. Udając obojętność, zerknęła w stronę młodego żołnierza i nie zmieniając wyrazu twarzy, odpowiedziała:

– Nie Isabele, ale Izabela, albo Isia, jak pan woli. Miło mi pana poznać. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Już kończę. – Zapięła ostatni guzik poszwy, wygładziła dłońmi pierzynę i wybiegła z pokoju. Prawie biegiem przedostała się do kuchni i stanęła jak wryta. Jej oddech był tak szybki i świszczący, że kucharka zaczęła spoglądać na nią podejrzliwie.

– Co znowu przeskrobałaś?

– Ja? Nic. Tylko przebierałam pościel w jednym z pokoi i nie zauważyłam, że tam był syn pani Helgi, i... trochę się przestraszyłam.

– Norbert? To niemożliwe. – Kucharka spojrzała w stronę okna. – Chwilę temu widziałam, jak wymyka się z domu z kuzynką pani Helgi.

– No ale... – Ilse popatrzyła na Kazię z konsternacją. – A ten tam w pokoju?

– To pewnie ten jego przyjaciel, który z nim przyjechał. Podobno znają się od dziecka.

– No tak, może być.

– No, koniec pogaduszek. Wracamy do roboty. – Kucharka szybko przeszła w stronę spiżarni i wyciągnęła z niej blachę z ciastem. – Potrafisz kroić w romby?

– W co? – Ilse spojrzała na Kazię.

– Takie trochę krzywe kwadraciki. – Kucharka wzięła nóż i zaczęła kroić ciasto na równe kawałki. – Tak pokroisz to, a potem keksa na plastry, ale takie trochę grubsze.

– Dobrze. – Ilse ochoczo zabrała się do krojenia i układania ciast na paterach. Każdy źle odkrojony kawałek

i każdy okruch natychmiast lądowały w jej ustach, żeby Kazia nie zauważyła fuszerki.

Kucharka tymczasem zabrała się za przystawki. Kiedy półmiski były pełne smakołyków, zaniósły je do salonu i z westchnieniem ulgi, że zdążyły ze wszystkim na czas, wróciły do kuchni. Ilse czuła się szczęśliwa. Nie potrafiła wytłumaczyć, co spowodowało w niej taką euforię. Może fakt, że nie mogła się już doczekać chwili, kiedy wręczy przyjaciółce prezent urodzinowy, który sama przygotowała. Nie było to coś specjalnego ani drogiego, bo przecież nie miała żadnych pieniędzy, ale było za to bardzo osobiste. Ze znalezionych na strychu starych gałganków uszyła Sabine lalkę. Niby nic, zwykła szmacianka, ale Ilse miała nadzieję, że lalka się dziewczynce spodoba. Włożyła w przygotowanie jej dużo serca. Chciała, aby była czymś, co nie pozwoli Sabine Angerer zapomnieć o żydowskiej przyjaciółce i sprawi, że będzie wspominać ją, kiedy już wojna się skończy, a Ilse wróci do domu. Bo w to, że wróci kiedyś do Polski, wierzyła bardzo mocno, chociaż nie była świadoma tego, ile z tej jej Polski jeszcze zostało.

Przyjęcie urodzinowe Sabine było gwarne i radosne. Z salonu dobiegały na zmianę salwy śmiechu i rozmowy gości. Ilse siedziała na schodach i z rozmarzeniem wpatrywała się w otwarte drzwi do salonu. Wchodziła tam tylko na wyraźne polecenia pani Helgi, aby coś donieść albo zabrać. Czuła wtedy na sobie wzrok gości, który czasami ją krępował. Ale uśmiech solenizantki nie pozwalał na to, żeby czuła się gorsza. Wieczorny chłód studził kotłujące się w głowie myśli. Starła się nie porównywać tych obrazów do tamtych, jakie pozostały w jej pamięci, zanim tu trafiła. Wychodziła przed dom i spoglądała na niebo, na którym świeciły gwiazdy takie same jak w Polsce. Przecież to jest to samo niebo.

– Jak na wiosnę mamy bardzo ładną pogodę, prawda?

Zanim dotarł do niej męski głos, poczuła zapach papierosowego dymu. Odwróciła się w stronę rozmówcy i zaniemówiła. Na ławce przed domem siedziała młodsza kopia Olafa Angerera. Tylko ironiczny uśmiech był czymś, co go odróżniało od tego dobrego niemieckiego oficera. Stała chwilę i przyglądała się młodemu mężczyźnie, nie potrafiąc wydobyć z siebie słowa. Tacy jak on kojarzyli jej się z bezwzględnością i brutalnością. To właśnie tych młodych Niemców, bijących gdzie popadnie i kogo popadnie, zapamiętała najbardziej z transportu. Niby ładni, przystojni, ale mieli w sobie coś, co emanowało nienawiścią.

– Co tak stoisz, Izabelo? Siadaj tu obok mnie, pogadamy.

– Nie rozumiem, co pan mówi. – Ilse odpowiedziała łamaną niemczyzną, udając, że nie jest obyta z językiem.

– Nie kłam! – Młody Angerer roześmiał się. – Moja mała siostrzyczka powiedziała, że doskonale rozumiesz nasz język i nawet świetnie się już nim posługujesz. – Mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek. Gwałtownym ruchem pociągnął dziewczynkę w swoją stronę i pchnął na ławkę obok siebie. – Ładniutka jesteś. – Złapał dwoma palcami jej podbródek i znowu się roześmiał.

Ilse poczuła woń alkoholu, a w oczach młodego Angerera zauważyła dziwny błysk, który mocno ją wystraszył.

– Muszę wracać do kuchni. – Starła się wyrwać dłoń z jego ręki, ale ucisk był zbyt mocny.

– Siadaj!

Ilse poczuła, jak po jej plecach zaczęły spływać zimne krople potu. Irracjonalny lęk narastał jak kula śniegu staczana ze wzgórza. Norbert przysunął sobie do ust papierosa, a następnie dmuchnął kłębem dymu wprost w twarz dziewczynki. Ilse gwałtownie odwróciła głowę. Łzy zaczęły napływać do jej oczu, a dreszcze wstrząsać całym ciałem. W pewnej chwili na udzie pod sukienką poczuła mocny uścisk. Ręka zaczęła wolno przemieszczać się

w górę, aż trafiła w najbardziej intymne miejsce. Mocny chwyt spowodował ból. Chciała krzyknąć, ale w tym samym momencie druga dłoń Norberta Angerera zacisnęła się na jej ustach. Mężczyzna szarpnął nią i usiadł na niej okrakiem.

– Co ty sobie myślisz, mała kurewko? Dla takich jak ty nie ma miejsca na tej ziemi. Z takich jak ty możemy zrobić najwyżej mydło. – Z jego ust zionął ostry zapach alkoholu zmieszany z dymem papierosowym. Ilse odważnie spojrzała w przekrwione oczy i jeszcze raz spróbowała wyrwać się z uścisku mężczyzny. Jej starania jednak były daremne, silne ręce Norberta były jak imadło. – Co? Będiesz grzeczna, ty mała żydowska kurewko? – Kiwnęła głową z nadzieją, że jeśli będzie robiła, co każe, to ucisk nieco się zwolni. – Norbert zaczął zsuwać z jej nóg pończochy, bo dotyk materiału go nie satysfakcjonował.

Boże, gdzie są wszyscy? Dlaczego nikt nie wychodzi zapalić papierosa? Dlaczego nikt nie wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza? Dlaczego Kazia nie idzie wyrzucić odpadków? – Ilse myślała gorączkowo, próbując myślami ściągnąć na zewnątrz kogokolwiek. Przez zaciśniętą na ustach dłoń zaczęło brakować jej powietrza. Czując jakiś ruch w okolicach krocza, podświadomie wyczuła, że Norbert rozpina rozporek. W pewnej chwili poczuła między nogami jego twardą, gorącą męskość. – Jeszcze chwilka i będziesz najszcześniejszą Żydówką na świecie – dyszał ciężko, jednocześnie próbując dostać się za materiał jej majtek. Zamknęła oczy i zaczęła płakać. Już nie tylko same łzy spływały po jej policzkach, ale całym ciałem wstrząsał szloch. Wiedziała, że nie poradzi sobie z mężczyzną. Szarpała się jak ryba w sieci, ale jej wysiłki na nic się zdały. – Bądź wdzięczna, że zamiast do pieca trafiłaś tutaj, przynajmniej zaznasz przed śmiercią odrobiny przyjemności, nie skończysz tak jak twoja matka, babka, sąsiadka. – Oddech Norberta stawał się coraz szybszy, a ucisk na ustach dziewczyny coraz bardziej bolesny. Była

prawie pewna, że mężczyzna nie może sobie poradzić, bo cały czas szarpał jej pończochy i majtki, ale nic innego nie zdążył zrobić. Nagle poczuła jakieś szarpnięcie; mężczyzna gwałtownie ją puścił. Bała się otworzyć oczy, ale słyszała jakieś dziwne odgłosy. Z ulgą zaczerpnęła duży haust powietrza. Kiedy mogła już swobodnie oddychać, spojrzała w stronę dochodzących dźwięków i zobaczyła na ziemi jakieś kotłowanie. Domyśliła się, że Norbert się z kimś bije. Krzyki mężczyzn przyciągnęły panią Helgę i kilku innych gości. Ilse szybko poprawiła sukienkę i niezauważona przez innych, tylnym wejściem wśliznęła się do kuchni.

– No nareszcie. Gdzieś ty się, dziewucho, znowu podziewała? Boże jedyny, co się stało?! – Kazia podbiegła do niej z wystraszoną miną. Ilse wtuliła się w ciepłe ciało kobiety i rozszlochała jak małe dziecko. – Kto ci to zrobił, dziecinko? – Kucharka delikatnie zaczęła gładzić włosy dziewczynki. – Czy to panicz? Czy to ten jego kolega? Wszystko już dobrze. Ciii, już dobrze. Idź do swojego pokoiku i się trochę ogarnij. Jak przyjdzie *Frau Helga*, to powiem, że cię brzuch rozbolał. – Kazia szybko pchnęła dziewczynę w stronę drzwi do małej kanciapy i wróciła na swoje kuchenne stanowisko. Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich mama Sabine. – Kaziu, przygotuj, proszę, kilka czystych szmatek i miskę z zimną wodą. – Tak jak się nagle pojawiła, tak nagle zniknęła.

Następnego dnia wszyscy zachowywali się, jakby nic się nie stało. Młodzi mężczyźni mieli wprawdzie trochę siniaków na twarzach, a jeden z nich nawet rozciętą nieco wargę, ale w okolicznościach wojennych to widok codzienny. Ilse przez przypadek usłyszała rozmowę pani Helgi z kucharką, aby ta trzymała dziewczynkę przez jakiś czas bliżej siebie. Sabine była zszokowana postawą brata i jego przyjaciela, nie mogła zrozumieć, że popsuli jej przyjęcie urodzinowe. Nikt oprócz Isi, Norberta i Rolfa nie wiedział, o co tak naprawdę poszło, i chociaż Ilse czuła ogromną wdzięczność do młodego

Niemca, że uratował ją przed pijanym Norbertem, nie miała odwagi okazać mu tego wprost.

Po obiedzie Sabine poprosiła ją, aby towarzyszyła jej w czasie spaceru. Ilse nie czuła się najlepiej, ale nie mogła odmówić przyjaciółce. Pojechały nad jezioro. Wiosenne słońce już wyraźnie przypominało o sobie, chociaż od strony jeziora i gór wciąż czuć jeszcze było chłodne powiewy. Spacerowały, podziwiając rodzącą się po zimie przyrodę, ale obie były bardzo milczące. W pewnej chwili Sabine odwróciła się do przyjaciółki i westchnęła.

– Ty wiesz, o co im wczoraj poszło, prawda?

– A niby skąd mam to wiedzieć? – Ilse poczuła wypływający na jej twarz rumieniec.

– Pobili się o ciebie. – Sabine odwróciła wzrok i zaczęła się przyglądać unoszącej się nad szczytami górskimi mgłę. – Słyszałam, jak dzisiaj rano się kłócili. Mój brat jest bardzo zły na ciebie i na Rolfa, powiesz mi dlaczego?

Ilse wzruszyła ramionami i ustawiła wózek z przyjaciółką na wprost siebie. Usiadła na dużym kamieniu i ze łzami w oczach opowiedziała Sabine o całym zajściu. Nie płakała. Ale czuła w sobie taki żal, ból i wstyd, że z trudem opanowywała łzy.

– Twój brat powiedział wczoraj do mnie coś, co nie daje mi spokoju.

– Co?

– Nie zrozumiałam jego słów, ale czuję, że znaczyły coś bardzo złego.

– Powiedz mi, może spróbuję się dowiedzieć. – Sabine położyła dłoń na ręce przyjaciółki i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Mówił... – Ilse wzięła głęboki oddech. – Że z takich jak ja robią mydło i żebym była wdzięczna za to, że tu jestem, a nie trafiłam do pieca, jak moja mama... – Emocje wzięły górę i Ilse nie próbowała już nawet panować nad dławiącym ją płaczem. – Sabine, co on miał na myśli? Jakie mydło? Jakie piece?

Dziewczynka położyła głowę na kolanach przyjaciółki i teraz szlochały już obie.

– Nie wiem, Izabelo, ale boję się. Dorośli mówią o tej wojnie straszne rzeczy, czasami nie zdają sobie sprawy z tego, że ich słyszę. A ja nic z tego nie rozumiem. Chciałabym, żeby papa wrócił i już nigdy nie wyjeżdżał. Chciałabym, żeby Norbert był znów taki jak dawniej, bo ta wojna go strasznie zmieniła. Chciałabym...

– O, tu jesteście, gołąbeczki!

Obie dziewczynki drgnęły na dźwięk zbliżającego się głosu. Sabine uniosła głowę i mocno uścisnęła dłoń Isi. W ich stronę zbliżali się Norbert i Rolf. Szli pewnym krokiem, jakby spotkanie z dziewczynkami było spełnieniem ich marzenia.

– Przyszliśmy się pożegnać, za godzinę ruszamy. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś zobaczymy. – Norbert spojrzał niepewnie na Ilse, która ostentacyjnie odwróciła od niego głowę.

– Ja również mam taką nadzieję. – Rolf pochylił się nad Sabine i cmoknął ją w policzek. – Wiesz, że jesteś dla mnie jak młodsza siostra – szepnął do jej ucha tak, aby pozostali również usłyszeli jego słowa. – Czy mogę na kilka minut porwać twoją przyjaciółkę na mały spacer?

Ilse poczuła narastający strach. Spojrzała na Sabine, ale widząc w jej oczach przyzwolenie i łagodny, uspokajający blask, poczuła się nieco pewniej. Rolf podał Ilse dłoń i pomógł jej wstać.

– No, no, tylko nie zapomnij, że to też mogłaby być twoja mała siostrzyczka. – Norbert nie krył ironii, a jego słowa zdały się ranić Isię tak samo jak dotyk.

– Nie martw się o mnie, zaopiekuj się lepiej Sabine.

Odeszli kilka kroków od rodzeństwa Angerer. Ilse podświadomie czuła, że ze strony Rolfa nie grozi jej nic złego, ale mimo to starała się być czujna i nie tracić z oczu Sabine.

– Chciałbym cię przeprosić za Norberta. – Rolf przerwał trwającą kilkadziesiąt sekund ciszę. – Nie chcę go usprawiedliwiać, bo jest na tyle dorosły, że powinien sam odpowiadać za swoje czyny, ale chcę, abyś go zrozumiała. Alkohol, brutalność codziennego dnia, widok śmierci towarzyszący nam na każdym kroku...

– Rozumiem! Nie musisz mi tego tłumaczyć. Widziałam więcej, niż bym chciała. – Ilse gwałtownie przerwała idącemu obok niej mężczyźnie.

– Izabelo. – Rolf złapał ją za rękę. – Mam dopiero dwadzieścia lat, a widziałem już w życiu chyba wszystko. Tam, gdzie jesteśmy, to jest piekło, ale my nie mamy żadnego pomysłu na to, jak temu zapobiec. Na naszych oczach umierają ludzie, nie pamiętam już, kiedy spałem spokojnie, nie słysząc krzyków, płaczu, modlitw. To jest upodlenie człowieka do granic możliwości.

– Po co mi to mówisz? Po co mówisz to małej żydowskiej kurewce, która powinna całować was w pięty za to, że dostała się do takiego rajy zamiast do waszego piekła?

– Izabelo, nie mów tak. Nie jesteś żadną żydowską kurewką. Nie dla mnie.

Dziewczyna spojrzała na młodego Niemca i uśmiechnęła się ironicznie.

– Myślisz, że nie wiem, co robicie z takimi jak ja? Dość się napatrzyłam w Polsce. Mam niecałe czternaście lat, ale

widziałam więcej, niż ci się wydaje. Widziałeś, jak ktoś na twoich oczach zabija twojego małego braciszka albo siostrzyczkę? Ja widziałam. Widziałeś, jak twoją sąsiadkę wywlekają za włosy na podwórko, nie patrząc na to, że ciągnąc ją po schodach, ranią jej ciało? Ja widziałam. Widziałeś, jak twoja mama płacze po nocach, bo nie ma czym nakarmić dzieci? Ja widziałam. Widziałeś, jak pejcz uderza żebrzące na ulicy żydowskie dziecko, które tylko prosi o kawałek chleba? Ja widziałam. Widziałeś...

– Dość, Izabelo. Widziałem równie bolesne sceny jak ty, ale...

– Co ale? Co ALE!?! – Ilse przykucnęła i rozplakała się.

– Obiecuję ci, że wrócę. Obiecuję ci, że zabiorę cię do twojej Polski. – Rolf schylił się nad dziewczyną i delikatnie pogłaskał ją po głowie. – Jak tylko skończy się wojna – szepnął i pocałował jej policzek. Odszedł szybkim krokiem, pozostawiając Polkę sam na sam z rozpaczą, żalem i bólem.

Sabine i jej brat obserwowali ich w milczeniu. Norbert nie wiedział, co jego przyjaciel chciał powiedzieć tej małej, ale zauważył, że już pierwszego dnia, kiedy zjawili się w domu rodziców, dziewczyna wpadła Rolfowi w oko. Kiedy go o to zapytał, ten tylko wzruszył ramionami i powiedział: przecież to jeszcze dziecko, tak jak twoja Sabine.

Po wyjeździe Norberta i Rolfa Ilse czuła, że coś się zmieniło. Pani Helga zaczęła ją traktować jeszcze bardziej po matczynemu, a Kazia nie spuszczała z niej oczu, kiedy razem gdzieś wychodziły. Ilse czuła przyjemne ciepło na myśl o Rolfie, chociaż ich ostatnia rozmowa nie należała do przyjemnych. Natomiast kiedy tylko przypominała sobie Norberta, dostawała gęsiej skórki.

ROZDZIAŁ 21

Lato, rok 2016

Andrzej wszedł na teren posesji ciotek z bardzo tajemniczą miną. Po spędzonym wspólnie z Iloną urlopie już wszyscy wiedzieli, że z tych dwojga będzie dobra para. „Mają się ku sobie jak nic” – mawiała Halina.

Ciepły lipcowy wieczór wszyscy spędzali na terenie ogrodu, w którym ciszy, spokoju i zapachu kwiatów nic nie było w stanie zastąpić. Halina, skupiona na lekturze książki Magdaleny Kordel, nie zauważyła nawet wejścia bratanka. Isia, zajęta obieraniem jabłek na szarlotkę, którą miała zamiar upiec wieczorem, tylko zerknęła w stronę młodego mężczyzny i skinęła mu głową z uroczym uśmiechem. Starsi panowie, jak zwykle zajęci szachami, unieśli tylko dłonie na znak, że zauważyli gościa, jedynie Ilona, jak nastolatka, podbiegła do niego i z czułością cmoknęła go w policzek. Andrzej z konspiracyjną miną pokazał jej coś, co ledwo wysunął z kieszeni marynarki, i objęci weszli do domu.

– Pokaż, szybko, zanim ktoś się zorientuje, że zniknęliśmy z ogrodu. – Ilona była podekscytowana jak mała dziewczynka na widok nowej zabawki.

– Spokojnie. – Andrzej pstryknął ją palcem w nos i roześmiał się.

– Ale co pisze? No proszę, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności? Żyje?

– Żyje, żyje. – Andrzej roześmiał się i wręczył Ilonie kopertę zaadresowaną na jego nazwisko i gdański adres. –

Czytaj, bo ja, przyznam szczerze, niewiele z tego zrozumiałem. – Mężczyzna zrobił zawiedzioną minę. –

Nauka języków obcych nigdy nie była moją mocną stroną, a tu dochodzi jeszcze to pismo... takie trochę mało czytelne.

– Ojej, nie wydziwiaj. Ty już teraz masz nieczytelne pismo, nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jak będziesz pisał w wieku ponad osiemdziesięciu lat. – Ilona roześmiała się i powoli zaczęła otwierać kopertę.

List został napisany w języku niemieckim. Na kopercie był wyraźny stempel, informujący, że korespondencja została nadana w Szwajcarii. Piękne, chociaż nieco chaotycznie stawiane litery świadczyły o tym, że został napisany ręką starszej osoby. Ilona z wypiekami na policzkach zaczęła czytać:

Panie Andrzeju.

Cieszę się, że mogę do Pana napisać i poznać Pana, chociaż tak naprawdę to ja Pana znam już od dawna z listów Isi. Dziękuję, że zainteresował się Pan moją osobą, i dziękuję, że chce Pan poznać mnie osobiście. Oczywiście, że pamiętam Isię, chociaż od ładnych kilku lat nie mam z nią żadnego kontaktu. Niestety, podczas mojej ostatniej przeprowadzki zaginęło gdzieś pudło z moimi... osobistymi notatkami, wśród których był również notes z adresami. Niestety, moja pamięć nie jest

już tak doskonała, żebym pamiętała wszystko, co dla mnie ważne, i chociaż Isia cały czas jest dla mnie ważna, to nie byłam w stanie zapamiętać adresu jej zamieszkania. Mój znajomy próbował znaleźć kontakt z Isią przez internet, bo powiedział, że tam można wszystkich odnaleźć, ale niestety Isi w internecie nie ma. Pan miał więcej szczęścia ode mnie, bo Pan mnie odnalazł, chociaż, jak Pan sam napisał, nie było to łatwe, ale moje nazwisko jest dość znane w Niemczech i w Szwajcarii. Cieszę się, że są jeszcze ludzie, których obchodzi mój los. Wielu młodych muzyków pisze do mnie w różnych sprawach, najczęściej jednak są to po prostu wyrazy szacunku i pozdrowienia, ale Pana list nie tyle bardzo mnie zaskoczył, co bardzo, bardzo ucieszył.

Jeszcze raz bardzo Panu dziękuję.

Od kilku lat mieszkam w domu seniora w małej miejscowości niedaleko Zurichu. Po śmierci mojego męża, Rolfa, bardzo się załamalam i nie potrafiłam sobie w wielu sytuacjach poradzić. Niestety moja niepełnosprawność wymaga już całodobowej opieki, a tu jest mi dobrze. Mamy nawet pianino w świetlicy, na którym grywam jeszcze czasami. Moje palce nie są już tak sprawne jak kiedyś, ale muzyka pozwala mi na powroty do przeszłości. Przypomina mi moich rodziców, zwłaszcza mamę, no i lata spędzone w towarzystwie Isi. Pamiętam, jak cierpliwie słuchała moich „koncertów”, kiedy miałam zły nastrój i potrafiłam godzinami siedzieć przy klawiaturze. Kiedy tylko nasza polska kucharka Kazia dawała Isi wolne, ona zaraz przybiegała do mnie. Bywały dni, kiedy nie miałam ochoty na towarzystwo i wtedy... siadałam przy fortepianie lub pianinie i grałam, a ona siadała obok i słuchała.

Ech, sentymenty. Ale wracajmy do Pańskiego listu. Cieszę się, że chciałby Pan, abyśmy się jeszcze z Isią spotkały, chociaż nie wiem, czy jest to możliwe, ponieważ ja już nie ruszam się z mojego domu nawet do lekarza,

którego mamy tutaj na miejscu. Nie jeżdżę na wycieczki tak jak część pensjonariuszy i szczerze mówiąc, stałam się na stare lata takim trochę odludkiem. Wiem, że z Polski do Szwajcarii jest daleka droga, zwłaszcza dla starszej osoby, ale jeżeli uważa Pan, że Isia dałaby radę tę drogę pokonać, to serdecznie zapraszam. Niedaleko naszego domu seniora jest mały pensjonat, więc nie byłoby problemu z załatwieniem noclegu. Myślę, że jedna z pielęgniarek by mi w tym pomogła, bo ten pensjonat prowadzi jej wujostwo. Zatem... Czekam na Pańską decyzję i jeszcze raz dziękuję, że Pan mnie odnalazł i chce Pan doprowadzić do naszego spotkania.

Serdecznie pozdrawiam Pana i Isię, i całą Państwa rodzinę; niektórych członków miałam okazję dawno temu poznać osobiście.

Z wyrazami szacunku

Sabine Nitsche

Ilona popatrzyła na Andrzeja z błyskiem w oku, jakiego dawno nie widział u żadnej kobiety.

– Udało się! Andrzej! Udało się nam! – Przytuliła Andrzeja mocno i złożyła na jego ustach długi, namiętny pocałunek.

– Hm, hm. Nie chcę przeszkadzać, ale co wam się udało, że tak się cieszysz, Ilonko? – Halina stała w drzwiach domu z miną tak rozbawioną, że Ilona z Andrzejem nieco się speszyli. – Tylko nie mów, że jesteś w ciąży, kochana, chociaż... chyba bym się z tego cieszyła, bo dziecko w domu to zawsze radość. – Halina zerknęła na stojącą przed nią kobietę i z zaciekawieniem czekała na odpowiedź.

– Nie. Nie jestem w ciąży, Halinko. – Ilona wybuchła śmiechem. – Ale... – Kobieta spojrzała pytająco na Andrzeja, a widząc jego zadowoloną minę, podała starszej pani list.

– Co to za list? – Halina popatrzyła na kartkę i oddała ją z powrotem. – I tak nic nie przeczytam bez okularów.

Andrzej złapał ciotkę pod rękę i powoli zaczął kierować się z nią w stronę salonu.

– Będziemy potrzebowali cioci pomocy – szepnął konspiracyjnie. – Bo widzisz, wpadliśmy z Iloną na pomysł, że chcielibyśmy...

Andrzej opowiedział Halinie, jak podczas urlopu wymyślili, żeby odnaleźć Sabine i doprowadzić do spotkania przyjaciółek. Wiedzieli od samej Isi, że od kilku lat nie mają ze sobą kontaktu, co Isia tłumaczyła tym, że najprawdopodobniej jej przyjaciółka zmarła i nie było komu ją o tym zawiadomić. Kilka wysłanych na szwajcarski adres listów wróciło do Isi. W takiej sytuacji wyjaśnienie mogło być tylko jedno. Andrzej z Iloną zaczęli przeszukiwać internet w nadziei na jakąkolwiek informację na temat znanej niegdyś pianistki, ale nie znaleźli niczego na temat jej śmierci, a to już była dla nich dobra wiadomość. Przez przypadek natknęli się na krótką notkę o pianistce, która po śmierci męża, za namową znajomych i swojego lekarza, zamieszkała w jednym z ekskluzywnych domów pomocy seniorom w Szwajcarii. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego Ilona obdzwoniła prawie wszystkie szwajcarskie domy seniora, często otrzymując odpowiedź, że niestety, ale nie mogą jej udzielić informacji o personaliach przebywających u nich osób. Dopiero Andrzej, wykorzystując swoją dość dobrą znajomość z jednym z profesorów neurochirurgii, zamieszkałym od kilku lat na terenie Szwajcarii, poprosił o pomoc i... udało się namierzyć *Frau Sabine Nietzsche* w jednym z małych, aczkolwiek dość dobrym domu. Dzięki swoim szwajcarskim znajomościom w kręgach medycznych znajomy Andrzeja uzyskał adres. Ku radości kolegi z Gdańska, kibicując mu w całym tym przedsięwzięciu z całego serca, przekazał Andrzejowi ów adres z życzeniami powodzenia. Ilona, nie namyślając się

ani chwili dłużej, napisała w imieniu Andrzeja piękny list do Sabine.

Halina słuchała entuzjastycznej opowieści młodych ludzi z wypiekami na twarzy, a kiedy Ilona przetłumaczyła jej list od Sabine, nie mogła już zapanować nad wzruszeniem. Teraz pozostało jedynie przekonać Isię do tego, aby wyrobiła sobie paszport i... chociaż Szwajcaria należy do strefy Schengen, i wystarczy dowód osobisty, to od przybytku głowa nie boli.

ROZDZIAŁ 22

Jesień, rok 2016

Isia wyszła przed dom i jeszcze raz ogarnęła wzrokiem ogród, który mimo kończącego się lata wciąż prezentował się pięknie i kolorowo. W ogromnych donicach na trawniku i na parapetach okien uśmiechały się bajecznie kolorowe pelargonie. Pnące róże oplatały bogatymi w kwiaty gałązkami płot i pergole, a między zielonymi listkami oko cieszyły wciąż jeszcze piękne dalie. Pod domem Antoni ustawił dużą skrzynkę wrzosów, które miały posadzić razem z Haliną jeszcze poprzedniego dnia, ale tak jakoś im zeszło, że żadna z nich nie wzięła się do tej roboty. Isia położyła na ławeczce pod kasztanowcem mały kocyk i usiadła, myśląc o czekającej ją podróży.

Ilona z Andrzejem zaskoczyli ją propozycją wspólnego urlopu, i chociaż z jednej strony bardzo się tego wyjazdu obawiała, to z drugiej chyba jednak się cieszyła. Wprawdzie mieli jechać samochodem i po drodze nocować w kilku miejscach, ale i tak ta podróż trochę ją przerażała. Ciekawe, czy odnajdą te miejsca – pomyślała, przypominając sobie, że

tym właśnie Andrzej z Iloną ją przekonali. Powiedzieli, że chcieliby zobaczyć miejsca, w których ona, jako dziewczynka, a potem nastolatka, spędziła kilka lat na robotach u rodziny Angerer. „Na robotach” – jak to dziwnie brzmiało. Isia pomyślała, że w porównaniu z innymi ludźmi wywiezionymi do Niemiec czy Austrii ona tak właściwie była jak w domu. Pomijając ostatnie dwa lata po odejściu Kazi, kiedy *Frau Helga* podupadła na zdrowiu, to przecież nie miała na co narzekać. W domu Sabine wprawdzie bardzo bogato nie było, w końcu to był czas wojny, ale głodu i biedy też prawie nie zaznały. Myśli coraz częściej wracały do przyjaciółki, z którą widziała się po wojnie tylko raz, i to ponad trzydzieści lat temu. Isia przypuszczała, że Sabine zmarła, bo od dłuższego czasu nie miała od niej żadnych wieści. Smutno jej było o tym myśleć, ale cóż... życie prowadzi człowieka własnymi ścieżkami.

– Co tak siedzisz i dumasz? – Isia najpierw poczuła zapach perfum, a potem dopiero dotarł do niej głos Ilony. – Chyba nie wahasz się przed naszym wyjazdem?

– Waham nie waham. – Isia uśmiechnęła się. – Wy chyba cały czas nie zdajecie sobie sprawy z tego, ile ja mam lat.

– Metrykalnie czy duchowo? – Ilona popatrzyła na starszą kobietę z nutą kpiny.

– Metrykalnie oczywiście. – Isia pokiwała głową i zapatrzyła się w głąb ogrodu. – Taka daleka podróż, kiedy człowiek jest już po osiemdziesiątce, to nie łatwizna.

– Ale przecież zawsze mówiłaś, że chciałabyś jeszcze kiedyś zobaczyć... – Ilona ugryzła się w język, żeby nie zdradzić prawdziwego powodu ich wyjazdu.

– Pewnie, że bym chciała. – Isia zamyśliła się. – Ale wiesz, boję się, że będzie to dla mnie dość bolesne. Wspomnienia wspomnieniami, ale kiedy tak sobie pomyślę o tych ludziach, których już nie ma, to tak jakoś... smutno mi.

Ilona zauważyła, że jej przyjaciółka, starając się zrobić to niezauważalnie, wyciera oko.

– Będzie dobrze. – Przytuliła ją do siebie i w duchu uśmiechnęła się. – Pamiętaj, że jedzie z nami lekarz, więc gdyby coś...

– Ale ja jestem zdrowa jak rydz! – Isia oburzyła się teatralnie. – Mnie tylko trochę rozbiera nostalgia. A kiedy przypominę sobie tę drogę, wtedy w czterdziestym ósmym, to chwilami zastanawiam się, kto nade mną czuwał, że dotarłam do Polski cała i zdrowa. Pewno mama. Wierzyła, że wracam po to, aby odnaleźć Arona. Tak, to musiała być ona. Kiedy stwierdziła, że naszej rodziny już nie ma, to zrobiła wszystko, abyśmy chociaż my dwoje się odnaleźli.

Ilona kiwnęła głową i pomyślała, że ona chyba nie byłaby w stanie przejść takiego kawała drogi, nawet jeśli czasami ktoś by ją podwiózł.

– Wiesz, wtedy, kiedy Rolf uświadomił mi, że nie będę szczęśliwa, zostając w Niemczech z Sabine i jej matką, i kiedy obiecał, że się nimi zaopiekuje, poczułam w sobie taką chęć zobaczenia Polski, że chyba to moje niezdecydowanie wyparłam z siebie. – Isia, przypominając sobie trudy podróży, z nostalgią pomyślała o tych szczytach górskich, na które patrzyła każdego dnia. W jej pamięci jak żywe pozostały obrazy zieleniących się łąk wokół domu i krystalicznie czystej wody w Jeziorze Bodeńskim, nad które chodziła zawsze, kiedy tylko pozwalał jej na to czas. Uśmiechnęła się do Ilony, ale po jej policzkach wolno, jedna za drugą, zaczęły spływać łzy.

ROZDZIAŁ 23

Wiosna, rok 1948

Sabine wyjechała przed dom, głośno szlochając. Początkowo, kiedy dotarło do niej, że jej przyjaciółka odchodzi, była na nią wściekła. Nie pomagały nawet zapewnienia Rolfa, że zaopiekuje się nią i jej matką, bo winien to jest jej ojcu i bratu. O Olafie Angererze nadal nie było żadnych wieści, ale Ilse tak cichutko wierzyła w to, że i on któregoś dnia pojawi się w tym domu. Sabine nie kryła żalu do przyjaciółki, ale z każdą mijaną chwilą złość przechodziła w rozpacz. Po tylu latach bycia razem nie wyobrażała sobie teraz tego, że Ilse po prostu nie będzie. Kto ją będzie mył i ubierał, przecież nie może robić tego mężczyzna. Na matkę liczyć też nie mogła, bo *Frau Helga* już prawie nie funkcjonowała jak normalny człowiek. Zamknęła się w swoim kokonie żalu i momentami nie reagowała na nic.

Rolf podwiózł Ilse do miasteczka swoim motocyklem, i chociaż oboje starali się nie słyszeć docierających do nich krzyków Sabine, których nie zagłuszył ryk motoru, to nawet

będąc już daleko od domu, obojgu wciąż dudnił w głowach ten płacz.

W miasteczku mężczyzna zaprowadził ją do jakiegoś domu, który wyglądał, jakby kiedyś pełnił funkcję sklepu. Pod ścianą, tu i ówdzie, stało jeszcze coś, co przypominało regały. Na podłodze siedziało kilkanaście osób w różnym wieku. Byli ludzie starsi, ale były również trzy młode kobiety z przytulonymi do nich dziećmi.

Rolf podprowadził ją do kilkuosobowej grupy mężczyzn i przedstawił jako swoją przyjaciółkę. Mężczyźni rozmawiali po niemiecku, ale niektórzy z nich mieli dziwny akcent. Ilse nie wnikała, co to za ludzie, chociaż podświadomie czuła, że będzie wśród nich bezpieczna. Jak się później dowiedziała, byli to nie tylko Niemcy, ale również Polak, dwóch Czechów i jeden Anglik. Wszyscy działali kiedyś w *Widerstand*, niemieckim ruchu oporu, i chociaż ich zamiary nie powiodły się tak, jak zakładali, a plan okazał się nieskuteczny odnośnie powstrzymania zbrodniczej działalności III Rzeszy, to po wojnie wielu z nich nadal działało, oferując pomoc ofiarom nazizmu. Jeden z mężczyzn wskazał Ilse miejsce, w którym mogłaby się ułożyć i przeczekać czas do wymarszu. Powiedział, że ma porządnie odpocząć, bo czeka ich długa i uciążliwa droga. Ilse podziękowała i wyszła razem z Rolfem przed budynek. Stali chwilę w milczeniu, walcząc z emocjami, które szarpały ich umysły i ciała. W pewnej chwili Rolf mocno przytulił dziewczynę do siebie. Nie panował już nad własnymi uczuciami.

– Niech Bóg cię prowadzi i się tobą opiekuje – wyszeptał drżącym głosem.

– Mój Bóg czy twój Bóg? – Ilse starała się wykrzesać z siebie odrobinę żartu, ale jej słowa zabrzmiały jak smutno drgające struny fortepianu.

– Nieważne czyj. Ten, który znajdzie czas i ochotę spojrzeć na nas z nieba. – Rolf mocniej przytulił wychudzone ciało

dziewczyny, starając się ze wszystkich sił, aby nie dostrzegła jego twarzy. Nie chciał, aby zapamiętała go jako mazgającego się Niemca. Nie chciał, aby widziała jego czerwone oczy i policzki mokre od łez, nad którymi nie potrafił już zapanować. – Mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy w normalnych okolicznościach, cali i zdrowi, i... szczęśliwi. – Nim Ilse zdążyła zareagować, złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek, po czym jego ramiona oderwały się od niej. Nie otwierając oczu, stała dłuższą chwilę jak zahipnotyzowana. Serce waliło jej jak młot, a w głowie pojawiła się myśl, żeby wrócić do domu Sabine. Usłyszała ryk motoru i poczuła woń paliwa, roznoszącą się w powietrzu. Motocykl Rolfa zniknął w tumanach kurzu.

Wróciła do budynku i usiadła w kącie, starając się być niewidoczna dla innych. Czuła rosnącą w gardle gulę, ale ze wszystkich sił próbowała się nie rozpłakać. Kiedy obraz odjeżdżającego Rolfa zniknął z jej głowy, popatrzyła na obecnych w pomieszczeniu ludzi. Wszyscy byli wychudzeni, wielu w łachmanach, które nawet nie przypominały ubrań. Ale w ich oczach widziała może nie radość, ale nadzieję.

Noc spędzili w miasteczku. Wyruszyli o świcie. Kolumna kilkudziesięciu osób wolno zaczęła kierować się w stronę wschodzącego słońca. Mężczyźni pomagali starszym dźwigać to, co ci zabrali ze sobą z miejsc wojennej niewoli; pomagali także młodym matkom w niesieniu dzieci. Szli prawie cały czas w milczeniu, od czasu do czasu tylko posyłając jakiś ciepły uśmiech lub krzywiąc się z bólu. Mężczyźni, którzy się nimi opiekowali, podzielili się na dwie grupy, część z nich szła przodem, a część zamykała ten dziwny pochód. Kiedy opuścili miasteczko, skierowali się w stronę lasu, unikając głównych dróg, na których wciąż mogło czyhać niebezpieczeństwo. Od czasu do czasu robili krótkie postoje na odpoczynek, posiłek czy załatwianie potrzeb fizjologicznych. Nie wszyscy mieli ze sobą coś do jedzenia, dlatego Ilse bardzo szybko pozbyła się zapasów, które zapakował jej Rolf. Młodzi mężczyźni towarzyszący im

w drodze zostawiali ich czasem w lesie, a sami wypuszczali się do pobliskich wsi czy miasteczek, wracając często z niewielkimi zapasami żywności.

Na szczęście pogoda dopisywała, noce nie były zbyt chłodne; deszcz również postanowił oszczędzić wędrowców. Często nocowali w lesie na gołej ziemi i chociaż znali się coraz lepiej, to nie wszyscy mieli odwagę spać blisko siebie. Mijane niemieckie miejscowości nie tryskały radością, widać było ludzi pracujących w polach, którzy wszelkimi siłami próbowali wrócić do normalności. Trzy lata, które minęły od zakończenia wojny, pozwoliły powolutku podnieść się z kolan porażki, chociaż Rosjanie pozostawili po sobie tyle samo zgliszcz, bólu i strachu, co Hitler i jego zbrodniarze.

Po kilku tygodniach tułaczki, zmęczeni, wygłodniali, ale z nadziejami w sercach zbliżali się do Polski. Część z ich grupy dotarła do małego niemieckiego miasteczka, z którego od Polski dzieliło ich tylko kilkadziesiąt kilometrów. Niektórzy z towarzyszy podróży odłączyli się, wsiadając do pociągów towarowych lub łapiąc jakieś okazje na ciężarówkach. Ale Ilse bała się opuścić mężczyzn, w ręce których przekazał ją Rolf. Czuła się wśród nich bezpiecznie, chociaż z grupy, która wyruszyła z miasteczka, pozostało ich tylko czterech.

Pewnego dnia trafiła się sposobność podwózki, jeden z mężczyzn napotkał znajomego z wojska, który leśnymi drogami kierował się w stronę granicy z Polską. zaproponował chętnym podwiezienie w zamian za drobną opłatę. Niestety wielu ludzi nie miało przy sobie ani grosza. Ilse miała w swoim tobołku wisiorek *Frau Helgi*, który przezornie wcisnęła jej w dłonie Sabine, aby miała za co rozpocząć nowe życie w tej swojej Polsce. Kierowca ciężarówki dość sceptycznie podszedł do zaproponowanej mu przez młodą kobietę zapłaty, ale w końcu zgodził się, zabierając na pakę ciężarówki razem z Ilse dwie Czeszki i dwóch starszych mężczyzn z Polski.

Po kilku, a może kilkunastu godzinach jazdy w cuchnącej i brudnej ciężarówce, wreszcie zatrzymali się w małej miejscowości. Kiedy wysiedli, wzbudzając ogólne zainteresowanie wśród mieszkańców, usłyszeli język polski, docierający do nich z wszystkich stron. Ilse poczuła radość, która zaczęła walkę ze strachem. Tu mieli się pożegnać i każdy na własną rękę ruszyć w dalszą drogę. Tygodnie tułaczki wreszcie się skończyły, chociaż Ilse wiedziała, że trudno jej będzie nauczyć się żyć w tym innym świecie.

– Panienska z daleka? – Nagle usłyszała obok siebie zachrypnięty głos.

– Z Niemiec – odpowiedziała, zaskoczona widokiem kobiety pięknie, jak na powojenne możliwości, ubranej w zielony płaszcz, spod którego widać było wystający kawałek spódniczki lub sukienki. Na nogach kobiety Ilse zauważyła pończochy ze szwem, a w dłoni długą lufkę z papierosem. Widok ten tak zaskoczył dziewczynę, że w pierwszej chwili nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Szukam kogoś do pracy. – Kobieta zmierzyła Ilse wnikliwym spojrzeniem, przesuwając wzrok od twarzy po skromne i brudne buty. – Na początek daję dach nad głową i jedzenie, a jak się sprawdzisz, to zacznę płacić ci wynagrodzenie.

Ilse nie wierzyła własnym uszom, nie była ciekawa, na czym ma polegać oferowana jej praca, ale perspektywa przespania nocy w łóżku, a nie na zimnej ziemi, oraz nadzieja na ciepły posiłek przekonały ją, aby uśmiechnąć się do nieznajomej i zgodzić się na jej propozycję.

– Żydówka? – Kobieta dotknęła dłonią tłustych włosów Ilse i pokręciła głową. – Musimy szybko się tym zająć. Chodź, tam stoi mój automobil.

Ilse pomyślała, że albo faktycznie jakiś Bóg ją zauważył, albo mama, spoglądając na nią z nieba, kieruje dalszym jej losem. Zmęczona i głodna posłusznie udała się za swoją

nową pracodawczynią do auta, które po podróży w ciężarówce wydało się jej szczytem luksusu. Nie jechały długo, po kilkunastu minutach samochód zatrzymał się przed sporych rozmiarów willą, która na ścianach wciąż miała wyraźne pamiątki po wojnie. Otaczał ją duży ogród.

Kiedy weszły do środka, kobieta natychmiast kazała Ilse pozbyć się cuchnących ubrań, wskazując skromnie umeblowane pomieszczenie.

– Tu będziesz spała. Idę nagrzać wody do mycia. – Wskazała głową stojącą na taborecie miskę. – Jak się już wyszorujesz i przebierzesz, to przyjdź do kuchni, o tam. – Tym razem wyciągnęła dłoń w kierunku wspomnianego pomieszczenia. – Zaraz przyniosę ci coś do ubrania i... witaj w moim domu. – Kobieta odwróciła się i ostentacyjnie wyszła, zostawiając oniemiałą dziewczynę samą.

ROZDZIAŁ 24

Jesień, rok 2016

Rodzeństwo Zalewskich, wtajemniczone w plany Ilony i Andrzeja, z trudem utrzymywało sekret. Cieszyli się, że Isia wyjeżdża, i mocno trzymali kciuki za jej spotkanie z Sabine, ale jednocześnie trochę się tego wyjazdu obawiali. Co było przyczyną tych obaw, nikt nie potrafił wytłumaczyć. Filip nie mógł się już doczekać relacji siostry ze spotkania z niemiecką przyjaciółką, i chociaż nigdy nie miał okazji spotkać jej osobiście, to tyle o niej słyszał, że czasami miał wrażenie, że zna ją tak dobrze jak siostrę.

Bardzo dobrze pamiętał dzień, w którym poznał Ilse. Był nastolatkiem, kiedy dowiedział się o tym, że prawdopodobnie ma siostrę. Kiedy miał około dziesięciu lat, wpadł pod samochód, odnosząc przy tym spory uszczerbek na zdrowiu. Prawie się wykrwawił na śmierć i kiedy w szpitalu mama chciała mu oddać krew, której bardzo potrzebował, okazało się, że nie może tego zrobić, bo ma inną grupę. Po wyjściu ze szpitala czekała na niego delegacja rodzinna, w skład której weszli chyba wszyscy

z rodziny Zalewskich, włącznie z ciocią Danusią. Tamtego dnia przeżył pierwszy w swoim życiu szok. Mama wzięła go na kolana i zaczęła opowiadać historię o małym chłopcu, który został znaleziony na torach przez kuzynów Antka i Julka. Mama opowiedziała też o innym małym chłopcu, który zmarł jako niemowlę. Początkowo Filip nie mógł zrozumieć, po co opowiada mu o tych dzieciach, a kiedy zobaczył, że płacze, i usłyszał, jak bardzo bała się o jego zdrowie, kiedy leżał w szpitalu, to już nawet nie chciał znać powodu tych nagłych zwierzeń. Dopiero ciocia Danusia wytłumaczyła mu, że dziecko, które zmarło, było synem jego mamy, czyli można tak powiedzieć, że jego bratem. Kiedy mama przestała szlochać i uspokoiła się na tyle, żeby dalej mówić, dowiedział się, że chłopczykiem znalezionym na torach był on i że odziedziczył imię po swoim zmarłym braciszku. Trochę się pogubił w tym, co usłyszał. Na szczęście kuzynki Wandzia i Halinka, chociaż dużo starsze od niego, ale traktujące go cały czas jak ukochanego brata, spokojnie opowiedziały mu te dwie historie jeszcze raz. Nikt we wsi nie wiedział, że on – Filip, nie jest tym pierwszym Flipem. Kilka dni gryzł się z myślami. Dopiero Julek uświadomił mu, jak w czasie wojny życie daleko odbiegało od terażniejszości. Najprawdopodobniej jego biologiczna matka domyślała się, że wiozą ich do obozu. Wyrzucając go z pociągu, z pewnością liczyła na to, że chociaż jego uratuje. Wówczas dopiero zrozumiał, jak ważne dla jego mamy Zosi było to wyznanie i odkrycie przed nim prawdy.

– Hej! A ty co taki zamyślony siedzisz? – Z otchłani wspomnień wyrwał Filipa donośny głos Antoniego.

– Ech, przypomniał mi się pewien dzień z dzieciństwa i tak mnie babska nostalgia wzięła.

– Dlaczego babska? – Antek spojrzał na kuzyna z konsternacją.

– Bo my, mężczyźni, chyba nie wpadamy w nostalgiczne nastroje – uśmiechnął się Filip.

– Może i masz rację, ale wiesz... przyznam ci się, że mnie też czasami bierze na sentymenty. – Antoni poklepał kuzyna po ramieniu i wyciągnął pudełko z szachami. – Kiedyś potrafiliśmy grać w szachy po kilka partyjek dziennie, a dzisiaj...

– Co dzisiaj?

– Dzisiaj partyjka i jesteśmy zmęczeni. No, przyznaj sam, umysł już nie ten.

– Oj tam, marudzisz, staruszkule – roześmiał się Filip.

– No, no! Tylko nie staruszkule! Nie zapominaj, że jestem od ciebie tylko osiem lat starszy.

– Żartowałem. Czasami mi się wydaje, że my, mężczyźni, robimy się na starość bardziej zgrzybiali niż te nasze kobietki. Nie odniosłeś takiego wrażenia?

– Nie. A niby dlaczego tak uważasz? – Antoni zaczął ustawiać pionki na szachownicy.

– Popatrz tylko na Halinę czy Isię, one są prawie cały czas w ruchu. Jak nie gary, to ogród, jak nie ogród, to ploteczki z sąsiadkami, jak nie ploteczki z sąsiadkami, to...

– Dobrze, już dobrze. – Antek machnął ręką w stronę kuzyna i pokazał mu równo ustawione figury. – Im się po prostu bardziej chce, a my... my już jesteśmy...

– Sparciałymi staruchami! – zawołała Isia, wprawiając obu panów w osłupienie. Nie zauważyli, kiedy dołączyła do ich duetu, chociaż dobrych kilka minut krzątała się w pobliżu, ze wzruszeniem przysłuchując się ich rozmowie.

– A ty spakowana już jesteś? – Filip popatrzył na siostrę i uśmiechnął się.

– Spakowana, spakowana. Dziesięć razy sprawdzałam, czy wszystko zabrałam.

– A pampersów nie zapomniałaś? – Antek mrugnął porozumiewawczo do kuzyna.

– Ja? Pampersy? Och, ty stary... – Isia oburzyła się z powodu niewinnego żartu i rzuciła Antoniemu urażone spojrzenie. – Prędkiej tobie się one przydadzą, ja jeszcze panuję nad moimi zwieraczami.

– Oj, nie gniewaj się na niego. – Filip postanowił rozładować nieciekawą sytuację. – Pewnie miał na myśli to, że jak będziecie w drodze, na przykład na jakiejś autostradzie, a tobie się zachce, to...

– To nawet na autostradach są wychodki. – Isia prasnęła brata ścierką i przesunęła jeden z pionków po stronie Filipa na pole Antka, kasując mu tym jednego gońca.

– Isiu! – Filip zawołał opuszczając ich towarzystwo siostrę. – A powiedz, nie obawiasz się tego spo... wyjazdu? – W ostatniej chwili zorientował się, że o mały włos zdradziłby sekret Ilony i Andrzeja.

– A czego niby mam się obawiać? – Isia zawróciła i spojrzała na brata podejrzliwie.

– No tej drogi, bo to daleko ta Szwajcaria.

– Przecież my jedziemy do Niemiec, nie do Szwajcarii.

– No tak, ale Andrzej wspomniał coś o nartach, a to chyba w Szwajcarii są lepsze stoki narciarskie. – Antoni próbował wyciągnąć kuzyna z kłopotliwej sytuacji.

– Ja tam do żadnej Szwajcarii się nie wybieram – prychnęła Isia. – Jak chcą jechać na narty, to sobie pojedą, a ja grzecznie na nich zaczekam w hoteliku. – Isia zerknęła na szachownicę i szybkim ruchem pozbawiła Antoniego kolejnego pionka. – Szach i mat. – Odwróciła się od mężczyzn i ostentacyjnie wyszła.

Mężczyźni popatrzyli na planszę zaskoczeni tym, co chwilę wcześniej zobaczyli, i roześmiali się.

– A nie mówiłem, że te nasze kobitki są mniej zgrzybiałe od nas?

Antoni z Filipem postanowili zagrać jeszcze jedną partyjkę, skupiając się teraz tylko na grze. Filip jednak cały czas myślał o zbliżającym się spotkaniu Isi z Sabine i na samą myśl cieszył się tak, jakby to spotkanie dotyczyło jego osobiście. Antoni zauważył rozkojarzenie swojego partnera szachowego, w pewnym momencie zebrał wszystkie figury i stwierdził, że nie ma dziś głowy do myślenia. Filip przyjął tę decyzję z ulgą, ponieważ jak sam zauważył, też nie potrafił się skupić.

– No dobra, co ci się jeszcze w tej głowie mąci? – Antek wstał od stołu i podszedł do kredensu, nalewając do kieliszków słynnej Halinkowej pigwówki.

– E... takie mnie dzisiaj wspomnienia męczą. Chyba się już starzeję. – Filip uśmiechnął się melancholijnie.

– To dawaj, powspominamy razem. – Antek postawił butelkę z nalewką na stole i podał kuzynowi kieliszek. – No to za wspomnienia. – Uniósł dłoń w stronę Filipa i szybko opróżnił zawartość swojego kieliszka.

Filip, nie zastanawiając się dłużej, również wychylił swój trunek.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy po którejś zabawie dziewczyny przyszły takie podekscytowane...

– One po każdej zabawie wracały podekscytowane. – Antoni przerwał kuzynowi w połowie zdania, nie zastanawiając się, którą zabawę ma na myśli.

Filip westchnął ostentacyjnie i popatrzył na kuzyna z odrobiną rozdrażnienia.

– Mam na myśli tę, w czasie której prawie siłą wyciągnęły nas z remizy i zagnały do domu.

– Wtedy, gdy spotkały Isię? – Antek pokiwał głową i sięgnął po nalewkę.

ROZDZIAŁ 25

Lato, rok 1956

– Filip, idziemy do domu! – Silna dłoń kuzynki szarpnęła stojącego z butelką oranżady chłopaka.

– Ale ja jeszcze nie chcę, jest jeszcze wcześnie! Co z wami?
– Chłopiec spojrział w dziwnie skrzące oczy kuzynek i cofnął się o krok w stronę kolegów.

– To bardzo ważne. Musimy iść do domu. – Wanda była tak stanowcza, że młodzieniec poczuł narastający strach.

– Czy coś się stało mamie?

– Chodź! Wszystkiego dowiesz się po drodze. Gdzie reszta chłopaków? – Halina rozejrzała się po sali, a kiedy odnalazła braci w tłumie tańczących, podeszła do nich i chwilę później rodzeństwo Zalewskich, razem ze swoim młodym kuzynem, szło szosą w stronę domu.

– Dowiem się wreszcie, o co chodzi? – Filip był rozdrażniony i nieco niespokojny.

– Zaraz. Dojdziemy do domu, to porozmawiamy przy twojej mamie. Nie będę sto razy powtarzała tego samego. – Wanda zirytowała się marudzeniem chłopaka.

Zaskoczona wcześniejszym niż zwykle powrotem młodzieży do domu, Danuta spokojnie popijała z Zofią herbatę, słuchając w radiu jakiejś audycji.

– Czy coś się stało? – Zofia popatrzyła na siostrzenice, które weszły do kuchni z minami, jakby ktoś je gonił.

– A stało się, stało! – Wanda klapnęła na krzesło i popatrzyła z nadzieją na siostrę, a następnie przeniosła wzrok na ciotkę i kuzyna.

– No mówcie wreszcie, bo... – Danuta czuła narastające wśród córek napięcie

– Filip, co tym razem zmajstrowałeś? – Zofia spojrzała na syna karcąco, ale widząc jego niewinną minę, przeniosła wzrok na siostrzenice.

– Słuchajcie, chyba Wanda spotkała na zabawie siostrę Filipa – odezwała się Halina, wyręczając siostrę.

– Jak to chyba... I jak to siostrę...? – Zosia wpatrywała się w siostrzenice jak porażona.

Wanda streściła całemu gronu przebieg spotkania z Izabelą, a następnie zdjęła z szyi łańcuszek z medalionem i podała go Filipowi.

– To należy do ciebie. Wiem, że chłopcy nie noszą takich rzeczy, ale skoro to pamiątka rodzinna...

– I co teraz macie zamiar z tym zrobić? – Julek stanął między siostrami i wnikliwie zaczął przyglądać się raz jednej, raz drugiej.

– My? – Halina uderzyła dłonią w stół. – My, kochany, to ja, Wanda, ty, Antek, Filip, Zosia i mama, a nie ja i Wanda. To nasza wspólna sprawa. I to wspólnie musimy

zdecydować, co z tym fantem zrobić, czy powiedzieć dziewczynie o Filipie, czy udawać, że nie chcemy jej znać.

– Spokojnie, dzieci. – Danuta upiła łyk herbaty i podeszła do radia, aby je wyłączyć. Audycja, której przed chwilą słuchały, nagle zaczęła ją drażnić. – Przede wszystkim trzeba iść do młyna i dowiedzieć się czegoś o tej dziewczynie. Myślę, że ty, Wandziu, masz ku temu najlepszą okazję, bo przyjaźnisz się z synem młynarza.

– No, „przyjaźnisz” to trochę za dużo powiedziane, ale tak, znam Tadzika.

– No właśnie, więc dobrze by było, żebyś go trochę podpytała, a może nawet...

– Co? – Halina i Wanda zapytały równocześnie, spoglądając na matkę.

– Może nawet zaprzyjaźniła się z tą dziewczyną. Kurcowa mówiła mi w sklepie, że szukają do młyna kogoś, kto pomógłby przy papierach. Odkąd młynarzowa zachorowała, to podobno Tadek nie bardzo sobie radzi z dokumentami. – Danuta popatrzyła na córkę i uśmiechnęła się.

– No, a robota u nas, a żniwa?

– Spokojnie, siostra, kilka dni damy sobie radę bez ciebie.
– Antoni poklepał Wandę po plecach. – A może przy okazji i męża sobie w tym młynie podłapiesz?

Wanda rzuciła w brata ścierką i roześmiała się.

– Darmowego robotnika ci trzeba, co?

Wanda zaproponowała Tadekowi pomoc w sprawie rachunków i rozliczeń, przy okazji starając się spotykać z jego pracownicą. Tadeusz bardzo chwalił dziewczynę i widać było, że ta czarnooka chyba mu się podoba. Dziewczyna niewiele mówiła na swój temat, a on wiedział tylko, że kilka lat wojny i kilka po wojnie spędziła

w Niemczech, gdzie pracowała u jakiejś rodziny. O swojej przeszłości sprzed wojny dziewczyna nie mówiła nic. Wanda bardzo szybko zaprzyjaźniła się z Izabelą. Któregoś wieczoru, podczas babskich pogaduszek, Izabela opowiedziała jej o transporcie. Zwierzyła się, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej ufała swojej intuicji, że odnajdzie brata. Wanda była już pewna, że jej nowa przyjaciółka jest siostrą Filipa. Przed dziewczyną jednak nie zdradziła się ani słowem.

Zbliżały się urodziny Haliny, Wanda w imieniu siostry zaprosiła przyjaciółkę na skromną domówkę, nie wspominając, że będzie na niej również Filip. Izabela z radością przyjęła zaproszenie.

W sobotę ubrała się w swoją najlepszą sukienkę, upiekła tort, jako wspólny prezent od siebie i Tadeusza, i razem ze swoim pracodawcą udała się do domu Zalewskich. Rodzina przyjęła ją bardzo ciepło, ale najbardziej miła była dla niej ciocia Wandy, która nie odstępowała jej prawie na krok. W pewnym momencie do domu weszło trzech młodych mężczyzn. Izabela zaczerwieniła się, kiedy jeden z nich figlarnie się przed nią uklonił i pocałował w rękę, jak widziała w kinie na filmie z Rudolfem Valentino. Kiedy podszedł do niej najmłodszy z mężczyzn, Izabela poczuła, że robi jej się gorąco. Chłopak był młodszą kopią jej ojca, obrazem, jaki pielęgnowała w pamięci. Gdyby nie Wanda, pewnie osunęłaby się na podłogę, ale mocno podtrzymana przez przyjaciółkę szepnęła tylko „przepraszam” i odprowadzona przez Wandę przeszła do kuchni. Młodzi Zalewscy spojrzeli na siebie porozumiewawczo i po kilku minutach udali się za kobietami. Znaleźli Izabelę zapłakaną. To Zofia podjęła się wyznania dziewczynie prawdy. Opowiedziała ze szczegółami, jak chłopcy znaleźli na torach niemowlę, jak miejscowy niemiecki lekarz pomógł im, zacierając wszelkie ślady śmierci synka Zofii. Wzruszeniom nie było końca. Wesoła urodzinowa zabawa przemieniła się w tonące we łzach spotkanie, do którego

doprowadził albo Bóg, albo rodzice Ilse i Arona. Filip długo nie mógł uwierzyć w to, że ma prawdziwą siostrę. Wandę, Halinę i chłopców z rodziny Zalewskich od zawsze traktował jak rodzeństwo, ale Isia... Isia była jak gwiazdka z nieba.

ROZDZIAŁ 26

Jesień, rok 2016

Wyruszyli w podróż dość wcześnie, chociaż dla Ilony godzina szósta rano stanowiła prawie noc. Bezsennosc czy bycie nocnym markiem to dla jednych męczarnia, a dla drugich czas na pracę. Jej najlepiej pracowało się właśnie w nocy, kiedy otulały ją cisza i spokój.

Isia była tak podniecona podróżą, że nie spała całą noc. Przewracała się z jednego boku na drugi, aż w końcu około drugiej nad ranem wstała, zrobiła sobie w kuchni gorące kakao i do rana przesiedziała w pokoju, czytając książkę.

Za oknem wstawał piękny, słoneczny dzień. Jesień nie zapowiadała się szara, bura i ponura, co sprawiło, że niewiele osób w tym roku wpadało w jesienną chandrę. No, ale wszystko jeszcze przed nami – pomyślała Isia, wsiadając do samochodu, w którym już od poprzedniego wieczoru czekała na nią jej walizka. Nie mogła zrozumieć, co kierowało Andrzejem i Iloną, że zaproponowali jej wspólną podróż. Niby miał to być prezent urodzinowy połączony

z trasą wspomnień. Któregoś dnia zauważyła w pokoju Ilony mapę z zaznaczonymi miejscowościami, o których Isia jej opowiadała. Małe niemieckie miasteczka nad pięknym Jeziorem Bodeńskim, które przyciągały z pewnością wielu turystów. Wtedy, kiedy mieszkała w domu Sabine, raczej nikt nie myślał o wypoczynku w tych rejonach, chociaż czasami zdarzali się niemieccy letnicy, którzy pojawiali się w okolicy. Teraz, gdy zdała sobie sprawę z tego, że tak właściwie większą część wojny spędziła w tak cichym, bezpiecznym i dalekim od działań wojennych miejscu, nie mogła zrozumieć tego, że w tamtym okresie byli Niemcy, którzy mieli czas i możliwości wypoczynku i beztrudnej zabawy. Kiedy prawie cała Europa płonęła, płakała i cierpiała, tam radośnie ćwierkały ptaki i spokojnie szumiała woda w jeziorze.

Andrzej włożył do samochodowego odtwarzacza płytę CD i z głośników zaczęły sączyć się miłe dźwięki fortepianu. Isia знаła ten utwór; często płyta z kompozycjami w wykonaniu Richarda Claydermana była odtwarzana w domu Zalewskich. Isia cichutko zaczęła nucić *Balladę dla Adeline*, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że palce wygrywające melodię na klawiaturze fortepianu to palce Sabine. Wciąż miała w pamięci te chwile, kiedy jej przyjaciółka grała tylko dla niej, w skupieniu, jakiego niejeden dorosły mógłby jej pozazdrościć. Małe, chudziutkie paluszki tej drobnej dziewczynki potrafiły wyczarowywać cuda na tych czarnych i białych klawiszach.

– Że też nie pomyślałam o tym wcześniej – powiedziała Isia do siebie.

– O czym nie pomyślałaś? – Ilona odwróciła się i spojrzała na starszą panią siedzącą na tylnym siedzeniu z przymkniętymi powiekami. – Isia chyba mówi przez sen. – Wzruszyła ramionami i wymownie uśmiechnęła się do Andrzeja.

– Nie mówię przez sen, bo nie śpię. Po prostu coś sobie pomyślałam i nawet nie zauważyłam, że powiedziałam to na głos.

– Nie mów tylko, że czegoś zapomniałaś zabrać. – Andrzej zaniepokoił się tonem głosu starszej pasażerki.

– A niby czego miałabym zapomnieć? Pampersów? – prychnęła z irytacją. – Wczoraj po południu Ilona przemaglowała mnie na wszystkie sposoby. Paszport masz? Bieliznę na zmianę masz? Coś na chłodne dni masz? Coś na ciepłe dni masz? Buty wygodne spakowałaś? Koszulę do spania spakowałaś? – Isia zaczęła przedrzeźniać głos Ilony.

Młodzi roześmiali się.

– No, ale wyraźnie usłyszałam, że powiedziałaś przed chwilą, że o czymś zapomniałaś. – Ilona próbowała stanąć we własnej obronie.

– Nie zapomniałam, tylko nie pomyślałam. – Isia otworzyła oczy i pokręciła lekceważąco głową. – Słuchaj uważnie, jak chcesz potem komentować.

– To powiesz nam, o czym nie pomyślałaś? – Andrzej wtrącił się do dialogu pań.

– O grobie.

– O grobie? – Andrzej z Iloną zapytali równocześnie.

– Tak, o grobie.

– A można wiedzieć czyim? – Ilona odwróciła się ponownie w stronę Isi i popatrzyła na staruszkę z zaskoczeniem. – Bo chyba nie masz na myśli swojego? Za granicą nie mamy zamiaru cię chować. – Uśmiechnęła się do udającej naburmuszenie Isi.

– Ja się na tamten świat jeszcze nie wybieram. Pomyślałam, że wy tacy internetowi, to pewnie znaleźlibyście informację o grobie Sabine. No wiesz, gdzie się znajduje.

Ilona popatrzyła na Andrzeja i wywróciła oczami.

– Dlaczego mielibyśmy szukać grobu Sabine?

– O matko, jaka ty niedomyślna jesteś. Tak długo nie mam od niej wiadomości, przecież wiecie, że kilka listów, które do niej wysłałam, wróciło, więc...

– Co: więc? – Andrzej uśmiechnął się, nie dając po sobie znać, że myśli Isi mogą być prorocze.

– Jezu, Jędrak, coś ty taki niegramotny?! – Isia krzyknęła tak, że Ilona aż podskoczyła na swoim siedzeniu. – Skoro nie odpisuje, skoro listy wracają, to chyba logiczne, że nie żyje! Szkoda tylko, że nikt mnie nie powiadomił o jej śmierci.

– A może... zgubiła twój adres... – Ilona próbowała złagodzić rozmowę.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – oburzyła się Isia. – Przecież na każdej kopercie jest odbiorca i nadawca, więc jeżeli mój list by do niej dotarł, to... Ech... – Isia machnęła ręką na znak, że nie ma ochoty na dalszą dyskusję. Zamknęła oczy i zaczęła demonstracyjnie nucić kolejną melodię graną przez Claydermana: *My way*.

Isia zasnęła. Nieprzespana noc w końcu o sobie przypomniała. Cichutko pochrapując, kobieta przeniosła się w świat swojej młodości, kiedy po wyjeździe z Niemiec nareszcie dotarła do ukochanej Polski i do mniej ukochanej pierwszej pracodawczyni, a właściwie jej męża.

ROZDZIAŁ 27

Wiosna, rok 1948

Krystyna Brzeska była szwaczką, a właściwie modystką. W jej domu trzy dziewczyny zajmowały się szyciem kapeluszy, a dwie szyły ubrania. Wszędzie walały się czasopisma z modą, w różnych językach. Isia nie miała zielonego pojęcia, skąd jej pracodawczyni je wzięła. Najwięcej było chyba niemieckiego „Modenwelt”, które widywała czasami w domu Helgi Angerer. Isia była nie tyle zaskoczona, co raczej oburzona faktem, że po tylu latach niemieckiej niewoli Polka kolekcjonuje takie pisma. Najstarsze z nich datowane było na rok przed wybuchem wojny. Musiała jednak przyznać, że wiele rad było ciekawych, ale po co takiej kobiecie jak *Frau Angerer* potrzebne wskazówki, co nosić w domu, co w ogrodzie, podczas popołudnia z gośćmi czy... w łóżku. Szczególnie że mama Sabine nie miała takiej sylwetki jak przedstawiane w czasopiśmie kobiety. Mama Sabine miała po prostu bardzo kobiece kształty. Nie była ani gruba, ani chuda, ale z pewnością nie miała wąskiej talii, szerokich bioder

i wyjątkowo rozbudowanych ramion. Isia lubiła jednak oglądać te czasopisma, wyobrażając sobie siebie w pięknych, eleganckich kostiumikach. Nieraz była wręcz zauroczona kapelusikami, bucikami i bogactwem wzorów i kolorów.

Isia początkowo zajmowała się sprzątaniami pomieszczeń, w których się szyło, zbieraniem odpadów i segregowaniem ich na te, „które jeszcze się przydadzą”, i na te „do niczego”. Biegała do klientek, zanosząc im gotowe kapelusiki, płaszczyki, spódnice czy garsonki, a w drodze powrotnej odbierała z różnych miejsc paczki dla pani Krystyny. Nie narzekała na nadmiar obowiązków i chociaż nie dostawała od pracodawczyni ani grosza, bo będąc na tak zwanym okresie próbnym, miała tylko darmowy dach nad głową i dwa posiłki dziennie, to czasami wpadł jej w kieszeń jakiś grosz od zadowolonej klientki.

Problemem w pewnym momencie stał się pan Brzeski. Kilkakrotnie widziała, jak podszczypuje lub łapie za piersi dziewczyny pracujące przy maszynach czy przy krojeniu materiałów. Na nią jednak tylko obleśnie patrzył.

Pewnego wieczoru, kiedy sprzątała pomieszczenie modystek, nagle najpierw poczuła odór alkoholu i, nim zdążyła się odwrócić, usłyszała zgrzyt przekręcanej w drzwiach klucza. Pani Krystyna miała w tym dniu spotkanie z przyjaciółkami i zapowiedziała, że wróci późno. Isia podniosła z podłogi skrawek filcu i spojrzała w stronę drzwi. Mąż pani Krystyny stał oparty o futrynę i uśmiechał się. Odniosła wrażenie, że wygląda jak człowiek niespełna rozumu.

Wojna wielu ludziom pomieszała w głowie, ale jemu z całą pewnością nie. Jemu w głowie pomieszał bimber, którego zawsze było mu mało.

Henryk Brzeski powoli zaczął zbliżać się w jej stronę, ukazując w uśmiechu bezzębne dziąsła. Podobno zęby

wybili mu jacyś Polacy, bo jako folksdojcz był w czasie wojny wyjątkowo wredny dla swoich sąsiadów.

Isia poczuła, jak po plecach zaczyna jej spływać stróżka zimnego potu. Strach, niczym beton, sparaliżował jej ciało. Jak za dotknięciem różdżki złej czarownicy przypomniła sobie dzień, kiedy Norbert, brat Sabine, próbował ją skrzywdzić. Henryk Brzeski wyglądał prawie tak, jak młody Angerer. Jego obleśny uśmiech był identyczny.

– Stój! Zatrzymaj się! – krzyknęła, licząc na to, że jej bojowa postawa zniechęci intruza.

Ten tylko się roześmiał szyderczo, powoli odpinając guziki rozporka.

Isia czuła, że zaraz wydarzy się coś złego. Zaczęła cofać się w stronę okna, rozpaczliwie rozglądając się za czymś do obrony. Mężczyzna wyjątkowo szybkim ruchem, jak na kogoś zamroczonego alkoholem, podskoczył do niej i przygniół ją swoim ciałem do parapetu. Czuła jego kwaśny oddech i ręce, brutalnie wbijające się pod sukienkę. Jedną ręką mąż pani Krystyny majstrował przy swoim rozporku, a drugą próbował dobrać się do jej intymnej części ciała.

– Proszę, niech mnie pan zostawi – powiedziała błagalnie, licząc na to, że mężczyzna się opamięta, ale on tylko zaśmiał się ochryplym głosem i mlasnął jak kot nad miską ciepłego mleka. – Powiem pani Krystynie! – Próbowała go nastraszyć, co przyniosło jedynie kolejny atak śmiechu.

– I co? Myślisz, że ta dziwka się tym przejmie? Jej w głowie tylko pieniądze, szmatki i gałganki. – Śmiech mężczyzny zabrzmiał jak szczek hieny.

Usłyszała złowieszczy dźwięk pękającego materiału i zobaczyła na twarzy napastnika minę zwycięzcy. Kiedy poczuła jego palce w miejscu, w którym sama dotykała się jedynie przy myciu, a potem ból, niepozostawiający złudzeń co do tego, gdzie przedostała się cuchnąca ręka, Isia

w rozpaczy spojrzała na stojącą obok maszynę do szycia. Pod igielnicą jedna ze szwaczek pozostawiła nożyczki. Nie zastanawiając się ani sekundy dłużej, złapała za nie i z całej siły wbiła ich ostrze w udo mężczyzny. Henryk Brzeski zawył jak zwierzę, ale jego ręka natychmiast wydostała się na zewnątrz. Isia, nie czekając na dalszą reakcję mężczyzny, wyrwała się i wybiegła z pomieszczenia. Wpadła do swojego pokoju, złapała za tobołek z osobistymi rzeczami i wybiegła na zewnątrz domu. Biegła bez opamiętania, czując, jak złość i łzy zaczynają ją dusić. W pewnym momencie napatoczyła się na kogoś, kto szedł z naprzeciwka. Był nim wielki jak dąb mężczyzna w starszym wieku.

– Hola, hola, panienko! – zawołał, mocno chwytając ją za rękę. – A gdzież to panience tak spieszo? – Drewnianą laską, którą wcześniej się podpierał, uniósł jej brodę. Widząc czerwone i załzawione oczy, rozluźnił uścisk na tyle, aby nie czuła bólu, ale nie była w stanie mu się wyrwać.

Isia spojrzała w łagodne, ciemne oczy staruszka i przylgnęła do niego całym ciałem, głośno szlochając. Nie wiedziała, co sprawiło, że poczuła się przy nim bezpiecznie. Kiedy uspokoiła się, grzecznie przeprosiła za swoje zachowanie i chciała odejść. Mężczyzna jednak popatrzył na nią i dłonią wskazał rozerwaną sukienkę.

– Masz gdzie się zatrzymać?

Pokręciła głową, czując, jak ogromna kula w gardle uniemożliwia jej mówienie.

– Chodź. – Mężczyzna puścił jej ramię i ruszył w kierunku ruin jakiegoś domu. – Nie bój się. – Odwrócił się do niej, a widząc, że wciąż stoi w tym samym miejscu, uśmiechnął się. – Idziesz czy masz zamiar spędzić noc na ulicy?

Poszła za nim. Nie wiedziała, co nią kierowało, ale czuła bijącą od tego człowieka dobroć. Na drugi dzień pan Zygmunt, bo tak jej się przedstawił, poszedł do Krystyny Brzeskiej i wytłumaczył nieobecność pracownicy. Zapewnił

również modystkę, że dziewczyna nie wróci już do pracy z wiadomych względów. Kilka dni pozwolił Isi pobyc w swoim prowizorycznym mieszkaniu, mieszczącym się w piwnicy jednego z domów, a następnie dał jej list, kilka złotych na drogę, wsadził w pociąg i kazał jechać do Gdańska, gdzie miała zgłosić się pod wskazanym adresem u kuzynki pana Zygmunta.

ROZDZIAŁ 28

Jesień, rok 2016

Isia otworzyła oczy i spojrzała za okno. Jechali autostradą, na której co rusz pojawiały się reklamy w języku niemieckim. Zaskoczona nie mogła uwierzyć, że spała tak długo. Spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina czternasta.

– Chyba mi się popsuł zegarek – stwierdziła, potrząsając dłonią.

– A którą wskazuje godzinę? – Ilona odwróciła się w jej stronę i zerknęła na swoją rękę.

– U mnie jest za kwadrans druga.

– No to jest okej. – Ilona uśmiechnęła się. – Zaraz zajedziemy na jakiś obiad. Pospałaś trochę. Chyba śniło ci się coś złego, bo tak jakoś dziwnie jęczałaś. Powiesz nam, co ci się śniło?

– E tam, już nie pamiętam. – Isia zacisnęła dłonie, żeby nie pokazać po sobie żadnych emocji. Dokładnie pamiętała sen i tamto wspomnienie.

– O, jest zjazd na stację, myślę, że będzie tam restauracja. Dziewczyny głodne? – zapytał Andrzej, uznając, że odpowiedź może być tylko twierdząca.

– Ja bardzo. – Ilona złapała się za brzuch.

– A ja... tak sobie. – Isia nie mogła pozbyć się z głowy wciąż powracających obrazów z jej snu.

– No dobra, zjeżdżamy.

– Jędrus, a kiedy myśmy byli na granicy?

– Ciociu, nie ma już granic – Andrzej roześmiał się.

– Nie ma? To po co kazaliście mi robić paszport? – Isia była wyraźnie zaskoczona. – Dowód starej kobiety nieważny?

– Dowód jest ważny. – Ilona poczuła się w obowiązku wytłumaczenia. – Ale gdybyśmy na przykład chcieli wyskoczyć do Szwajcarii, to lepiej mieć paszport.

– Do Szwajcarii? A po co? – Isi przypomniało się, jak mężczyźni w domu rozmawiali na temat ich wyjazdu. – Przecież ja się na narty nie nadaję.

– Na narty?! – Tym razem Andrzej z Iloną wydali z siebie okrzyk zaskoczenia.

– No, a po co innego chcielibyście jechać do Szwajcarii?

– A po to, żeby ją zobaczyć? – Ilona odpowiedziała na pytanie Isi pytaniem. – Szwajcaria to piękny kraj, więc czemu by nie. Będziemy tak blisko.

– Póki co chciałabym już wysiąść. Daleko jeszcze do tej restauracji? – Isia zrobiła wielce niezadowoloną minę. – Sikać mi się chce, i nogi mi tak zdrętwiały, że...

– Już zajeżdżamy. – Andrzej skręcił w stronę stacji benzynowej, przed którą stał sporych rozmiarów budynek z napisem MOTEL & RESTAURANT.

Po sytym obiedzie i krótkim spacerze po okolicy wrócili do samochodu. Andrzej poinformował kobiety, że mają przed sobą jeszcze około czterech godzin jazdy i zatrzymają się w zarezerwowanym wcześniej hotelu niedaleko Stuttgartu. Dwa dni przeznaczą na zwiedzanie, a potem wyruszą w dalszą trasę.

Stuttgart trochę Isię zawiódł, a trochę zmęczył. Nie przepadała za wielkimi miastami, wołała małe miasteczka lub malowniczo położone wsie. Isia pamiętała, że na mapie, którą widziała w pokoju Ilony, wyraźnie zaznaczone było Überlingen. Pamiętała tę nazwę doskonale. Pamiętała uroczą miejscowość, w której spędziła kilka lat, i już nie mogła się doczekać, aż zobaczy ją ponownie. Chociaż nie miała wielu okazji odwiedzania centrum, bo dom rodziny Angerer znajdował się daleko na peryferiach, to kilka razy z Kazią wybrała się do miasteczka na zakupy.

Jak przez mgłę pamiętała dwa kościoły: św. Mikołaja i Franciszkanów, a także *Rathaus* i domy mieszkalne. Kazia po każdym zakupach musiała, chociaż na chwilę, wstąpić do któregoś z kościołów, aby się pomodlić, i nie zważała na to, że modli się w towarzystwie Niemców, z powodu których trafiła na ten, dla niej, koniec świata. Dawno temu Isia oglądała w telewizji urywek informacji o katastrofie lotniczej nad Überlingen. Głośno było wówczas o jednym z najtragiczniejszych wypadków lotniczych w powojennych Niemczech. Wielu ubolewało nad tą tragedią cywilnego samolotu, zapominając o tym, ile Niemcy stracili samolotów w czasie wojny. Ale było to bolesne dla wielu zdarzenie, może dlatego, że zderzyły się dwa samoloty, w tym rosyjski z pasażerami, wiozący dzieci i ich opiekunów na wakacje z Moskwy do Barcelony. Drugi samolot był transportowy i leciał z włoskiego Bergamo do Brukseli.

Isia jednak pamiętała Überlingen jako miłe miasteczko, a okolice, w których mieszkali, jako spokojne miejsce, w którym tak właściwie nie odczuwało się dramatyzmu wojny.

Rozmyślenia kobiety przerwał sygnał połączenia telefonu. Ilona odebrała po dwóch dzwonkach.

– *Halo* – powiedziała z wyraźnym niemieckim akcentem i najpierw słuchała przez kilkanaście sekund, po czym rozpromieniona zawołała: – *Och! Danke!* – Popatrzyła na Andrzeja i uśmiechnęła się.

– Chyba ktoś przekazał ci miłą wiadomość, że się tak szczerzysz? – Isia ewidentnie zauważyła porozumiewawcze spojrzenia młodych.

– O tak! I to bardzo miłą! – Ilona odwróciła się i uśmiechnęła z satysfakcją.

– A możesz się i ze mną podzielić tą nowiną? Domyślam się, że Jędrus wie, o co chodzi.

– Nie mogę. – Ilona wzruszyła ramionami i wygięła usta w podkówkę, robiąc minę zasepionego dziecka.

Andrzej na widok jej miny roześmiał się.

– Isiu, chcielibyśmy ci zrobić niespodziankę. Nie bądź ciekawska jak przekupa na targu.

– Ja?! Przekupa na targu? No wiesz... nie sądziłam, że tak o mnie myślisz, chłopcze.

– Wcale o tobie tak nie myślę, ale pozwól, abyśmy spełnili to, co zaplanowaliśmy. To ma być niespodzianka.

– No dobrze, o nic więcej nie pytam. – W tym momencie Isia przypomniała sobie mapę i zaznaczoną na niej miejscowość. Pomyślała, że w ramach niespodzianki zabiorą ją do miejsca, w którym spędziła kilka lat swojej młodości. Uśmiechnęła się pod nosem i ponownie zamknęła oczy, udając, że zapada w sen. Kątem oka zauważyła jednak, jak Andrzej ścisnął Ilonę za rękę. Wymienił płytę w odtwarzaczu i wewnątrz samochodu wypełniły tym razem melodie koncertu skrzypcowego Jana Sebastiana Bacha.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Isia przeniosła się do domu rodziny Angerer. Znów miała trzynaście lat i biegała po łące nad jeziorem, co chwilę zerkając na stojącą nieopodal Sabine.

ROZDZIAŁ 29

Wiosna, rok 1943

Pierwsze promienie wiosennego słońca nie tylko przyjemnie pieściły twarze dziewczynek, ale powodowały, że w małych serduszkach zagnieździła się radość. Po długim spacerze wróciły do domu nieco zmęczone, ale z ich twarzy bił niesamowity blask. Isia jak zwykle poszła do kuchni, aby pomóc Kazi w przygotowaniu obiadu, a Sabine wjechała do salonu, w którym jej mama siedziała nad klawiaturą fortepianu. Pani Angerer uśmiechnęła się na widok córki i odsunęła krzesło od instrumentu, zapraszając tym gestem Sabine, aby coś dla niej zagrała. Dziewczynki nie trzeba było prosić, uwielbiała tańce swoich drobnych paluszków po czarno-białych klawiszach ich pięknego Steinwaya. Nie tylko matka była z niej taka dumna, Isia również uwielbiała słuchać, jak Sabine gra. Czasami Kazia wchodziła do salonu i niby delikatnie, ale stanowczo zaciskając dłoń na ramieniu Isi, wyprowadzała ją, gromiąc wzrokiem za to, że zamiast pomagać w kuchni, ta siedzi jak wielka pani i słucha muzyki. Tamtego dnia Sabine była w wyjątkowo

dobrym humorze, dzień wcześniej przyszedł list od ojca, który pani Helga czytała córce chyba ze cztery razy. Pan Angerer niewiele pisał o sobie i o tym, co robi, o wojnie jedynie zdawkowo wspominając. Pytał za to o córkę. Pisał, że nie może się doczekać jej grania. Pytał o polskie służące zatrudnione w ich domu, wyrażając nadzieję, że córka polubiła dziewczynkę z Polski i miło spędzają ze sobą czas.

Kiedy Isia weszła do salonu, informując, że obiad już stoi na stole w jadalni, Sabine z entuzjazmem grała coś melodyjnego, wpadającego w ucho. Szybkie dźwięki wychodzące spod zwinnych paluszków dziewczynki nie brzmiały smutno. Isia podeszła do instrumentu i przeczytała: Mozart *Piano Sonata*. Była w szoku, widząc, jak cieniutkie paluszki jej przyjaciółki zwinnie poruszają się po klawiszach. Zawsze myślała, że tylko dorośli potrafią tak szybko przebierać palcami na klawiaturze. Pani Helga stała oparta o fortepian, a z jej oczu biła taka duma, że Isia na ten widok uśmiechnęła się. Na twarzy swojej mamy nigdy nie widziała takiego uczucia. Może dlatego, że życie jej mamy nie było takie piękne i bogate jak życie *Frau Angerer*. Jej mama była śliczną kobietą, ale urodą i klasą nie dorównywała niemieckiej pani oficerowej. Podobno przed wojną *Frau Helga* dużo koncertowała, i to nie tylko w Niemczech, to ona zaraziła córkę grą na fortepianie, a Sabine z kolei zaraziła tym swoją polską przyjaciółkę. Isia niestety nie miała talentu do muzyki, chociaż Sabine próbowała ją uczyć nut i pokazywała, jak grać proste melodie. Isia stanowczo wolała słuchać niż zasiadać przed klawiaturą. Wieczorami, leżąc już w swoim łóżku, słuchała, jak mama Sabine pozwala płynąć dźwiękom muzyki po domu. Kazia czasami rano narzekała, że z powodu tej muzyki nie mogła spać, ale robiła to cichutko i bez nadmiernego oburzenia.

Po obiedzie *Frau Helga* wybierała się w odwiedziny do znajomych, do miasteczka. Chciała, żeby Sabine pojechała z nią, ale dziewczynka stanowczo odmówiła. Pani Angerer

nie naciskała. Poszła, zostawiając córkę i jej polską przyjaciółkę pod opieką kucharki.

– Zagraj mi coś. – Isia rozsiadła się na dużej otomanie i przymilnie uśmiechnęła do Sabine. – Pobawimy się w koncert, ja będę bogatą panią, która przyszła z ukochanym, a ty będziesz znaną muzyczką.

– Chyba pianistką. – Sabine roześmiała się. – Nie ma czegoś takiego jak muzyczka, w sensie zawodu oczywiście. Są muzycy, ale nie muzyczki. – Dziewczynka śmiała się, uderzając dłońmi o kolana.

– Ojej, nie musisz się ze mnie wyśmiewać, ja nie pochodzę z takiej ładnej rodziny jak twoja. – Isia udawała obrażoną, ale tak naprawdę nie miała do przyjaciółki pretensji o jej uwagi. – To co? Zaczynamy koncert?

Sabine wyjechała na środek salonu, ukłoniła się teatralnie i bardzo poważnym głosem zakomunikowała:

– Witam państwa na wiosennym koncercie, który odbywa się na rynku najpiękniejszego niemieckiego miasta, jakim jest Überlingen. Dziś dla państwa wystąpi słynna pianistka, Sabine Angerer. Przywitajmy gwiazdę brawami. – Sabine zaczęła klaskać, a Isia z wielkim entuzjazmem do niej dołączyła.

– Izabelo, tak się nie klaszcze na koncertach. – Pianistka popatrzyła oburzona w stronę siedzącej na „widowni” dziewczynki.

– Co to znaczy „tak”? – Isia zrobiła zaskoczoną minę, opuszczając dłonie na kolana.

– Na poważnych koncertach trzeba klaskać bardzo delikatnie. – Sabine zademonstrowała przyjaciółce ruchami dłoni spokojne, aczkolwiek radosne klaskanie. – Ty klaszczesz, jakbyś była na jakichś cyrkowych występach. Tak nie wolno się zachowywać na koncertach. Tu obowiązuje powaga i dostojność. – Mina, jaką zrobiła

Sabine, rozbawiła Isię, ale dziewczynka skinęła głową na znak zrozumienia.

– Czy tak mam klaskać? – Delikatnie zaczęła uderzać jedną dłonią o palce drugiej.

– Tak. Zatem zacznijmy jeszcze raz. Przywitajmy gwiazdę dzisiejszego wieczoru, Sabine Angerer, brawami.

Tym razem Isia zachowała się stosownie, a młoda Niemka podjechała w stronę fortepianu. Chwilę przewracała kartki zeszytu z nutami, aż wreszcie z powagą godną gwiazdy odwróciła się do publiczności i powiedziała, że tematem dzisiejszego koncertu są *Inwencje trzygłosowe* Jana Sebastiana Bacha i na początek zagra utwór mający tytuł *Inwencja trzygłosowa E dur numer 6*. Następnie powoli przyłożyła dłonie do klawiatury i zaczęła grać.

Isia z zachwytem patrzyła, jak drobne paluszki pianistki poruszają się po klawiszach. Była dumna z tego, że może tak sobie siedzieć i słuchać, w miłym, czystym domu, a nie musi chodzić po domach znajomych czy rodziny z prośbą o kawałek chleba, co jeszcze tak niedawno było jej dniem powszednim. Tak bardzo chciałyby, aby obok niej siedzieli teraz mama i tata albo babcia i dziadek.

Sabine skończyła grać, odjechała powoli od instrumentu i ukłoniła się z gracją, czekając na reakcję publiczności. Isia równie z gracją zaczęła bić brawo, robiąc przy tym tak zachwyconą minę, że pianistka z trudem opanowała śmiech.

– Kolejnym utworem będzie *Inwencja trzygłosowa a-moll*. – Sabine ponownie ukłoniła się i podjechała do fortepianu. Powoli przekartowała nuty, aż wreszcie znalazła wybrany przez siebie utwór. Isia odniosła wrażenie, że kolejna melodia była nieco spokojniejsza, niosła ze sobą jakiś smutek, żeby nie powiedzieć, że tragizm. Po tym utworze Sabine zagrała jeszcze jedną *Inwencję trzygłosową*, a na

koniec pozostawiła dla swojej publiczności prawdziwą perełkę.

– Na zakończenie naszego koncertu nasza gwiazda zaprezentuje państwu utwór *Ellens dritter Gesang*, znany jako *Ave Maria* Franza Schuberta. Podobno aranżacja tego utworu została wykonana na zamku hrabiny Sophie Weissenwolff w austriackim miasteczku Steyregg i poświęcona jej, co doprowadziło do tego, że Sophie stała się znana jako „dama jeziora”.

Sabine ukloniła się, podjechała do fortepianu i wyciągnęła spod zeszytu z nutami inny zeszyt. Powoli położyła dłonie na klawiaturze, wzięła głęboki oddech i zaczęła grać. Tym razem do melodii dołączył cieniutki, drżący głos, który zaśpiewał tak pięknie, że Isia poczuła napływające do oczu łzy wzruszenia. W połowie utworu obie dziewczynki usłyszały głośny szloch. Sabine przestała śpiewać i grać i gwałtownie odwróciła się w stronę drzwi. Isia również spojrzała w tym kierunku. Oparta o framugę Kazia głośno szlochała, ocierając twarz rąbkiem fartucha. Kiedy zorientowała się, że w salonie zapanowała cisza, popatrzyła zawstydzona na dziewczynki i szybko uciekła do kuchni.

– Co jej się stało? – Sabine wystraszonym wzrokiem spoglądała to na Isię, to na puste miejsce w drzwiach, w którym chwilę wcześniej stała kucharka.

– Myślę, że wzruszyła się twoim... koncertem. – Isia czuła, jak jej głos drży. Z trudem wypowiadała słowa blokowane przez ściśnięte gardło. – Wiesz co, chyba dzisiejszy koncert już się skończył. – Isia wytarła ukradkiem łzę z policzka i uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Pojedźmy do pokoju, poczytasz mi jakąś książkę?

ROZDZIAŁ 30

Jesień, rok 2016

– Isiu! Isiu, obudź się, jesteśmy na miejscu. – Ilona delikatnie potrząsała ramieniem starszej kobiety, z zaniepokojeniem obserwując wstrząsane dziwnymi dygotami ciało. – Chyba coś smutnego ci się przyśniło, bo... zaszłochałaś.

– Gdzie jesteśmy? – Isia powoli otworzyła zaspane oczy i zerknęła w stronę okna.

– Jesteśmy przed hotelem, w którym zatrzymamy się dzisiaj na noc. – Andrzej powoli zaczął wypakowywać walizki z bagażnika.

– Będziemy tu tylko jedną noc? – Isia ciekawie przyglądała się pięknie ukwieconym rabatom przed budynkiem. Hotelik bardziej przypominał pensjonat, ale urocze otoczenie, w jakim został osadzony, było jak z bajki. Nad dachem majaczyły ośnieżone szczyty gór, a wokół pachniało tak pięknie, że kobieta z przyjemnością głęboko zaciągnęła się świeżym powietrzem.

– Tak właściwie to gdzie my jesteśmy?

– W pewnej miejscowości niedaleko Zurichu.

– Zurichu? – Zaskoczona Isia popatrzyła najpierw na Andrzeja, a potem przeniosła wzrok na Ilonę. Przypomniała sobie mapę leżącą w pokoju Ilony i niczego już nie rozumiała. – Przecież Zurich jest w Szwajcarii.

– Oczywiście, ale my jeszcze jesteśmy na terenie Niemiec. Tu zanocujemy, a jutro po śniadaniu pojedziemy do Szwajcarii. Mamy coś do załatwienia w Zollikon.

– Gdzie? – Isia nie przypominała sobie tego miasta na mapie Ilony, może dlatego, że patrzyła tylko na stronę niemiecką i nie zwracała uwagi na tę dotyczącą Szwajcarii.

– A co jest w tym Zollikon?

– Zobaczysz. – Ilona uśmiechnęła się tajemniczo i skierowała w stronę hoteliku.

Po długim wieczornym spacerze po okolicy Isię dopadł dosłownie kamienny sen. Kiedy rano się obudziła, miała dziwne przeczucie, że w tym dniu zdarzy się coś niezwykłego. Ilona i Andrzej byli jakby bardziej podnieceni, a intuicja podpowiadała Isi, że czeka ich dzień pełen wrażeń. Wyjechali z hotelu po wczesnym śniadaniu. Tym razem Isia nawet nie próbowała zamykać oczu, aby nie przespać czegoś istotnego. Zresztą dwanaście godzin snu pozwoliło jej na porządny wypoczynek. Teraz czuła się jak skowronek, pomijając lekkie bóle kręgosłupa, spowodowane długim ostatnio siedzeniem w samochodzie. Do granicy szwajcarskiej dojechali w przeciągu godziny i ani się spostrzegli, kiedy zaczął otaczać ich piękny górzysty krajobraz. Po drodze zatrzymali się tylko raz, aby wypakować z samochodu walizki i zameldować się w malowniczym pensjonacie. Isia z podziwem słuchała, jak Ilona płynnie rozmawia z personelem po francusku. Zastanowiła się nawet chwilę, dlaczego Ilona nie porozumiewa się w języku niemieckim, ale po chwili

przestała się tym przejmować. Wyruszyli w dalszą drogę zaraz po wstawieniu walizek do pokoi i potem nie zatrzymywali się już, chcąc jak najszybciej dojechać do celu. Isia nie wiedziała, co jest tym celem, ale cieszyła się, że dzięki tej dwójce młodych ludzi może jeszcze w swoim starym życiu coś zobaczyć i coś przeżyć. Ilona promieniała szczęściem, widąc pobyt w towarzystwie Andrzeja dobrze jej robił. Isia co rusz uśmiechała się na widok błyszczących oczu kobiety, z których aż biło gorące uczucie do Andrzeja.

Około południa zajechali przed budynek przypominający przepiękny dworek. I tak jak przy niemieckim hoteliku, wokół pyszniło się sporo kwiatów rosnących na fantazyjnie skomponowanych rabatach. Od tarasu dworku w kilka stron prowadziły alejki, przy których stały śliczne małe ławeczki. Nad nimi szumiały drzewa, których liście powoli przybierały kolory jesieni. Świeże, choć nieco ostre powietrze przyjemnie działało na drogi oddechowe. Nad drzwiami budynku wisiał napis *Heimat des Glücks*.

– Czy ty przypadkiem nie chcesz się Ilonie oświadczyć? – Isia pociągnęła Andrzeja za łokieć, zmuszając go, aby nachylił się nad nią.

– Z czego tak wnioskujeś? – szepnął konspiracyjnie.

– No, z tego domu. – Wskazała głową napis na budynku. – Skoro to Dom Szczęścia, to...

– To dom szczęścia. – Andrzej przytulił Isię jak małą dziewczynkę. – Oświadczę się, ale jeszcze nie teraz. Chyba że masz jakieś...

– Nie! Nie! – Isia gwałtownie pokręciła głową. – Wyglądacie na szczęśliwą parę, a ja i reszta rodziny już od dawna trzymamy za was kciuki i zastanawiamy się, kiedy w końcu zdobędziesz się na odwagę, bo wiesz... latka lecą. Potem Ilona może być już za stara na dzieci.

– Na dzieci? – Andrzej parsknął śmiechem, co natychmiast wzbudziło czujność Ilony, czekającej na nich już u podnóża

schodów prowadzących do wejścia. – Chodźmy, bo moja pani chyba się już niecierpliwi.

– Moja pani... – Isia kiwnęła głową. – Wiesz, to nawet ładnie brzmi.

Kiedy zbliżali się do budynku, Isia coraz wyraźniej słyszała dźwięki muzyki. Ktoś pięknie grał na pianinie jeden z jej ulubionych utworów – *Dla Elizy*.

– Beethoven. – Isia zatrzymała się i głośno westchnęła. – Kocham go.

Ilona z Andrzejem spojrzeli na siebie, ale nie skomentowali słów starszej pani. Isia stała zauroczona i wsłuchiwała się w płynącą z za okna melodię.

– Helga Angerer też tak pięknie grała ten utwór, a po nim zawsze przechodziła do Roberta Schumanna i do...

Z pomieszczenia słycać było gromkie brawa. Artysta skończył *Dla Elizy* i na kilkanaście sekund zapadła cisza. Nagle muzyka znów zaczęła się wydostawać z okna, a Isia zamarła. W jednej chwili poczuła dreszcz przebiegający po jej ciele, a z oczu spłynęły dwie duże łzy. Ktoś najpiękniej jak tylko mogła sobie wyobrazić grał *Marzenie* Roberta Schumanna, w takiej samej kolejności jak robiła to mama Sabine. Dłonie Isi zaczęły drżeć, a jej samej wydawało się, że zaraz się przewróci. Coś kazało jej natychmiast wejść do budynku, ale jednocześnie coś żądało, aby została na zewnątrz. Andrzej podszedł do ciotki i mocno złapał ją pod ramiona. Widział, że ze starszą kobietą dzieje się coś, czego nie przewidzieli. Może zbyt długa podróż, może zbyt wiele emocji, może wspomnienia. Posadził Isię na najbliższej ławce i zaczął wnikliwie się jej przyglądać.

– Dobrze się czujesz?

Isia spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem, ale skinęła głową. Wzięła kilka głębokich oddechów i uśmiechnęła się.

– Już dobrze, Jędrusiu, możemy iść dalej. – Powoli podniosła się z ławki. Z okna budynku od dłuższej chwili rozbrzmiewały brawa.

Andrzej pomógł ciotce stanąć na nogi i podprowadził do drzwi wejściowych. Weszli do przestronnego holu i prawie natychmiast pojawiła się przy nich elegancka kobieta w średnim wieku. Ilona podała jej dłoń i przedstawiła się, a następnie przedstawiła Andrzeja i Isię. Rozmawiała z kobietą przyciszonym głosem; Isia niezbyt wyraźnie słyszała tę rozmowę, ale to było dla niej mało istotne. Z pomieszczenia za zamkniętymi drzwiami zaczęły dochodzić kolejne dźwięki. Tym razem Isia była pewna, że to nie przypadek, że ktoś gra ulubione melodie Helgi Angerer. *Sonatę Księżycową* Ludwiga Beethovena słyszała w niemieckim domu tak często jak *Dla Elizy* czy przed chwilą grane *Marzenie* Schumanna. Isia, nie patrząc ani na Ilonę, ani na Andrzeja, ani na kobietę, która do nich podeszła, szybkim krokiem skierowała się do pomieszczenia, skąd płynęła muzyka. Cichutko otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Przy pięknym białym fortepianie, na wózku inwalidzkim, siedziała starsza kobieta. Jej podobieństwo do *Frau Helgi* było tak uderzające, że Isia nie potrafiła złapać oddechu. To niemożliwe – pomyślała, zanim osunęła się na podłogę i straciła przytomność.

Kiedy ją wreszcie ocucono, zobaczyła nad sobą kilka par oczu, z niepokojem wpatrujących się w jej twarz. Mężczyzna w białym fartuchu wbijał jej w rękę igłę z zastrzykiem. Uśmiechał się do niej przyjacielsko i nagle Isia poczuła, że robi jej się lekko i przyjemnie.

– Co się stało? – zapytała, wpatrując się w twarz Ilony.

– Zasłabłaś, ale już jest dobrze. – Kobieta poklepała ją po dłoni i głośno westchnęła. – Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę, ale chyba trochę nie tak to wyszło.

– Czy... czy na tym fortepianie grała...

– Tak. To grała Sabine. – Drzwi do pokoju, w którym leżała Isia, otworzyły się i chwilę po tym słychać było cichy, charakterystyczny dźwięk przesuwanego wózka inwalidzkiego. Otaczający Isię rozstąpili się, robiąc miejsce dla gościa, który przyszedł, a właściwie przyjechał przywitać się. Sabine podjechała do Isi i mocno uściśniła jej dłoń. Popatrzyła z wdzięcznością na Andrzeja i Ilonę i już nie potrafiła opanować wzruszenia. – Dziękuję, panie Andrej – powiedziała w języku polskim. Przytuliła dłoń Isi do policzka. Dłuższą chwilę kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. W pokoju panowała taka cisza, że gdyby poruszył się kwiat stojący na parapecie okna, wszyscy by go natychmiast usłyszeli. Isia początkowo nie była pewna, czy scena ta jej się śni, czy dzieje się naprawdę. Patrzyły na nią oczy Helgi Angerer, ale postawa, głos i zachowanie świadczyły o tym, że siedzi przed nią Sabine. Wzruszenie sięgnęło zenitu i kiedy Isia zobaczyła spływającą po policzku Sabine łzę, rozszlochała się razem z nią. W pokoju nie było osoby, której nie udzieliłby się nastrój przyjaciółek. Ilona wtuliła się w Andrzeja i cichutko pociągnęła nosem, ale Andrzej również nie potrafił zapanować nad tym, co ścisnęło go w środku.

– Znalazłam cię – szepnęła Isia. – Ty żyjesz. Nie umarłaś, a ja myślałam, że...

– Ciii. – Sabine położyła palec na ustach przyjaciółki. – Odpoczywaj, mamy przed sobą tyle czasu na rozmowy, że...

Isia uśmiechnęła się. Ile one mogą mieć czasu, będąc w tym wieku? Zapomniała już, kiedy obchodziła swoje osiemdziesiąte urodziny. Bliżej im do dziewięćdziesiątki, ale skoro Bóg, nieważne, czy polski, niemiecki czy żydowski, pozwolił im się spotkać, to z pewnością zadba też o to, aby mogły się jeszcze sobą nacieszyć.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie podczas pisania. Jestem dumna z tego, że tak wiele osób cały czas trzyma za to moje pisanie kciuki. Gdyby nie WY, moich książek pewnie by nie było.

Dziękuję mojej siostrze Annie Łyczykowskiej oraz pisarce Agnieszce Lis za pomoc w zagadnieniach muzycznych, to dzięki Wam moja opowieść rozbrzmiewa piękną muzyką klasyczną.

Wojtkowi Meixnerowi dziękuję za cudowne przeprowadzenie mnie przez świat wyznawców judaizmu i zapoznanie mnie z obyczajami i tradycjami żydowskimi. Dzięki Wojtkowi poznałam zupełnie inny, tak różny czasami od mojego, świat.

Dziękuję pani doktor Halinie Tubielewicz za wprowadzenie mnie w zagadnienia neurologiczne, dzięki Pani zrozumiałam, na czym polegała choroba Sabine.

Dziękuję moim dzieciom, synowi Dariuszowi i córce Alicji Kołodziejczyk, za wspieranie mnie na każdym etapie mojego pisania. Bez Waszego duchowego wsparcia i ciągłego podtrzymywania mnie na duchu nie mogłabym tak swobodnie myśleć o sobie – pisarka.

Dziękuję Maciejowi Bulińskiemu i pani Marii Drapelli za pomoc w doborze lektur uzupełniających, dzięki którym mogłam lepiej poznać życie Niemców zarówno w wojennej, jak i powojennej rzeczywistości.

No i oczywiście bardzo, bardzo dziękuję wszystkim moim Czytelniczkom i Czytelnikom za to, że nie tylko czytają moje książki, ale polecają je innym. Wiem, że wiele z Was powinnam wymienić, Wasze słowa bardzo często wzruszają mnie tak, jak Wy wzruszacie się przy moich książkach. Dzięki Waszym ciepłym słowom, pochwałom, recenzjom i wyrazom wzruszenia wiem, że nie piszę tylko dla siebie.

Dziękuję również pracownikom Wydawnictwa Replika, którzy tak ciepło przyjęli mnie do grona swoich autorów i pozwolili zaistnieć moim książkom.

Nade wszystko jednak dziękuję kilku cudownym seniorkom: Pani Krysi, Pani Wandzi, Pani Steni i Pani Danusi za to, że zaprosiły mnie do świata swoich wspomnień i cierpliwie odpowiadały na tysiące moich pytań.

ALCHEMIA, PRAWDA I MIŁSIERDZIE W ZOROASTRYJSKIM ŚWIECIE

Najnowsza książka Ewy Formelli jest bardzo ważną pozycją na rynku wydawniczym. Żyjemy w czasach, gdy jakże często dajemy się mamić iluzjom. Myśląc o naszych bliźnich, popadamy w fałszywe stereotypy. Wydaje się, że Prawda nie ma już żadnego znaczenia.

W takim świecie Autorka wspomnień o Ilse Salman – Izabeli Salmanek – i otaczających ją ludziach zdaje się w pewnym sensie przypominać dawnych alchemików, którzy przed wiekami w dążeniu do złota poszukiwali kamienia filozoficznego. Dla autorki takim złotem jest poszukiwanie Prawdy o czasach minionych. A kamieniem filozoficznym jest miłość panująca pomiędzy pozytywnymi bohaterami powieści.

Książka pokazuje nam, że nawet w najstraszniejszych czasach, a takimi niewątpliwie był okres panowania nazizmu, zło, choć krzykliwe, nigdy nie może ostatecznie

zwyciężyć. Nienawiść skierowana ku bliźniemu nie ma żadnego sensu. Wojna, w twórczości Autorki, ma prawdziwe oblicze; jest sitem przesiewającym ludzi słabych, którzy ulegli złu, od tych, co nawet w najstraszniejszych czasach, wbrew wszystkiemu, potrafili zachować miłosierdzie i sprawiedliwość w swoich sercach. I właśnie życie prezentowanych w książce dobrych ludzi, takich jak np. Olaf Angerer, jak również członkowie rodziny Zalewskich, zdaje się jakby potwierdzać starą żydowską legendę. Mówi ona, że świat istnieje tylko dlatego, że żyje na nim trzydziestu sześciu sprawiedliwych. A może któryś z bohaterów książki jest właśnie jednym z nich?

W powieści spotykamy przedstawicieli trzech narodowości: Polaków, Niemców i Żydów. Dla niektórych z nich granice między narodowościami są nieprzekraczalne, pełne wrogości. Nie oni jednak liczą się w książce. Stanowią jedynie jakby podściółkę, historyczne tło prezentowanego dramatu.

Ewa Formella eksponuje i nadaje znaczenie głównie tym postaciom, które nawet w najciemniejszą noc pozornego triumfu nienawiści potrafiły zachować miłosierdzie w sercu. Dla tych ludzi granice narodowościowe nie są nieprzekraczalne. Różnorodność kulturowa zdaje się być tutaj wspólnym bogactwem. Nadzieją na wzajemne ubogacenie duchowe.

W książce poznajemy osoby, które kierują się w życiu ewangeliczną zasadą: „Prawda was wyzwoli” (J 8,32). Zarazem wydaje się, że wszystkie dobre postaci jakby już duchowo żyły w biblijnym obrazie Królestwa Bożego, którego podstawę stanowi *ahawa* – hebrajskie określenie miłości.

Pięknym przykładem jest tutaj np. rodzina Zalewskich, która uznała za członków własnej rodziny Żydów – Ilse/Izabelę i jej brata Arona/Filipka. Drugim budującym przykładem jest niemiecki oficer Olaf Angerer, jego żona i córka Sabine. Ludzi, którzy potrafili zachować cechy

anielskie wbrew otaczającemu ich nazistowskiemu mrokowi. O ich dobroci i mądrości najlepiej może świadczyć opisany fakt, że Ilse, bez tragicznych dla siebie konsekwencji, mogła przed rodziną Angererów zdradzić swoją żydowską tożsamość.

Dla obu rodzin – Angererów i Zalewskich – nie istniało kłamstwo zwane antysemityzmem. Książka autorki jest dokumentem, że współzycie chrześcijańsko-żydowskie jest możliwe, a przedstawiona historia wskazuje wręcz, że jest to jedyna droga do owocnego, szczęśliwego życia.

Autorka jest obiektywna. Obok postaci świetlanych poznajemy również osoby odrażające, np. syna Angererów. Jedyne go członka tej rodziny, który nie oparł się obłędowi wojny. Czytając fragment książki odnoszący się do tego człowieka, możemy zauważyć, że autorka nie osądza go w sposób jednoznaczny. Zwraca uwagę na fakt codziennego kontaktu frontowego żołnierza z najgorszymi okropnościami wojny. Nie jest to jednak powód do usprawiedliwienia podłych, zbrodniczych uczynków młodego żołnierza.

W książce poznajemy przyjaciela rodziny, Rolfa, który razem z synem Angererów znalazł się na froncie. Pomimo strasznych wojennych przeżyć potrafił on zachować normalne ludzkie odruchy. To właśnie Rolf obronił Ilse przed gwałtem.

W trudnej powojennej rzeczywistości Rolf okazał się Aniołem Stróżem dla Angererów. Nie było to zadanie łatwe. Frau Angerer, załamana i tracąca stopniowo kontakt z rzeczywistością, i niepełnosprawna Sabine w trudnych czasach potrzebowały takiego troskliwego opiekuna.

Obraz Niemca w tej książce wydaje się być obiektywny. Niemcy z czasów Demonicznego Malarza z Berlina posiadali coś na kształt „janusowego oblicza”. Obok postaci podłych pojawiały się osoby szlachetne, starające się opierać zło płynącemu od ówczesnej władzy. Jakkolwiek w książce nie pojawia się nazwisko księdza Dietricha Bonhoeffera, dobrzy

Niemcy, których poznajemy, żyją tak, jakby byli zainspirowani ideami stawiania oporu złu, głoszonymi przez tego wielkiego niemieckiego teologa, świadka wiary i męczennika.

Czytając tę książkę, dojść musimy do wniosku, że wszystkie narody zaangażowane w wojnę stały się jej ofiarami. Także Niemcy, choć może to dla niektórych zabrzmieć dziwnie, byli ofiarami wojny. Ofiarami tych, którzy często przez własną ignorancję i bezmyślność, tak naprawdę nie chcąc tego, wybrali demoniczne zło.

Jedną z najciekawszych postaci napotkanych w książce jest Sabine Angerer. Niemka, przyjaciółka Żydówki z Polski. Kobieta delikatna zarówno cieleśnie, jak i duchowo. Obdarzona przez swoich przodków wybitnym talentem i wrażliwością muzyczną. I właśnie ten kontakt z jednym z najpiękniejszych przejawów naszego świata – muzyką, dawał jej siłę radzenia sobie z wszelkimi okropnościami. Pomimo wojny, pozwalał jej żyć we własnym szczęśliwym świecie, w którym panowała, jak to określił Marcin Luter, „Pocieszycielka Muzyki”. Możemy tylko domniemywać, że Sabine posiadała rzadką, cenną umiejętność czytania pomiędzy nutami. I w jej przypadku nie była to tylko umiejętność odczytywania sposobu interpretacji dzieła muzycznego, lecz również, a może przede wszystkim, przekazu etycznego ukrytego między nutami.

Świat w książce jest trochę jakby wyjęty z perskiego zoroastryzmu. Jest miejscem walki Dobra i Zła. Rolą człowieka w takim świecie jest uczynić wszystko, by przyczynić się do ostatecznego, eschatologicznego zwycięstwa Dobra. Zarazem przedstawione w powieści piękne duchowo osoby postępują tak, jakby stosowały się do podstaw żydowskiej duchowości. Ich życie to *tikkun olam beSzem Malchuto Elohim* – naprawianie świata w Imię Królestwa Bożego.

Autorka swoją twórczością daje dowód swojej wiary, że Dobro zawsze musi zwyciężyć. Wielką zasługą Ewy Formelli jest również to, że pozwala nam lepiej poznać inne kultury.

dr Wojciech Meixner

Wojciech Meixner urodził się 8 kwietnia 1955 roku w Poznaniu. W latach 1979-2007 był pracownikiem naukowo-dydaktycznym w Katedrze Ekonomiki i Organizacji Drzewnictwa Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. W 1988 uzyskał tytuł doktora nauk technicznych na Wydziale Technologii Drewna Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Związany przyjaźnią, współpracuje z Gminą Wyznaniową Żydowską w Poznaniu. Jako luteranin należy do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Jest członkiem Towarzystwa Przyjaciół Filharmonii w Poznaniu.

Rodzina recenzenta przeżyła drugą wojnę światową dzięki opiece Niemców, którzy ryzykując własnym życiem, ocalili przodków autora niniejszej recenzji.

SPIS TREŚCI

KILKA SŁÓW OD AUTORKI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

PODZIĘKOWANIA

ALCHEMIA, PRAWDA I MIŁSIERDZIE
W ZOROASTRYJSKIM ŚWIECIE